Andrzej Strug

KRONIKA ŚWIECIECHOWSKA

IGNIS

KRONIKA ŚWIECIECHOWSKA

TEGOŻ AUTORA:

Ludzie podziemni. Serja I. Lwów 1908 (wyczerpane)
Jutro. Kraków 1909 (wyczerpane)
Ze wspomnień starego sympatyka. („Ludzi podziemnych" Serja II). 1909 (wyczerpane)
W twardej służbie. („Ludzi podziemnych" Serja III). Kraków 1910 (wyczerpane)
Dzieje jednego pocisku. Powieść, wyd. III. Warszawa, 1918 (wyczerpane)
Ojcowie nasi. Rok 1863. Wyd. II. Lwów, 1921.
Portret. Powieść, wyd. II. Lwów, 1921.
Chimera, Powieść. Warszawa, 1918.
Odznaka za wierną służbę. Powieść. Tow. Wyd. „Ignis". Warszawa, 1920.
Pieniądz. Powieść. Tow. Wyd. „Ignis". Warszawa, 1921.
Mogiła nieznanego żołnierza. Powieść, wyd. II. Tow. Wyd. „Ignis" Warszawa, 1923.

ANDRZEJ STRUG

KRONIKA ŚWIECIECHOWSKA

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „IGNIS“
(E. WENDE i S-ka) SP. AKC. WARSZAWA 1924

Okładkę rysował Tadeusz Gronowski.
Odbito 5.200 egz. w Drukarni
„Rola" J. Buriana w Warszawie, Mazowiecka 11
1 9 2 4

Egzemplarze №№ 1—5200

PODRÓŻ NAOKOŁO ŚWIATA

Nuda nawiedza mnie niezmiernie rzadko, więc tem bardziej bywa dolegliwa. Bez powodu, pośród najlepszego zwykłego dnia, przy zajmującej pracy lub w godzinie wolnego marzenia zakrada się do mojej twierdzy spokoju, pogody.

Zpoczątku, jak mysz przemyka się pod ścianami, gryzie coś skrycie i zawzięcie. Odrywa uwagę, przeszkadza. Potem, jakby coś w pokoju westchnęło, i to ciche, przejmujące tchnienie, jak złe czary, odmienia wszystko wokoło. Z reguły dzieje się to późnym wieczorem, nigdy o innej porze.

Przyćmiewa się światło, przygasa ogień na kominie, całe wnętrze mego gabinetu, w którym spędzam życie, dziwnie nędznieje.

Stół do pracy, bibljoteka, obrazy, moje ulubione sprzęty, z któremi się zżyłem — pokolei wypadają z pańskiej łaski i stają się obrzydłe. Rodzi się we mnie nienawiść do Chińczyka, którego toleruję przez dziwną zaiste słabość, pomimo, że on, wedle wszelkich poszlak, bierze najczynniejszy udział w knowaniach przeciwko mojemu spokojowi. Zatrzymuję go — posłusznie

przestaje się kiwać, ale nieruchomy — irytuje jeszcze bardziej. Nie zważam na niego. Zazwyczaj, na początek, widząc co się dzieje, ratuję się, poszukując jakiejś lżejszej lektury. Mam półeczkę z podróżami, geografję powszechną Reclus'a... Po drodze muszę minąć staroświecki sekretarzyk, gdzie w szufladach składam moje rękopisy, i naraz to archiwum zbędnych prac zaczyna mi się wydawać czemś dziwnem, potem śmiesznem, wreszcie czemś monstrualnem. Nagły błysk podejrzenia, czy ja czasem — nie mam bzika... I to już oddawna?

Rozdrażnienie wzrasta... Nie mogę nic wybrać z podróży, a dużo tego jest. Przerzucam, rozrzucam — wszystko wydaje się nieciekawe. Wreszcie zasiadam z pierwszą lepszą książką, czytam przez przymus jedną, drugą stronicę, nic nie rozumiejąc.

Zrywam się i wynoszę Chińczyka do stołowego pokoju. Stawiam go ostrożnie na kredensie — to jego zwykłe miejsce internowania.

W takich chwilach podziwiam moje panowanie nad sobą. Ileż razy powinienem był trzasnąć tym potworkiem o podłogę, żeby prysł na tysiąc okruchów!

Ciemny pokój staje się nie do wytrzymania gnębiący.

Zapalam lampę wiszącą w jadalni, zapalam „kinkiety“ w saloniku, w sypialni. Dom świeci po nocy wszystkiemi oknami.

Chwila ulgi. Usiłuję się uśmiechnąć drwiąco, chcę coś głośno powiedzieć. Ani rusz. Ściska mnie w gardle, dusi — pełne piersi niepowstrzymanego płaczu...

Myśli ktoś za mnie chłodno, przytomnie, i mówi: — jeżeli teraz, w tej chwili, dopuścisz to do siebie, jeżeli zrobisz inne głupstwo, — kopniesz to krzesło, które ci stoi na drodze, lub rozbijesz o ziemię doniczkę begonji, to wiedz, że natychmiast zwarjujesz.

Wszystko w pokoju kołuje i ja chwieję się na nogach. Sam sobie wydaję się nieprawdziwy, fantastyczny. Życie i wszystkie moje sprawy zdają się być snem. Usiłuję się obudzić, a zgroza śmiertelna dusi mnie na samą myśl — co będzie, gdy się naprawdę obudzę?...

Jak lunatyk, wiedziony czuwającym w nim gdzieś jeszcze instynktem, idę do mojej szafki, tak zwanej apteczki. Wódką nie pogardzam, lecz w takich chwilach smak najlepszych moich specjałów budzi we mnie odrazę. Ale piję, zalewam się...

To jedyny ratunek.

Już po chwili drętwieją we mnie strachy, przywidzenia. W głowie zamyka się jakaś zasuwa. Zaczyna się pijana, tępa godzina, bezcelowe kołatanie się po całym domu, idjotyczne monologi, obrzydliwe pośpiewywanie. Wreszcie wódka mroczy, usypia.

Rano budzę się tylko z bólem głowy, bez żadnych śladów nudy.

Pewnego wieczora, zimą, gdy wiatr wył w konarach i zamieć śnieżna dzwoniła w okna, wśród miłych myśli ucapiła mnie nagle moja zmora. Nadomiar złego, prócz zwykłych objawów, zwidziało mi się jeszcze tym razem, że ktoś mnie podgląda przez okno. Przywidzenie. Chińczyk już był deportowany na kredens. Zapalam lampę w stołowym pokoju — znowu mignęło się coś za oknem. Udaję, że nie zważam nato. Wchodzę do ciemnego saloniku — i tam, za oknem, stoi czarna postać na tle śniegu. Przemagając się, drżącemi rękami zapalam tam światło, gdy aż mnie odtrąciło od okna... Widzę już najwyraźniej, że ktoś stoi tam, z twarzą przylepioną do szyby. Chciałem uciekać już wprost do apteczki, ale zanim zdążyłem uciec, przykuło mnie pośrodku pokoju wyraźne, dobitne stukanie do okna. Zamarłem, bojąc się odwrócić. Nie obawiałem się żadnej napaści. Marzyłem o tem jeno, żeby to stukanie było prawdą, żeby tam ktoś naprawdę stał za oknem, niechajby nawet zbój... Bo inaczej...

Gdy tak stoję skulony i nieszczęsny, załomotało już jakby całą pięścią. — To naprawdę! Zbieram odwagę i już z pewną otuchą obracam się ku oknu, — patrzę — znowu nikogo. Była to straszna chwila.

Dopiero jak nie dźwięknie od sieni dzwonek, szarpnięty raz, ale dobrze... Oprzytomniałem. Były to jakieś odwiedziny, bardzo u mnie nie-

słychane, ale bądź co bądź... dzwonek. Taki głos nie może być halucynacją.

— Kto tam? — a głos mi drży...

— To ja. Niechże pan już otwiera!

— Kto taki?

— Boi się pan, czy co? To ja...

Głos kobiecy, nieznajomy. Otwieram. Jakaś wysoka, smukła pani. Usuwam się od progu, zapraszam, przyglądam się, ale w przedpokoju ciemno. Otwieram drzwi od pokoju. Staję zboku i (mówić nie bardzo mogłem) uprzejmym ruchem proszę ją dalej. Może to i halucynacja, ale grzecznym być trzeba nawet podczas halucynacji, taki jest świat.

Cała zasypana śniegiem. Futro, szal na głowie, oczy błyszczą dziko — bardzo piękna. Otrzepuje się i wyrzeka, że zmarzła.

— Tak, psia pogoda — potakuję.

— A pan się nie ożenił?

— Nie — skądże znowu?

— Zaglądałam do okien, wypatruję, co tu, i jak. Czy nie zobaczę kobiety, dzieci, bo jakby co, to jużby nie można, a musiałam. Albo mógłby już kto inszy tu mieszkać, mógłby pan do tej pory umrzeć. Tyle czasu! Pan nie poznaje?

Zsunęła z głowy szal. Rozwichrzone, bujne włosy, barwy popiołu, ciemne, nieregularne łuki brwi, modre, świecące oczy. Te oczy... Wymowa dziwna, trudna, jakby niepolska — głos jej drga, snać przemarznięta, czy zbyt zmęczona.

— Ha — ha — ha!... Jeszcze nie poznaje!... Poznałem. Oczom nie wierzyłem, a już poznałem. Dopiero po tym śmiechu.

Sad mojego wuja słynął z owoców. Stary rozsyłał po krewnych i starych znajomych kosze jabłek i gruszek, solówki śliwek. I ja w Warszawie sporo tego dostawałem. Po nim i ja się zająłem ogrodem. Dosadzałem, pielęgnowałem, szczepiłem. Pożerałem tego masami, obdarzałem, kogom mógł. Moja Mumja, gospodyni, preparowała kompoty, konfitury, marynaty, powidła. Pozwalałem jej sprzedawać, ile chciała, ale u nas tu nieradzi kupują owoce, raczej jedzą za darmo. Sadownika do siebie wpuszczać nie chciałem, dopilnować nie umiałem, okradał mnie, kto chciał. Aż z Mąkolina chłopaki robili nocami tłumne wyprawy. O każdej porze dnia zastać było można w ogrodzie gościa z dalekich lub bliskich stron, tyle żem na niego krzyknął, a on hycał przez płot. Takie to było moje gospodarstwo. Kapitan radził porozstawiać po ogrodzie samotrzaski, ale uważałem to za barbarzyństwo.

Pewnego popołudnia w straszny upał wyszedłem sobie do ogrodu i już zdaleka widzę przez gałęzie — jest! Jedyna, wyjątkowa sposobność do przyłapania na gorącym uczynku, bo szkodnik siedział wysoko na jabłonce.

Podbiegłem, wołam: — złaź! — Była to dziewczyna. Ociąga się długo, krzyczę, pomstuję, uda-

jąc straszną zajadłość — nie odpowiada nic, wreszcie złazi. Spódnicę ma podkasaną wysoko nad kolana, w podołku pełno jabłek. Patrzę — Kryśka.

Chwyciłem ją za obie ręce, bo już zerkała po stronach, jakby dopaść płota. Wymyślam, grożę, wrzeszczę, choć niebardzo to umiem.

Wiedziałem, co jest zacz moja szkodnica. Łobuzica, znana na całe miasto i okolicę. Złodziejka, łajdaczka. Matka żyła z prania i żydom sługiwała — pijała, póki mogła, póki się w niej raz wódka nie zapaliła, i pomerła. Kryśka sługiwała po wsiach, pałędała się po mieście, opowiadali, że u Wilantowicza w bandzie była za szpiegówkę, wypatrywała, co gdzie źle leży, psom po dworach trutki ciskała, powiadali i to, że nawet podpalała, jak banda kogo zachciała ukarać. To też strzegli się jej ludzie i bali się jej zanadto ukrzywdzić. Poprosiła kogo jeść, albo o szmatę na grzbiet, albo o przenocowanie — mało kto jej w mieście odmówił. Znikała, pokazywała się znowu. Raz obdarta, innego razu odziana przystojniej. Puszczała się od małości z byle kim. A kiedym ją dopadł na tej jabłonce, miała nie więcej jak siedemnaście lat. Już nie zielona a jeszcze nie dojrzała.

Trzymam ja ją tak mocno za obie ręce i krzyczę. Nie spojrzy mi w oczy, jeno głowę odwróciła, jak ten wilk, i patrzy koso w ziemię i cała się pręży, aż się wije. Nie wydziera się, wie,

że nie poradzi. Wreszcie podnosi zwolna głowę i spojrzy mi prosto w oczy — ale jak!

Dzika, pierwotna nienawiść, bezczelność, szyderstwo, wszystko raczej, niż strach, lub skrucha. Nie prosi się, nie płacze.

Myślę sobie, że trza ją będzie puścić chyba, bo mnie jeszcze podpali. Zajadły byłem na szkodników, a po raz pierwszy dopiero udało mi się kogoś przyłapać.

Spotykałem ją na rynku wiele razy, ale dopiero teraz zobaczyłem, jak jest piękna.

Jak prześwietny klejnot jaśniała w niej dzika, złowroga uroda. Choć była brudna, obdarta, rozkasudrana i bosa, tem bardziej zdumiewała i ciągnęła ku sobie piekielną jakąś ponętą. Tem bardziej — że wiedziało się o niej jeno samo najgorsze i ostatnie: łajdaczka, złodziejka...

Wparła we mnie dzikie, grzeszne oczy, jasne, modre, ogromne. Zmilkłem w jednej chwili. Zapatrzyłem się, utonąłem.

Młodszy byłem o lat kilkanaście, a nigdy nie byłem kapucynem. Nawet teraz — nie. W to upalne letnie południe, w pachnącym ogrodzie, porwał mnie rozkoszny obłęd. Wyjrzał ze mnie djabeł, przytajony już oddawna.

Ta jasnowłosa łobuzica, dysząca upałem i żądzą, półnaga i bosa, chwyciła mnie jak rozpalonemi kleszczami. Płomieniem bił od niej grzech.

Gdy się zdarzy taka chwila, popełnia się

zbrodnię bez wahania. W szaleństwie bierze się zdobycz siłą, walczy się, przemaga, gwałci...

Nie pytałem, co będzie dalej, ale nie mogłem jej puścić od siebie. Paliły mnie jej ręce, palił oddech, paliły oczy.

Wiedziała, co się we mnie dzieje. Patrzyła długą chwilę badawczo, zpodełba. Aż roześmiały się, rozświeciły się oczy, rozchyliły się lubieżnie pełne usta. Stanęła przede mną gotowa, w uroku nagiego bezwstydu.

Chcesz? Bierz mnie! I ja chcę.

Ten cudowny, przeklęty, zaciemniony sad, bujna trawa... Upija gorące powietrze, pełne woni dojrzałych owoców i miodu. Cisza, tylko pszczoły grają. Ona i ja...

Nie powiedzieliśmy do siebie ani jednego słowa. Przyciągnąłem ją — poddała się ku mnie ruchem niewysłowionego, dzikiego czaru, posypały się z podołka jabłka. Owinęła mnie ramionami, wpiła się w usta.

Przylatała do mnie nocami przez otwarte okno, gościła do rana i znikała. Szalałem za nią, kiedy się nie pokazywała dłużej.

Ileż razy błagałem, żeby została ze mną na zawsze. Przekonywałem ją godzinami, obiecywałem złote góry. Śmiała się, i tyle. Zdobyła nade mną dziwną władzę. Niczego jej nie mógłbym odmówić. Ale nigdy nie zażądała niczego.

Podobało jej się u mnie. Lubiła dużo zjeść,

leżeć naga na dywanie, przeglądać się w dużych lustrach. Rzucała się jak dziecko na książki z obrazkami i sporo ich potajemnie wydarła. Ukradła mi lusterko, jedwabny krawat, parę setek papierosów, nic więcej.

— Gdzieś była przez tyle dni?

— Panie dziedzicu — daleko!

— Kogo tam masz? Prawdę gadaj, bo cię uduszę.

— Mam, kogo chcę i póki zechcę. Moja sprawa.

— Zostaniesz tu. Dziś ja cię już nie wypuszczę. Zamknę cię, zwiążę.

— Patrzajcie go! Sambyś mnie wygnał i psami wyszczuł, jakbym ino ze trzy dni posiedziała. Ale ja nie usiedzę. Ja nigdzie nie usiedzę. Zawszem taka była i będę. Daj, panie, jeść i pić, a dużo...

— Kryśka, na wyrozumienie ci gadam, opamiętaj się! Niczego ci u mnie nie zbraknie. Ubiorę cię pięknie, uczyć cię będę.

— Ha — ha — ha!

— Zostań u mnie choć przez jeden cały dzień...

— Oj nie. Ja ino po nocy, jak złodziej, Co panu dziedzicowi po mnie? Z rodu ja łajdaczka i łakudra. Niewarta ja ani pokojów, ani czystego łóżka. Zawsze za złodziejami polecę. Już ja taka. Mało to panien ustrojonych, w gorsetach, na fortepianie uczonych? My ze sobą nie do pary. Pan jest za poczciwy, za grzeczny. Mnie

trza bić, poniewierać, za mordę trzymać. Ja, jak ta suka. W burdelu mnie albo w kryminale zgnić.

Niepodobna jej było oswoić. Niepodobna z nią było nawet rozsądnie mówić. Bystra była, jak dziki zwierz, głodna rozkoszy, jak tygrysica, a nie rozumiała nic mózgiem, nic nie odczuwała sercem.

Jesienią tamtego roku była u mnie po raz ostatni. O rannym zmroku wyskoczyła oknem i nie pokazała się więcej.

Kołatałem się, jak oszalały, przez parę tygodni. Wciąż się jeszcze spodziewałem. Nie spałem po nocach. Nadsłuchiwałem każdego szmeru. Wiłem się z tęsknoty i ze żrącego ku niej pragnienia. Niepomny na nic, zdradziłem się przed ludźmi, rozpytywałem o nią każdego, szukałem. Nikt jej więcej na oczy nie widział. Opowiadano rozmaicie. Miała siedzieć w kryminale z resztkami bandy Wilantowicza. Przebywała u oficerów w koszarach ułańskich pod Mielcami. Miał ją zabrać ze sobą pewien żydek Amerykanin, który tu bawił ostatniemi czasy u rodziny. Młody Pszorn, agent, handlujący żywym towarem.

Aż zaczęło ucichać we mnie. Burza przeminęła. I po stokroć przyznałem słuszność dzikiej Kryście. Powróciłem do siebie, do dawniejszego trybu życia. Byłem, jak zawsze. Co jabym z nią dalej robił? Krysta możliwa była tylko w zapamiętaniu, w niedosycie żądz, tylko w noce

rozszalałe — od wieczora do świtu... Zginęła, przepadła.

Temu trzynaście lat.

Jadła chciwie, piła jeszcze lepiej. Czyniła to ze swojem dawnem dzikiem łakomstwem, jednak znać w niej było niejaką wytworność i spore obycie, jak gdyby w całkiem lepszem towarzystwie. Czekałem, aż sama zacznie mówić, i nie odrywałem od niej oczu. Żakiet, kryty karakułami, musiał być wielkiej ceny, ale był zniszczony i zmięty. Cudowny, przesubtelny szal zdarty był na strzępy. W pokoju było zupełnie ciepło, nawet gorąco, ale nie chciała zdjąć okrycia.

Jadła, piła bez końca — wreszcie koniak uderzył jej do głowy. Odsunęła talerz i wzięła się do owoców. Spoglądając na mnie z pod oka, zatapiała lśniące zęby w pięknem jabłku.

— A może to z tej samej jabłonki, na którejś mnie wtedy przyłapał? Pyszne!

Roześmiała się szeroko, swobodnie, i śmiała się, jedząc. Ja napróżno opędzałem się od ciężkiego, natrętnego smutku.

Spadło na mnie nagłe i przejmujące melancholją poczucie całego tego czasu, który przeminął. Podział się gdzieś na zawsze ogrom dni i nocy, szeregiem za sobą idących. Nieubłagany szept najgłębszej, nieomylnej świadomości i — coraz bliżej, coraz bliżej — już niedaleczko, niedaleczko... A zarazem zdumienie i jakby niedowie-

rzanie, gdym sobie uprzytomnił, że ja naprawdę siedzę tu po staremu i że przez ten cały czas nie ruszyłem się z miejsca. Trzynaście lat!

To wydawało się absurdem. I kto wie — może ta wiośniana Kryśka, gryząca jabłka, jest naprawdę tylko przywidzeniem...

— Powiedzże! Wszystko zostało, jakbym tu była wczoraj! Każda rzecz ta sama i na swojem miejscu... A gdzie to mój Chińczyk?

To zbudziło wszystkie moje podejrzenia. I nie pod żadną przenośnią, ale naprawdę zjeżyły mi się włosy na głowie. Omamienie... Tak, to halucynacja. Nic tu niema — sam jestem. To nie ona. To ten potwór zmusza mnie, żebym go przyniósł i postawił zpowrotem na kominku.

Niepodobieństwo, żeby ktoś po tylu latach mógł pamiętać nędznego Chińczyka!

Źle, myślę sobie, bardzo źle. Ale niema rady. Wysilam się na najwyższy spokój.

— Jest, jest, ale w drugim pokoju.

— Proszę go pokazać! Zaraz!

Jak przez sen idę i przynoszę. Potworek zakiwał się.

— On się ze mną wita! On mnie pamięta! A czemu nie rusza drugą ręką?

— Artretyzm. Ze starości.

— Ha-ha... A pan posiwiał na skroniach, ale wcale niczego jeszcze — jes-sz-cze... Jak to trudno wymawiać po naszemu! Wie pan, jakem po raz pierwszy posłyszała polską mowę... Przed

miesiącem... Już myślałam... myślałam... Nic! My-ślałam, żem nasz... na-szczęt zapomniała. Ale odrazu rozumiałam wszystko. Tak dziwnie było! I mówić mogłam też odrazu. Samo przychodziło na porę każdziutkie słowo. Czasami mi trudniej, czasami łatwiej. Jak jestem wściekła, a wezmę kląć, to czysto idzie. Kląć najłatwiej. Pan tu dycht ciągiem tak siedzi w tej zatraconej dziurze? I może pan wytrzymać?

— Mogę. A ty gdzieżeś była? Zagranicą?

— Gdziem ja nie była! Gdzie ja się nie wyszastała! Hej ten świat bezmierny i szeroki!... Tak właśnie lubię. A tutaj bym sczezła, tu, na jednem miejscu, bym się wściekła. Pan, to jak grzyb, i wszyscy porządni ludzie tyż. Mnie zaś wiater goni po świecie. I właśnie dobrze tak!

— To ci było dobrze przez ten czas?

— Nie poskarżę się. I niczego ja tam nie żałuję! Wyponiewierałam się, użyłam, wszystko już ze mną bywało. A będzie i reszta, jeszcze ja pożyję. Jeszcze wielu głupców będzie się o mnie zabijało, niejeden sobie przeze mnie w łeb strzeli i w kryminale posiedzi, i zwarjuje. Całkiem mi jest dobrze. Uf, gorąco...

— Nie pij już, będzie tego dość. Daj, zdejmę ci okrycie.

— Dobrze. Po starej znajomości nie będę się wstydziła. Ja i tak przed nikim się nie wstydzę. Obdarta jestem, jak dziadówka.

Z pod karakułowego płaszcza błysnęło nagie ciało. Strzępy czerwonej jedwabnej bluzki, oddarte rękawy, naga szyja... Znowu, jak wówczas po raz pierwszy, stanęła przede mną w łachmanach. Znowu to samo piekło gorejące jej dawnego uroku.

Nie, gorsze, głębsze. Z zachwytem i ze zgrozą stałem przed nią, oniemiały. Wnet to uchwyciła.

Wparła we mnie swoje pociemniałe oczy, jeszcze ogromniejsze. Z głębi, z pod łuków ciemnych brwi, sypnęła we mnie ogniem, złym, djabelskim. Rysy zaostrzyły się drapieżnie, na ustach legła pieczęć okrucieństwa i rozkoszy. Przeczysto, cudnie wyrastała z rozwiniętego torsu osada królewskiej głowy, boska szyja. Pełne ramiona zdawały się wzbierać bujną krwią, trującym sokiem. Była jak nieznany, poczwarny, straszny kwiat.

A żyła cała, pełna pamięć tego, co niegdyś było. Ułudą, snem wydał się czas... Ułudą było, że stoi znów przede mną ona, ta sama, że znowu kusi.

W jej dojrzałej, skończonej piękności było czarodziejstwo jakby nagłej, nieprawdopodobnej przemiany. Szatan igrał ze mną, łudził — dawał i znów odbierał, kusił.

— Nie, nie...

Odsunęła mnie łagodnie, popatrzyła i roześmiała się dobrotliwie. Siadła przed kominkiem, i zamyśliła się, wpatrzona w płomień.

Nagle spojrzała po sobie i nieposkromiony gniew buchnął z niej w ordynarnych wyzwiskach, w przekleństwach.

— Patrz, jak on mnie puścił! Com zdążyła zabrać, porozkradali mi na etapach. W Wilnie zabrały mi złodziejki wszystkie pierścionki. W Warszawie na ratuszu łapacze z Wydziału już się zgodzili mnie całkiem puścić i paszport dać porządny, zagraniczny. Bo ja do miejsca urodzenia najsroższym ciupasem wysłana przez zemstę jednego generała. Graf Bujasow, żeby on z piekła nie wyjrzał!

— Wyszpiclował mnie i przyłapał w hotelu ze studentem. Chałuj, nie hrabia! A te łapacze wzięli ode mnie do sprzedania torebkę złotą, trzy perły w broszce — same te perły warte dwieście tysięcy! Tylem ich, psubratów, widziała. Com się nabidowała po więzieniach — jutro sześć tygodni, jak mnie wiozą z Pitra! No, ale teraz... Ale poczekajże ty teraz, wasze sijatielstwo!

Dusiła się w gniewie. Szarpała na sobie resztki bluzki, koszulę, i ciskała strzępy w ogień. Z tej furji wyszła do półciała naga.

Zarzuciła ramiona pod głowę, przegięła się wtył, na pochyłe oparcie fotela, i dyszała ciężko.

Po chwili obróciła się do mnie półciałem, już uśmiechnięta.

— Czysta ze mnie warjatka? Zawszem taka była. Miło mi tu u pana, ciepło. Że też my

się jeszcze zobaczyli, stary? Daj, napijemy się jeszcze: za tamto, co było! Lubiłam cię.

Piliśmy.

Ciągnęła się ta długa noc zimowa, jak straszna, nieprawdopodobna baśń. Dzwoniło zadymką po szybach, wył wicher, potrzaskiwały od mrozu gonty. Przy jaskrawie rozpalonym ogniu, przy szklankach, sprawiało się nasze poczwarne misterjum, jak w niespokojnym śnie wylęgłe.

Poiło wino, upajało jej dzikie, rozkoszne djabelstwo, odurzały jej dzieje niestworzone.

To najbardziej.

Bezładna opowieść losów, z wichrem ciśniętych w szeroki świat, na morza i lądy, dookoła kuli ziemskiej, między ludzi najdziwniejszych, okropnych, dostojnych, złych i dobrych, nędzarzy i bogaczy. I w tem się jeno równali, że każdy lgnął na jej piekielny lep.

Narody i plemiona, wszystkie klimaty, góry i pustynie, i stolice świata, i przygody... I poniewierka, i ciche, dobre szczęście — nędza ostatnia, i przelotne, zawrotnie górne bogactwo i dom publiczny w portowem mieście, więzienia i pałace, wędrówka ciupasem i sleepingi, jachty.

Spadało to, jak lawina, na mnie, odludka, zagrzebanego jakby nawpół już w grobie, nieruchomego od wielu, wielu lat, jak wrośnięte drzewo. Jak dziecko, w zgrozie i ciekawości chłonąłem

w siebie straszną bajkę — prawdziwą opowieść o podziemiach życia, o strasznych, bez dna jego głębinach.

W losach tej kobiety odbijało się, jak w zaczarowanem zwierciadle, straszliwe oblicze ducha czarnej potęgi, nieśmiertelnego boga, wiecznej chuci wieczyście niesytej.

Fatum gnało ją przez świat, każąc kusić i wpadać w czyjeś sidła, panować i ulegać, pastwić się i cierpieć — kochać i nienawidzieć. Przez poniżenie i zbrodnie, przez nędzę i wyuzdany zbytek, przez kwiaty, przez błoto i przez krew szła jej pijana dola. Na wszystko gotowa, nic nie zdolna zacenić, ani do nikogo i do niczego się przywiązać, posłuszna jeno niespokojnemu nurtowi swojej krwi i temu wiecznemu drganiu dzikiej duszy, każdej chwili inna, nieobliczona, obłąkana — Krystka...

Jak kiedyś, leży naga, rozrzucona na wilczej skórze przed ogniem. Wije się i pręży niespokojna jak żmija, lśni w blasku i opowiada bez ładu, dziwnym swoim językiem, niby — polskim, i swoim przyrodzonym, chłopskim, zarywając co chwila słowo obce, zwrot, zdanie angielskie, portugalskie, rosyjskie.

Opowiada bezeceństwa, jak ladacznica, wytarta po wszystkich rynsztokach, kuta i szczwana w swojej sztuce. Maluje, jak kapłanka Astarty, płomienie żądz w krajach, gdzie słońce nie grzeje

lecz pali. Roztkliwia się nad dzieciątkiem swojem, które umarło, wspomni tego jedynego, który był dobry, a którego też zwiodła i skrzywdziła na całe życie. Użali się łzą serdeczną nad dolą sióstr swoich, jak ona za ocean wywiezionych, w niewolę zaprzedanych.

Mądrze, jak stary bywalec, odsłoni tajemnice obcego, dalekiego życia, rzuci czująco obraz morza, zachwyci się wyspą samotną, burzą podzwrotnikową, palmą, gazellą w stepie. Pochlubi się, że zabiła — bo musiała, pochwali się, ile to ona szampana wypić potrafi i jak głód umie znosić.

Wyłoży rzeczowo, jak się odbywają uczty i orgja w Batavji, w Petersburgu. Wie, jak postąpi sobie porządny Anglik i Anglik szuja, w czem się różnią od siebie Meksykanin, Brazylijczyk, Murzyn i Indus, Kanak i Maoryjczyk Niemiec i Francuz.

— Ale żaden najgorszy łazęga ze świata takby mnie nie urządził, jak ten mój generał. Brazyljanby mnie z miejsca zabił, mieszaniec jaki z Singapur czy z Batavji jeszczeby mnie zębami szarpał i moją krewby chlipał. Engliszmen splunąłby i wygnał precz, a jakbym się zbierała do drogi, toby z domu wyszedł, niechbym brała, cobym zechciała. Nie — ten na mnie już z prystawem gotowym naszedł i prosto do „części". Do domu ani na chwilę, wziąć co z ubrania, z rzeczy, nie dał nic. A tam mojego własnego dobra z poprzedniego czasu ile zo-

stało! Perły, przepaski na głowę diamentowe, na ramiona, na piersi, klamry złote sadzone, indyjskie, bursztynowy naszyjnik stary, odwieczny, chiński z Szanghaju — przy mnie Ralf sześćset funtów za niego płacił! I jeszcze ile różności! Tych bursztynów mi najgorzej żal. Zemścił się, suczy syn, i nie uczciwie, jak robi gentelman, a jak prawy kacap, z policją — a na policję w Pitrze nie miałam sposobu. Ścisnęli mnie, ani kartki wolno było pchnąć na miasto. Bywała ja tam pokątnie i u kupca jeszcze jednego, bogacza — tenby mnie był wyciągnął. Zarobił na mnie generał — obłowił się tęgo. A jaki był rozkochany, nic ino mnie po nogach całował, jak pies. Już ja jego obrobię! Przywykła ja i do bicia, i strzylali we mnie, i nożem jeden pchnął — patrzaj...

Podniosła ramię i od piersi aż pod pachę ukazała się biała blizna.

— Ale żeby mnie kiedy który okradł... Żeby mnie ciupasem... No nie! Zaruteńko tam wracam, na drogę ty mi dasz — bo już nic nie mam. Już ja go urządzę! A mojego studenta muszę ratować, bo go tyż zabrali za niebłagonadiożność, i na zesłanie miał pójść.

— Długoś była w Rosji?

— W Pitrze tylko trzy miesiące, ale w Irkucku przez cały rok. Tam się do mnie przylepił jeden „załoto-promyszlennik“, nudził, nudził, aż uparł się koniecznie żenić. Patrzajcie, myślę...

Zmęczona byłam, trochę niezdrowa... Myślę sobie — odpocznę, zobaczę. Pobraliśmy się „zakonnym brakiem", po formie. Nie wytrzymałam. Jak on nudził! Mówię mu — daj ty mnie pokój, bo cię zabiję. Nuda w domu. Nigdzie nie puści. Zazdrosny, jak warjat. Wciąż przy mnie siedzi, wciąż ino gada. Wciąż aby dochodzi, czy ja go aby naprawdę kocham? Czy z duszy? Czy bardzo? Jak bardzo?

Żem mu była wierna, to wiedział, bo mnie pilnował i zamykał. Kucharka mnie szpiegowała i lokaj, i kuczer. Czego chciał? Nic — on mnie precz morduje. A co ja — przedtem lepiej było? Czy nie wspominam którego z tamtych? Djabli komu do mnie?

Parę razy mu zapowiedziałam: — nie nudź ty mnie, mówię, bo się już wściekam. Daj spokój, bo mnie nie znasz.

Siedzę raz, patrzę ja na niego obrzydłego i aż w duszy wyję. Chce mi się gdzieś lecieć. Już mnie djabeł znów podpala.

Cisza taka śmiertelna, zima martwa na dworze, mróz... Godzina była jedenasta wieczór — trza było spać, a nie chciało się.

— Gołubuszka — pyta mnie on — o czem ty teraz myślisz? Mów prawdę! Mów i na „krest" poprzysięgnij, że prawda. Przecie ty mnie żona, ja prawo mam...

We złą swoją godzinę zagadał. Siedziałby cicho, nicby mu nie było.

Wzięłam ze stoliczka ciężki przycisk, takiego bronzowego kiachtyńskiego smoka, podeszłam do niego tuż i jak mu nie pacnę w łysinę! Mózg mu z tej łysiny wypuściłam. Tylko się osunął we fotelu i został.

Na szczęście noc była, służba śpi, pozbierałam, nie spiesząc się, com miała najlepszego, pieniędzy, ile było w domu, i wychodzę. Spojrzałam po pokojach i taka mnie cholera wzięła za tę moją nudę, żem nazgarniała w kąt papierów, krzeseł, czego się dało, podłożyłam zapałkę i poszłam.

Poleciałam ja do samego policmajstra. Dawno on oczami za mną wodził, inorodiec był, czarny, wściekły Gruzin, stary kawaler, hulaka pierwszej gildji. Mało go ja znałam, ale czuła w nim tęgiego djabła moja dusza. Zasłoniłam się futrem, przekradłam się. Mówię co, było — ratuj.

Tylko mu się te oczy do mnie zapaliły, jak dwie świece. — Dawno tak trza było — mówi. — Ratuj mnie! — Nic ci nie będzie! — Nie chcę na katorgę! — Głupstwo, „uładim", niema o czem gadać. „Dawaj, biesnować się"! — „Dawaj"! Całuje mnie i pyta: — A jak zdrowie szanownego Władimira Iwanycza? — Dziękuję, — odpowiadam — trochę niezdrów, pół mózgu mu wypłynęło. — Jemu i pół dosyć. — Dosyć — i tak go pochowają. — Wieczne mu odpoczywanie, godny był bałwan.

A tu telefon: — Pożar w mieście. Posłał na pożar pomocnika i do mnie. Patrzy przez okno — wielka łuna, dom był drewniany. Mówię mu: — to nasz dom gore, podpaliłam. Strasznie mu się to spodobało. Na kolana przede mną upadł. — „Caryca" ty i demon z ansu! Czuł ja w tobie djabła!

Jak się na mnie rzuci... Ilu mnie w mojem życiu miało — nie naliczę. Ale ten, ale ten... Wdzięcznie będę mu pamiętała tę nockę.

Trzymał mnie przez tydzień zamkniętą. Szukają mnie, cała policja na nogach. Trupa „pożarni" wynieśli, w mieście gwałt — co za zbrodnia! Puścili telegramy po całej linji syberyjskiej. Mój policmajster gorliwie prowadzi śledztwo, stara się, mnie przeprasza: — Wybacz, gołubuszka, że w domu mało siedzę — tyle roboty z tem twojem zabójstwem. Trudno, obowiązek służby.

Przez dzień spałam, przez noc szalałam. Z takim czortem jużem się niczego nie bała. Po tygodniu, powiada: — A teraz, komu w drogę, temu czas. Nie można dłużej. Masz przez dziesięć dni wolną drogę — tak urządziłem, że cię teraz szukają w Czycie, tam cię widzieli, poznali i zeznali do protokółu. Jedź z Bogiem i radź sobie sama. Tutaj ja pan i car — ale dalej nie mogę. Pieniędzy chcesz?

Trójką mnie wywiózł do trzeciej stacji jeden komisarz, „wierny rab" policmajstra, „biegły" z katorgi. Dalej już mi było łatwo.

Ale paszportu mi „lewego“ nie wydał, bo słusznie mówił, jakby kiedy co, to o mnie przyjdzie do Irkucka „sprawka“, albo mnie i przywiozą, i wtedy się wszystko wyda. Pojechałam za swoim dawniejszym dokumentem, który mi jeszcze mój żydek od żywego towaru wyrobił. I przez ten świstek, przez ten paszport, ja tu teraz jestem... Pijmy!

— Pijmy.

— Krystka — pytam: — powiedz, co ci się we świecie najbardziej spodobało?

— Najbardziej? Jedna taka rzecz? Czy chłop któren? Czy miejsce jakie, czy co?

— Tyleś przeszła... Powiedz, co najbardziej pamiętasz? Czy najlepsze, czy najgorsze? Kiedy ci było dobrze, najlepiej? Każdy człowiek to wymiarkuje, jak jeno pomyśli.

— Naco to wiedzieć?

— Chcę zrozumieć, co za djabeł w tobie siedzi. Bo widzisz, ja nic innego nie robię, tylko czytam mądre książki.

— A nasz rabin Bombach żyje? Ilem razy przelatała ogrodami koło jego okna, gdzie się kiwał nad talmudem, zawszem przed nim kieckę zadarła pod samą brodę, bo to u takiego straszny grzech i pokuta za samo patrzenie. A patrzył dobrze, wytrzeszczał te oczy, nie bój się. Żyje tyż on jeszcze?

— Żyje. W tych książkach mądrzy ludzie

piszą o wszystkiem: o dobrem, o złem i o tem, że dobre się ze złem w człowieku kłóci. I nie według tego, jak nakazane, ale każdy po swojemu układa: to jedno ma sobie za dobre, a tamto za złe. Jeden sobie pozwoli więcej, bodaj na wszystko, inszy się męczy i dręczy, a wstrzymuje się przez całe życie. A ponad ludźmi stoi religja i prawo, które, jak się to mówi, pilnują na tym świecie ładu i cnoty, a religja to nawet i na tamtym świecie nagradza w niebie i karze piekłem. I po śmierci, na strasznym sądzie, Pan Bóg zapyta każdego z nas...

— Co mi się najbardziej spodobało? Zawracanie głowy z tą całą mądrością. Daj spokój. Po prostemu to ci powiem, że mi się nic jednego najwięcej nie podobało, a bardzo dużo rzeczy i to zupełnie porównu. Bo ja już pamiętam?

— Jeżeli już coś nadzwyczajnie miłego, to musisz przecie pamiętać.

— Miłe, nie miłe... Niekoniecznie musi być miłe, żeby się podobało. Co to znaczy miłe? Kot jest miły, lubię go pogłaskać. Ze starą prostą babą lubię pogadać o niczem. Miło jest obdarzyć żebraka, dać mu odrazu tyle, żeby się aż przestraszył... Takie rzeczy, to nic. A to, co mogłoby być naprawdę miłe i dobre... Niechże to wszystkie pioruny spalą! Nie chcę! Nie chcę!

Usiadła na ziemi, objęła rękami kolana i mówiła w złości szybko, porywczo.

— Dziecko miałam, dziewczynkę, nie wiem, czyja ona była. Już ja wtedy zmądrzałam, umiałam sobie radzić. Zastała mnie ciąża w Sydney. Sama byłam, bez żadnego chłopa przez kilka miesięcy, w takim Woman Hotelu, w ogrodach na strandzie, daleko za miastem. Pieniędzy miałam dosyć, na jaki rok cichego życia. Takem sobie przywarowała w tem miejscu i przycichła. Oj — dalekoż to stąd, oj nie do wiary, że ja tam była... A teraz ja tutaj... Co? Jakże to?

Wsparła się na rękach, spuściła głowę i patrzała pilnie w podłogę, zasłaną wilczą skórą.

— No i co?

Podniosła na mnie oczy zdumione i błędne.

— Widzisz? — wskazała na podłogę. — Bo ja widzę. Widzę mój domek i morze, i siebie tam...

Naprowadzałem ją na tok poprzedniego, widząc, że już pijana. Ale napróżno. Z uporem stukała pięścią w ziemię i kazała mi patrzeć. Wstałem i patrzę z nią razem.

— Widzisz? Stara mistress Chisby obcina róże do obiadu; doktór Helman, poczciwy Niemiec, opowiada mi, co widział wczoraj w mieście w kinematografie. Berta, stara panna uczona, czyta głośno z gazety nowiny o wojnie z Boerami. Pies wodołaz Ragnar leży na słońcu. Morze lśni iskierkami na czarnych płatach, a dalej jest modre. Ogromny żaglowiec siedmiomasztowy idzie do naszego portu. Mała Ninka, śliczna siedmioletnia dziewczynka, goni wielkie

białe motyle i pokrzykuje jak dzwoneczek. Leżę w hamaku z książką, bo tak wypada w hotelu, ale nie czytam, bo choć umiem, nigdy tego nie lubiałam. Obłoki... Koło latarni morskiej rojem latają białe mewy. Jakiś przechodzący tuż holownik trąbi przeciągle, potężnie... I ty tego nie widzisz? Ja widzę. Skroś ziemię, bo świat to wielka kula — kula ziemska. A doktór Helman nieraz powtarzał, że Europa jest akurat naprzeciwko, naskroś, jak przeszył. Tak wszyscy mówią i to musi być prawda, choć nigdy nie zrozumiem, żeby tam do góry nogami... Byłam tam... I tu teraz jestem...

Podniosła ku mnie oczy, potarła czoło. W jej cudnem, pytającem spojrzeniu, w bezwładzie półleżącego ciała była dziecięca bezradność. Ciemne brwi skupiły się. Kłopotała ją jakaś trudna, za trudna dla niej myśl, błąkała się w niej, grając i mieniąc się w rysach twarzy. Już otwierały się usta, żeby wymówić słowo, i zaciskały się zpowrotem. Po raz pierwszy zbudziło się we mnie cieplejsze, bliższe, ludzkie ku niej uczucie. Przez mgłę odurzenia użaliłem się nad nią, jak nad dzieckiem: taką samotną, ciśniętą w pustynię ogromnego świata, między dzikie bestje ludzkie! Samą, bez jednej duszy życzliwej.

Jak i ja — z dobrej woli i z własnego wyboru nędzny odludek. Jednaka nasza dola. Użaliłem się nad nią, a jeszcze bardziej nad samym sobą. A widząc, że jej łzy kapią z oczu, roz-

płakałem się i ja. Ukląkłem przy niej na ziemi, chlipię i pocieszam ją, gadając jakieś trzy po trzy. Ocieram jej oczy, jak dziecku, tulę do siebie, nie jak wspaniałą nagą kobietę, a jako maleństwo bezbronne, skrzywdzone. Przygarnęła się do mnie i aż się trzęsie w tym płaczu.

— Płacz — mówię — płacz, to ci ulży. Potem obmyślimy inne życie, dla ciebie i dla mnie też. Bo i ja nieszczęsny jestem, jak ty, bo i mnie też źle. Jakże tak można ganiać po całym świecie? Bezustanku, bez żadnej przystani? Jakże tak można siedzieć w jednej dziurze i wciąż aby ze samym sobą? Warjaty my z tobą, Krystka! Radźmyż nad sobą, ratujmy się! Razem się trzymajmy.

— Ożenisz się ze mną?

— Ożenię się.

— Ze mną, z kurwą?

— Z tobą!

— Nudził nie będziesz? Nigdy?

— Nie! Nie!

— Bo tyż ci łeb rozwalę, to sobie pamiętaj!

— Nie będzie trzeba. Jam nie taki.

— Co ze mną będziesz robił?

— Dobry będę.

— Tu będziemy wciąż siedzieć?

— I tu, i gdzie indziej, jak ty sama zechcesz.

— Mów, co będzie dalej.

— Ustatkujesz się, odrodzisz się, będziem mieli dzieci...

Jak mnie pchnie od siebie — ażem się potoczył po ziemi. Jak nie skoczy na równe nogi! Ejże klnie, pomstuje! Chwyci ze stołu butelkę z koniakiem, zaleje się cała po ślicznem ciele, wreszcie chwyci ustami za szyjkę i pije, a zęby jej szczękają o szkło. Zamachnie się flaszką, jak nie puści we mnie. W porę jej się umknąłem z drogi. I już się śmieje.

Wytrzeźwiałem i znowu myślę jasno. A ona spokojna. Pali papierosa, patrzy przytomnie, jak nie pijana.

— Urodziło się o swej porze, spokojnie, bez awantur, bez dużego bólu. Prawdziwie, jak to mówią, „przyszło na świat". Odrazu wszystko się we mnie odmieniło. Nie, mówię sobie, już teraz — halt! Choć wiem, że dziecko w moim fachu to kula u nogi, choć nic ja nie umiem i nie potrafię, tylko chłopów ciągnąć i ssać jak ta pijawka. Jakże mi z dzieckiem? Zrobiłam się porządna, nawet wstydliwa, a wciąż ino kołace we mnie: inaczej, inaczej, wszystko inaczej. Jak? Nie wiedziałam tego, i myślę sobie, mam czas. Pieszczę ja to małe — dziewczynka była — napatrzeć się nigdy nie mogę...

— Mówię ci — djabeł w niej siedział, tak ja się przy niej rozkleiła. Mówię ci, że mnie tego czasu jeno strach i zgroza brała, przez co ja przeszła, com ja wyrabiała. Obrzydzenie mnie zdjęło takie do samej siebie, że skórę tę grzeszną darłabym ze siebie, jak

znoszoną koszulę. O czem ani razu w życiu nie pomyślałam, to mi się myślało. Skąd się to we mnie brało? Kto mnie, łajdaczkę wieczną, uczył? Kto mi to radził? Zapragnęło mi się, żeby być jak porządne kobiety, ale już tak się zażądało, jak kozie octu. Inaczej chodzę, inaczej patrzę... Już chyba, myślę, wydam się za jakiego cichego człowieka, niechby i niebardzo bogatego. Przybył tam jeden taki do naszego pensjonatu — na tasmańskiej wyspie owce hodował, dorabiał się. Chłop wielki, mocny, łagodny jak cielę — niedługośmy się z nim zmówili. Byłam mu jako narzeczona — a o dawniejsze on nie pytał. Skromni byliśmy oboje — przed ślubem nic. Polubiłam go bardzo, pierwszy w życiu raz ja kogoś polubiła. Miała Helutka cztery miesiące... Zachorowała i umarła.

Póki mi jej nie zabierali na cmentarz, nic ja nie rozumiała. Ale jak ją ponieśli w białej trumience...

Warjowałam, chorowałam w gorączce ze trzy tygodnie. Wyżyłam, wstałam, chodzę. On — jak do rany przyłóż, najlepszy. — Jedźmy, powiada, zaraz do siebie. Ślub tu weźmiem, i do siebie. Tam, na wsi ci odejdzie, domek mamy śliczny, owiec tysiące, bydło, gospodarstwo. Zajmiesz się czem... Jeszcze będziem mieć dzieciątko niejedno. — Dobrze, mówię na zgodę...

Pojechałam ja tramwajem do miasta, kupić to i owo, a on ostał. Kto wie, gdyby nie był ostał?...

Napadła mnie wścieklizna między ludźmi pośrodku ulicy. Rozpacz za małą, a przytem straszna na nią zajadłość. Krzyczy coś we mnie: Helutka, gdzie ty? To znowu: Ty bachorze, ty bękarcie!

I płaczę, ale jakby cudzemi łzami, a chichot taki we mnie wzbiera zły, przekorny, ten mój własny. Do djabła wszystko, myślę sobie. Jak do djabła, to dalej już, na całego, po dawnemu!

Wyporządniała ja ze szczętem przez te pół roku. Aż się we mnie pali. Już wytrzymać nie mogę. Zaszłam do baru — wódki się napić. Siedzi przy bufecie na wysokim stołku elegant jakiś, zdechlak zgarbiony, o zgasłych oczach — pięć groszy bym za niego nie dała. Ciągnie przez słomkę whisky z sodą, jak za karę przymuszony, i ziewa.

Spojrzę na niego i piję swoje. Po chwili patrzę znowu — już nie ten człowiek. Rozprostował się, wypiękniał, oczami to aż strzela — roześmiał się śmiało, bezczelnie. Toś, myślę sobie, numer! Poszliśmy razem.

We dwa dni potem jużeśmy płynęli we światy.

Bogaty był strasznie i jakby chory na umyśle, raz taki, raz inny — nigdzie nie mógł miejsca zagrzać. Posiedzimy gdzie trzy dni, tydzień — już rwie dalej. Nic on nie oglądał, wszystko mu było jedno gdzie, byle gnać. Jest taka angielska choroba — z bogactwa.

Z nim tom się wyjeździła! Bombay, Kalkuta, Cejlon, Singapore, Saigon, Batavia, Szanghaj, Mindanao, Honolulu, Frisco, a potem napowrót do Japonji. Najlepiej się czuł w drodze, na morzu. Zajechalim do Tokjo, pogoda mnie zmęczyła, obrzydzenie mnie wzięło do tego morza. Miotło ze mnie, że strach. Tylkośmy wpłynęli do portu, powiada mi Ralf, iż najbliższym zaraz statkiem będziem wracać znowu na wschód przez cały Spokojny (czort on nie Spokojny).—Gdzie? Poco? — Do Frisco. — Zwarjowałeś ty już naprawdę? — Są tam w menażerji żyrafy. Dopiero wczoraj przeczytałem w przewodniku. Pojedziemy zobaczyć. — Dobrze, mówię. A uparty był! Com chciała, to mi zawsze kupował, ani razu nie odmówił. Ale co dotyczyło jazdy — żadnego gadania — warjat i tyle. — Dobrze, mówię — jechać, to jechać.

A sama pozabierałam we dwa kufry, co najlepszego, i myk do innego hotelu, na drugi koniec miasta. Stał tam jeden kapitan z Władywostoku, od budowy okrętów. Gruby, pijak, pieniędzmi cały wypchany. Z nim pojechałam.

Skręcona, zwinięta jak żmija, leżała przed dogasającym ogniem i spała. Dołożyłem ostrożnie parę polan, usiadłem w fotelu i rozmyślam. Zmęczony byłem — jak gdybym własną osobą przebył jej wszystkie podróże i koleje. W głowie mi się mąci, bo i było z czego — wy-

piłem też niemało. Myślę, myślę, ale myślenie wydziera się ze mnie gwałtem i leci naprzód już beze mnie, samopas. Nigdy nie czułem w sobie nic podobnego.

Oglądam się wokoło na pokój ukochany, gdziem jak w więzieniu przeżył tyle lat, i śmiech mnie bierze. Przecie ja tu ani jednego dnia więcej nie wytrzymam! Podrywa mnie — uciekać i to zaraz. Gdzie? Wszystko jedno. Zachciało mi się gwałtem być stąd daleko, na drugim końcu świata. Zmógł mnie głód przestrzeni, ruchu, pędu, odmiany—ludzi, ludzi! Dobrych czy niegodziwych, ale bohaterskich, ciekawych, odważnych na wszystko — żyjących! Zaroiło się w mojem chceniu od awantur. Już wiem, że jutro o tej porze będę daleko. Tam mnie spotka niewiadome szczęście czy nieszczęście, tam się spełni moje przeznaczenie, tajemny cel życia.

I widzę już naprzód górne, niesłychane moje czyny, widzę całą moją dumę rozkoszną sławy mego imienia. Czuję w sobie ogrom sił. Burzy się w mojej głowie, jak morze, wielka mądrość, uzbierana w ciągu lat pracy i rozmyślania. Nikt mi nie przeszkadzał, nikt mnie do niczego nie zmuszał, na nikogom się nigdy nie oglądał. W mojej surowej pustelni wyhodowałem w sobie skarby nad skarbami—własną wolę, własny sąd. Gdy ze skarbem tym wejdę między ludzi—świat podbiję.

Panować! Narzucić swoją wolę masom ludz-

kim, wypadkom. Chcę, żeby poczuł świat moją obecność! Jak to będzie? Mniejsza o to — przyjdzie nowe jutro, i obudzę się ze snu jako nowy człowiek. Jutro już będę znał moje drogi i cele. Spełniło się; do ostatniej godziny odbyłem sądzony mi czas próby, przezwyciężyłem wszystkie pokusy. A zanim nadejdzie świt nowego dnia, zanim podźwignie mnie i poniesie fala mego przeznaczenia, zanim odezwą się gromkie czyny moje — niechaj żyje wolna, rozkoszna godzina cudu i przemiany!

Co za radość! Szeroko rozwarte przede mną bramy życia. Wabią syrenie głosy potężnych, niezaznanych wrażeń. Przepływają obrazy, jak czarem zahaftowane, w nieogarnionej rozmaitości, bogactwie i w głębi wszystkich barw. Czytam je jak napisy, wyryte ręką przeznaczenia na bliskich jutrzejszych kolejach mego nowego żywota. Złoci się blask sławy, migocą jak gwiazdy uśmiechy szczęścia, barwi się purpura krwi... Cokolwiek mi przypadnie — cześć życiu!

I tobie cześć, gościu nowy, wędrowny ptaku rajski, drapieżny! Błogosławione niech będą twoje żądze, rozkosze, zbrodnie! W tobie wcielony pęd i lot nieśmiertelnego życia, wieczysty święty bunt...

I z głębi natchnionej piersi zawołam, pochyliwszy się nad uśpioną:

— Krystka! Wiesz, co ty jesteś?

Senna, nie otwierając oczu, nie patrząc, kto

do niej mówi, owinęła mi szyję ramieniem. Przywarła do mnie całem ciałem, odurzyła cudem swych piersi. Zanim się zwarły nasze usta, podniosła powieki i z za ciemnych rzęs wpiła się we mnie spojrzeniem. Otwarł się w tych oczach przestwór bez granic, porwała mnie ich głębia.

Odpadła ode mnie senna, bezwładna. Złożyłem ją drżącemi rękami i, oczu oderwać nie mogąc, stałem w podziwie.

Nad tajemnicą jej urody, jej czaru i władzy. Nad zagadką jej istnienia i nad niesłychanym jej początkiem. W cuchnącem błocie miasteczka, na śmietniku wszystkich nędz wyrósł ten kwiat wspaniały, złowrogi, pełen rozkosznej trucizny. W linjach uśpionego ciała czytałem dziki poemat jej życia. Nie umiała i nie zdążyła opowiedzieć o sobie wszystkiego. Może nie rozumiała wszystkiego, może kłamała? Jej ciało za nią myślące, rządzące jej losami, otwierało przede mną księgę jej całej prawdy.

Od niepokalanych stóp, do głowy tonącej w burzy płowych włosów mieniła się w tysiącu czarów, powabów, przynęt, pokus, tajemnic. Całowało ją tysiąc ust po tysiące razy. Była jak bóstwo czczone, złe i potężne.

Nieświadome jej zło i grzech. Nieświadoma jest jej siła. Czyż wie ona, że gdzie się pojawi, budzi wokoło siebie wiry i odmęty, z których,

gdy ona już odejdzie, rodzą się dalekie wydarzenia, nieobliczalne następstwa?

Czy zrozumie, czy uwierzy, gdy jej wyznam, że ona, że losy jej przez świat gnanego czaru, jej nieposkromiona, niespokojna chuć sprawiła cud, że człowiek skamieniały w sobie, martwy od wielu lat — ożył i powstał, przeobraził się i na nowo się urodził — jeno przez to, że ślepy przypadek zagnał ją do jego pustelni, do jego starego grobu?

Bądź błogosławiona zato.

Wzbierało we mnie natchnienie. Musiałem wypowiedzieć to, co się nie dało, to, czegoby nigdy nie pojęła ona — ciałem czująca. Jak wyrazić, jak jej podziękować, cudotwórczyni?

Wzbijały się wgórę i przelatywały jak wichrem przeganiane myśli niewyrażalne, najgłębsze... Mroczyło się w głowie, w oczach — jak przez mgłę widziałem rozkrzyżowany jej kształt w blasku ognia.

Zamilkły myśli, nie podołała już głowa... W prostym odruchu zapragnąłem spełnić z nią razem ostatni kielich, zanim nadejdzie świt nowego dnia, nowego dla mnie życia.

Najwyborniejszem winem, pełną czarą, na cześć, na hołd tajnikom życia!

Słaniając się, poszedłem po wino, po omszałą butelkę, którą mi zostawił zmarły wuj, z kartką

przywieszoną przed wielu laty: — Pij w radości, w ważnej godzinie życia!

Wydobyłem dwie czarki stare, srebrne. Ostrożnie otworzyłem wino, ostrożnie nalewałem, ostrożnie, ze skupieniem, poniosłem pełne kruże.

Duch i ciało. Rozum i żądza. Przemądry samotnik i ćma stubarwna, latająca nocami po szerokim świecie...

— Na cześć naszego spotkania!

Czerwony, mroźny świt zaglądał przez okna. W gabinecie dopalała się lampa. Od wytwornego ładu w pokoju biła martwota i nuda. Na wilczej skórze przed wygasłym kominem — nikogo.

Jeno w lustrze — stał człowiek stary z pełnemi czarami wina. Długo patrzyłem, zanim go poznałem.

ŻYWOT LORDA CAMELFORD

Nasz czcigodny aptekarz, który sprowadził się tu w dziesięć lat po mnie, umarł w parę miesięcy po swojem przybyciu do Świeciechowa. Nie zdążyłem się z nim zbliżyć, choć posiadł on odrazu moją sympatję, między innemi i przez wzgląd na swoją żonę. Kobieta ta byłaby niewątpliwie bardzo piękna, gdyby nie jej nazbyt kolosalny wzrost i więcej niż monstrualna tusza. Był to fenomen, i gdyby nie była szanowną małżonką uczciwego właściciela apteki, mogłaby uzyskać świetne zyski i światowy rozgłos, dając się obwozić na pokaz. Byłoby naco popatrzeć, byłoby zaco zapłacić. Ilekroć ją widziałem, zawsze, pomimo przyzwyczajenia, doznawałem wrażenia zaskoczenia i niespodzianki. Należała ona do zjawisk, do których niepodobna się przyzwyczaić. Przez delikatność nie spytałem się ani razu pana małżonka, ile też szanowna pani waży, choć cyfra ta była dla mnie jedną z najciekawszych liczb. Napróżno ją zgadywałem.

Pożycie ich było bezdzietne i wzorowe. Tworzyli jaskrawo niedobraną parę. Aptekarz był to sobie średniej miary żylasty chudziaczek

czarny, owłosiony pod same oczy. Przy każdej zresztą kobiecie w parze byłby na swojem miejscu, — ale zpośród wielu znajomych w mojem życiu wybitnych dryblasów, nie znałem ani jednego, któryby, co do miary, nadawał się do dyszla małżeńskiego z panią aptekarzową. Kto wie, może takiego niema nawet na świecie?

Gest miała szeroki i chód majestatyczny, głos dramatyczny i potężny. Gdy w letnie wieczory śpiewała przy akompanjamencie męża, psy wyły w Mękalinie, o półpiątej wiorsty. Gdy wołała na służącą: Maryniu! — mogły się odezwać wszystkie Marynie w obrębie pół mili. Nasz kapitan przezwał ją Fanfarą i już to przy niej pozostało.

Pan aptekarz był to człowiek słodki, małomówny i wiecznie osłabiony. Gdy tu przybył, snać był już na schyłku. Pomimo troskliwej opieki żony i lekarstw za darmo, Świeciechów niedługo miał z niego pociechę. Stosunki nasze nie mogły się zacieśnić. Wszakże byłem u nich z wizytą, a małżeństwo oddało ją mi zupełnie poprawnie. Pan był, jak zwykle, milczący, wyczerpany i chory na żołądek, ale pani, gadając bez przerwy przez dwie godziny wizyty, zjadła w tym ciągu cały koszyk moich wyborowych gruszek. Niech jej będzie na zdrowie.

Aptekarz umarł w listopadzie, ale już z wiosną tego roku przybył mu do pomocy prowizor, młody, krępy farmaceuta, nazwiskiem Dziadoszek,

gdyż pryncypał nie mógł już pełnić swoich obowiązków. Chłopak to był układny i miły, jednak w wyrazie twarzy, w oczach i niemal w całej postaci, bodaj nawet w sposobie ubierania się, miał coś wyzywająco bezczelnego. Był uprzedzająco po aptecznemu grzeczny, jednak zdawał się drwić w żywe oczy z gościa, któremu nadskakiwał. Był człowiekiem, patrjotą, odzywał się z rozumieniem o socjalizmie, zaś głównie interesował się czarną magją, chiromancją i wiedzą tajemną. Mówił o tych sprawach bardzo inteligentnie i z wielkiem przejęciem, cóż, kiedy nigdy nie mogłem się oprzeć przeświadczeniu, że drwi on sobie w najlepsze i z socjalizmu, i z chiromancji, i ze mnie. Nic on temu nie winien, że ma taką minę, ale świat nie pyta o winę. Tak cię piszą, jak cię widzą. To też był on niejako ofiarą i męczennikiem swojego wyglądu.

— Panie dobrodzieju — biadał, — za to „nachalstwo" w mojej gębie wyrzucili mnie ze sztuby w Warszawie, w Radomiu, nawet w Pińczowie — (niepocztienje k naczalstwu). Gdyby nie to, nie byłbym ja teraz pigularzem. Ileż miałem awantur!... Każdemu, naprzykład, wolno patrzeć na kobiety, tylko nie mnie nieszczęsnemu. Zaraz: — Jak pan patrzysz na moją damę? Co za arogancja! Oberwałem za to już nieraz porządnie, a nakładłem drugie tyle, bo nie znoszę niesprawiedliwości. Trudno, ja się

muszę bronić. Co za los, co za los opłakany....

Wzdycha i biada, a ja nie mogę się wstrzymać od śmiechu, bo i to mi się wydaje komedją.

Był fachowcem pierwszej klasy, zwłaszcza w sprawie drobnych rozpoznań i porad lekarskich dla chłopów i żydów, które to dwa odrębne działy medycyny wchodzą na odległej prowincji w zakres kompetencyj apteki. Oboje pryncypałostwo byli z młodego pomocnika zupełnie zadowoleni, ale on miał tylko dla szefa sporo współczucia i litości, Fanfary zaś od początku nienawidził. Ileż o niej umiał spłodzić na poczekaniu paradnych kawałków!

Najlepszego jednak swojego kawału nie opowiadał nikomu.

Był to niezaprzeczenie najbardziej inteligentny i zajmujący człowiek z tutejszych ludzi. Kapitanisko starzało gwałtownie i, upijając się, już po paru kieliszkach plotło jeno trzy po trzy. Profesor też gonił resztkami, a pod koniec wpadł w manję, że ja, jako człowiek też piszący — skąd on się o tem dowiedział? — chcę go okraść z jego idej i pomysłów. Stary Działłowicz umie tylko wzdychać — Helutka jest zbyt niebezpieczna, żebym miał zaglądać za często na polanę. Geometrę Krebsa, jak wiadomo, djabli porwali do piekła za bluźnierstwo. I nikogo więcej niema.

Pan Dziadoszek zaczął do mnie przyłazić. Ujął mnie swoim towarzyskim taktem, gdyż nie

pchał się do poufałości, a porwał poprostu swoją rozhukaną, dziką imaginacją, która rozmowy z nim czyniła czemś w rodzaju baśni z tysiąca i jednej nocy. Stopniowo doszliśmy z nim do zupełnej zażyłości.

Na parę miesięcy przed pogrzebem aptekarza, latem, wybrałem się na przechadzkę ku ruinom. Piąłem się wąską drogą między litym murem a nagłym spadkiem wzgórza — przejście zwane przeze mnie „Orlą Percią", na cześć drogich sercu każdego Polaka Tatr, do których nie wybieram się bynajmniej, ale tęsknię. — Trzymam się krzaków berberysu, szczelin w murze i docieram do pierwszego okna, do tak zwanej „kaplicy". Był to uroczy, przez samą naturę przystrojony zakątek. Kaplicę wypełniały bujnie krzaki malin, a pośrodku, jak sztuczny gazon, słała się miękka trawa.

Spojrzałem przez okno wgłąb.

...Kaplicę wypełniały krzaki malin, a pośrodku... Boże miłosierny.

Wśród gruzów zamku leżą porozrzucane liczne szczątki monumentalnych posągów z piaskowca. Jedną głowę i jedno ramię mam nawet w mojem muzeum domowem. A oto nogi nieznanej karjatydy...

Boże, co za nogi...

Nikt nie odpowiada za ślepy traf, a przecież nie godziło się patrzeć. Jednak — patrzyłem.

Coś epickiego, coś z Homera, coś godnego Zeusa, ogrom plastyki, wobec którego najtęższe uda Rubensa są to nikłe piszczele.

Nie jestem profesorem archeologji sztuki, ale choć nie miałem czasu do dalszych badań, z jednego fragmentu odgadłem arcydzieło. Gdym puścił framugę i zsunął się wdół, doszedł mnie zgóry potężny jęk — westchnienie. Spełniło się — żadnej wątpliwości. Jedna tylko pierś w Świeciechowie mogła tak głęboko westchnąć.

Usiłowałem patrzeć na okolicę, myśleć o rzeczach poważnych i nie zaprzątać się ani na chwilę dłużej panoramą, widzianą przez okno kaplicy. Jednak tak się stało, że okrążywszy nader szybko mury, znalazłem się na jedynem wygodniejszem zejściu od ruin ku miastu. Usiadłem sobie niewinnie, zapaliłem papierosa i wydobyłem książkę z kieszeni. Niedługo trzeba mi było czatować.

— A, dzień dobry kochanemu panu! Kochany pan tylko wciąż czyta! A tam wgórze taki cudowny widok!

— Moje uszanowanie pani! Owszem, widziałem widok, a — tak! Dzisiaj — nadzwyczajny!

— Przed samym zachodem najpiękniej. Jaka jestem zmęczona — pan przyzna, trudno mi pod górę. Panie Dziadoszek! A dosyć tam tych malin!

— Ho hop! Zaraz!

— Muszę się spieszyć do domu. Pan wie? Z mężem coraz gorzej — takam niemożliwa...

— Ależ, pani dobrodziko! Należy oczekiwać poprawy. Teraz pryncypał może przynajmniej wypocząć...

— Tak, ma pewne wyręczenie, ale pan wie, co to nas kosztuje?

— Tak, tak...

Poszła, sapiąc i ostrożnie spuszczając wdół swoją masę. Po chwili ukazał się w podskokach pan prowizor.

— A, to pan!

— Dobry wieczór.

— Widzi pan? Jak mnie babsztyl przy niedzieli po spacerach gania. A głupie to, a nudne!... A sapie, a stęka! Zupełnie jakbym prowadzał na spacer holenderską krowę...

— Panie Dziadoszek!

— No, co?

— Ten dzisiejszy, niedzielny — to pański najlepszy kawał!

— Holenderska krowa? A co, bo i nie krowa?

Na pogrzebie wdowa wyprawiała takie spazmy, że cała okolica w skupieniu wsłuchiwała się w odległy tragizm dźwięków. Nie mówiąc o innych obecnych, nawet zahartowany fachowiec, stary organista z Mękalina, który był świadkiem tylu zejść, ostatnich namaszczeń i pogrzebów, nie mógł powstrzymać się od łez, patrząc na taki ogrom rozpaczy. Znękany prowizor też usiłował płakać, jednak i to wyglądało u niego na drwiny.

Już został przy aptece. Co spowodowało cichego nieboszczyka do formalnego zawarowania w testamencie, że apteka i cały majątek przechodzą na wdowę, ale do czasu, póki pozostawać będzie niezamężna? Zapewne wielka miłość, oraz zwykłe złudzenie człowieka, który, wybierając się na tamten świat, przypuszcza, że mu coś z tego przyjdzie, jeżeli ktoś na ziemi będzie go wspominał i przeklinał.

Zgłębiwszy, co to śmierć, niejeden radby odwołać nieopatrzny testament, jednak, pomimo, że nie brak tam rejentów w niebie, w czyśćcu, a wreszcie i w piekle, poprawki takie przy obecnych stosunkach są możliwe li tylko przy udziale kosztownych krętactw pozostających na ziemi adwokatów, którzy z powołania i z wykształcenia swojego mają między innemi za zadanie odgadywać prawdziwe intencje naszych ukochanych zmarłych i obalać testamenty.

Obyło się bez tego. Samo życie, ten genjalny adwokat, załatwiło sprawę polubownie. Święcie zachowana została prawnie stwierdzona wola nieboszczyka, nie kolidując bynajmniej ze słusznemi pragnieniami wdowy. Dziadoszek, nie mogąc być nadal pomocnikiem zmarłego pryncypała, objął całość spraw pozostałych po nim na tej ziemi.

Trzymałem do chrztu, wraz z siostrą profesora, dziecię płci męskiej, które przyszło na świat w pięć miesięcy po śmierci ojca. Pomimo

zupy rakowej, indyka i szczupaka smutne to były chrzciny. Każdy wspominał ojca, który od wielu lat tęskniąc do własnych dzieci, nie doczekał tego szczęścia. Prowizor nalewał i dolewał, czyniąc honory domu i drwiąc z nadzwyczajną godnością. Gospodyni zachowywała uroczystą powściągliwość w mówieniu, nadrabiając zato niezwykłym apetytem. Jeden geometra Krebs (było to na dwa miesiące przed jego porwaniem) nie popisał się, ale dopiero pod sam koniec obiadu, po jakimś cholernym aptekarskim likierze.

— Dziadoszek, pilnujże się teraz...

— Czego ty chcesz, Krebs?... Cicho bądź!...

— Krebs cię ostrzega, jako przyjaciel...

— Dobrze, dobrze. Chcesz jeszcze kawy?

— Krebs ślicznie dziękuje. Ma już dosyć kawy. On ci przypomina, że do razu sztuka. Na kogóż ty teraz, człowieku, spędzisz?...

— Może przejdziemy do ogrodu? Taka piękna pogoda — zatrąbiła struchlała Fanfara w epickiej głupocie swojej, powstając momentalnie z za stołu.

— Owszem. Niech pani dobrodziejka rozkazuje. Krebs zawsze gotów. Ale, sądzi, że na razie leje za wielki deszcz, jak na tak piękną pogodę...

W rok później przyszły znowu niemylne oznaki nadchodzącego błogosławieństwa. Fanfara wyglądała w tym stanie, jak matka rodu

ludzkiego, jak coś nie do wiary, oglądane w dodatku przez szkło powiększające.

Z tym spóźnionym pogrobowym procesem poszło już trudniej. Dwóch doktorów, felczer i babka pracowali w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Miasto przycichło i przywarowało wśród ryków i wrzasków płynących od apteki. Żydzi chodzili chyłkiem, mówili szeptem.

Nareszcie o północy przybył do mnie Dziadoszek.

— Wie pan? Wie pan?! A to mnie urządziła! Wie pan? Bliźnięta!! Dwa ogromne konie!...

I potrząsając flaszką z trupią główką, rozpaczał, odgrażał się i płakał prawdziwemi łzami. Wytrzymywałem, pókim tylko mógł, wreszcie zacząłem się tarzać po kanapie, wierzgając nogami. Człowiek ten miałby świat u swoich nóg, gdyby zechciał wstąpić na scenę. Genjusz tragi-farsy! Kiep przy nim kapitan Fracasse.

Odebrałem mu straszną flaszkę, a przyniosłem swoją. Siedział, pił, i zdołałem go pocieszyć. Od tej nocy jesteśmy przyjaciółmi.

Oczywiście, niepodobna go brać na serjo — to półgłówek. Ale zato, co za skarby zawiera ta połówka rozszalała jego mózgu, której mu niepodobna zaprzeczyć. Jest w nim jakaś pomylona genjalność w strzępach i przebłyskach. Wyobraźnia zawrotna, która, puszczona w ruch, pracuje i rozpędza się, jak rozszalała machina. Intuicja — granicząca z jasnowidztwem. Gdy

z nim o czemkolwiek zacząć rozprawiać, w toku rozmowy już nie da człowiekowi przyjść do słowa, bo, jak twierdzi, naprzód wie, co mu się odpowie — i naprawdę wie, odgaduje i nigdy się nie myli.

A gdy wpada w „trans", co mu się zdarza nie tak rzadko, zwykle po paru szklankach ponczu, opowiada historje czarodziejskie, przygody, awantury, epopeje, dramaty i farsy. Jak utrzymuje, są to wszystko rzeczy bynajmniej nie zmyślone, a najprawdziwsze, które on sam przeżywa i to nie w wyobraźni, a na jawie.

Odbywa się to w sposób bardzo prosty. W pewnych momentach odrywa się od niego połowa, trzy czwarte, czasami aż do dziewięćdziesięciu dziewięciu procent Dziadoszka i żyje to samodzielnie, puszcza się na przygody, wciela się w najrozmaitsze osobistości historyczne i współczesne. To, co z Dziadoszka pozostaje na miejscu w skórze prowizora w Świeciechowie i małżonku Fanfary, spełnia jedynie funkcje, jak się wyraża, „biura świadomości". To mu daje rozkosz wszelkich sensacyj bez żadnego trudu, bez kosztów i ryzyka.

— Mogę odszczepić od siebie niemal całą moją „energję nerwową" bez żadnej ujmy dla mojego widomego życia, gdyż jeden procent, a nawet jeden promień mojej duszy najzupełniej wystarcza dla spełniania funkcyj wobec apteki, Fanfary i Świeciechowa. Moja reszta,

czyli niemal całe moje „ja“, żyje życiem górnem i godnem człowieka. Dziadoszek zaś, ten śmieszny futerał wielkiej duszy, może sobie gnić w aptece i — o nędzo nędz — być na utrzymaniu u Fanfary. Niech go kaczki zdepczą, niema o czem mówić: to nędzna druciana klatka, z której orzeł uleciał i buja ponad światem. Do końca życia mogę tu tkwić w bagnie i poniżeniu. To mi nic a nic nie przeszkadza, bo każdej chwili mogę być kim zechcę, gdzie zechcę i to dopóki mi się tylko podoba.

Jednak ster niesłychanej machiny przeobrażeń czasami nie słuchał władnej woli Dziadoszka, jako „ośrodka emanacyjnego“. Wówczas zaczynały się zjawiska najciekawsze.

Masy „odszczepionej energji“ nie chciały powracać do źródła. Ludzie gdzieś i jakoś żyjący, owe dziadoszkowe „Wcielenia“ puszczały się na różne podłości i zbrodnie i, co gorsza, uzurpowały sobie prawo do absolutnie samodzielnego istnienia. Okradały i ubożyły Dziadoszka, zapominały o nim wyrodnie i skazywały go na momenty zupełnego bankructwa. Wówczas powtarzał w głębokiej melancholji: — A więc jestem tylko Dziadoszkiem. Cóż to jest? Dziadoszek równa się Dziadoszkowi X = X, co gdy skrócimy, otrzymamy: 0 = 0. A formuła taka gorsza jest, niż proste — Nic.

Najbardziej swawolnym i niebezpiecznym, bo niepoprawnym duchem był znany nam obu do-

brze genjalny globetrotteur i łobuz w wielkim stylu, młody lord Camelford. Tę ciekawą postać należałoby uznać za klasyczny sobowtór prowizora Dziadoszka, gdyby wogóle w tych sprawach należało cośkolwiek klasyfikować.

Na pochwałę mego przyjaciela należy nadmienić, że najgłówniejsze swoje tajemnice odkrył mi dopiero po półtorarocznej zażyłości. Nikt inny na całym świecie o tych sprawach nie miał i nie ma żadnego pojęcia.

Dla świata, dla okolicznych ziemian i księży prowizor był ulubionym kawalerem, przy którym można było „boki zrywać“, a przytem bohaterskim posiadaczem jedynych w swoim rodzaju wdzięków Fanfary i w całem znaczeniu dobrym chłopcem. Przysyłano też po niego konie na winta i na kawalerskie pijatyczki. Wówczas porad w aptece udzielała sama Fanfara, która posiadała szczególne zaufanie u kobiet brzemiennych i niedomagających po połogu, zarówno katolickich, jak żydowskich.

Do restauracji sióstr Eberlain ani do traktjerni Szupa prowizor nie uczęszczał, od czasu, jak raz podczas pijatyki w gabinecie ukazała się Fanfara w pantoflach i w rozchełstanym szlafroku, i wyciągając przemocą prowizora, uczyniła pogrom zgromadzonych tam biesiadników, którzy usiłowali półżartem a półserjo, jak to pijani, obronić towarzysza od napaści, ale Fanfara była łagodna jak krowa, dopóki jej kto nie zaczepił.

Zachowała się tam ona zupełnie serjo. Odtąd szacunek dla pani aptekarzowej wzrósł do niezmiernie wysokiego poziomu, na którym utrzymuje się dotąd.

Mówią, że prowizor był wówczas w domu srodze obity. Mówią, że zrzadka, ale obrywał i nadal. Czego to nie gadają. Pozornie uchodzi za normalnego pantoflarza. Może nawet nim pozornie jest.

Mnie (a jego tem bardziej) nic to nie obchodzi. Ani ja w nim nie widzę jakiegoś prostego Dziadoszka, ani on do mnie nie przychodzi w roli świeciechowskiego prowizora. Łączą nas bowiem stosunki czysto „astralne" (terminologja jego własna).

Stawało się to między nami tak stopniowo i niedostrzegalnie w ciągu długiego czasu, że zdołałem wżyć się w mego przyjaciela, ogarnąć go i rozumieć w zupełności bez jakiegokolwiek wstrząśnienia mojej własnej równowagi umysłowej. Jestem, jakim byłem zawsze — nabyłem tylko ciekawej właściwości zrozumienia warjata i podążania za jego rozpuszczoną na cztery wiatry, nieokiełznaną, a w gruncie nader logiczną wyobraźnią. Dziadoszek zresztą tylko u mnie i ze mną jest warjatem i to, dopóki chce, inna rzecz, kiedy trochę podpije — ale wówczas jest pijany jak wielu, jeno że na sposób bardzo inteligentny i ciekawszy.

Nie wątpię, że gdyby ktokolwiek wytrwał przez parę godzin i podsłuchiwał nas, jak i co

my z nim gadamy, gdyby zdołał podpatrzeć, co my wyrabiamy, ogłosiłby nas niechybnie obu i to zupełnie słusznie, za obłąkanych. Ale rzeczy podpatrzone i podsłuchane są jeno faktem, a nie prawdą.

Przychodził do mnie rzadziej lub częściej i zawsze późnym wieczorem, a nigdy nie w porę. Faktem jest, że za każdym razem na minutę, na pół minuty przedtem, zanim do mnie zadzwonił, pragnąłem jego odwiedzin. Czym pisał, czym czytał, czym siedział, drzemiąc przed kominem, dość mi było pomyśleć przelotnie: czemu ta małpa nie przychodzi? — i gość ukazywał się w moich progach. Gdyby sprowadzało go moje pragnienie, nie ukazywałby się tak natychmiastowo, bo nie mógłby zdążyć od siebie. Prędzej on wpajał mi tę chęć tuż przed swojem wejściem.

Nie było między nami przymusu ani żadnej etykiety. Wszystko szło u nas poprostu. A jednak niepodobna powtórzyć lub dać do zrozumienia treści naszych posiedzeń i wogóle atmosfery, panującej w moim cichym, spokojnym i zrównoważonym domu, gdy do niego wkraczał ten najosobliwszy gość. Są sprawy, które w opowiadaniu, w sprawozdaniu przeinaczają się i tracą to, co jest ich istotą, a nabywają pozorów czego innego. Boć i wszelka opowieść jest tylko pozorem prawdy. Mniejsza o prawdę.

— Cóż tam nowego? — pytam po powitaniu.

— Wiesz pan już cośkolwiek pewniejszego?

— Wolałbym nie wiedzieć.

— Przesądy. Niech wyrabia, co chce. Od tego on jest, żeby żył jak bóg. Za pana, za mnie, za tylu innych.

— Łatwo panu mówić, ale ja przecież jestem z nim związany do grobu i poniekąd odpowiadam za niego.

— Poniekąd? Całkiem pan nie odpowiadasz. Przed kim?

— To inna rzecz. Nie wiem przed kim. Ale czuję to głęboko. Czasami mi doprawdy wstyd.

— Jest też czego. Wiemy od samego początku, że mu wszystko wolno. Wiesz pan, co to znaczy — wszystko?

— Tego, mój panie, nikt nie wie. I zaraz panu dowiodę. Jak wszystko, to wszystko. Cobyś pan powiedział, gdybyś wyczytał w gazetach angielskich, że młody lord ze świetnego rodu, polując na stokach Kilimandżaro, strzelał dla swojej pańskiej fantazji do murzynek? Że zabił ich lub poranił kilkanaście, że oburzony tem jego towarzysz podał to do wiadomości władz, że grozi straszny proces, że...

— Zupełnie inna sprawa. Camelford ma prawo strzelać, do kogo zechce. Ale nie wolno mu zapominać o pozorach. Nietyle o pozorach, ile o poszanowaniu i tajemnicy dla swoich przeżyć. Zbrodnia ujawniona jest już zbrodnią. Ta, o której nikt nie wie, jest śmiałem przeżyciem. Co to za jeden, ten donosiciel?

— Porządny, głupi chłop, George Kirby, Amerykanin, myśli—jak mu każę. Co to za towarzystwo dla Camelforda?

— Czemuż go się nie pozbył w porę?

— Widać nie było można.

— Głupstwo się stało. Będzie musiał uciekać w świat.

— Już mi znikł.

— I nic pan nie widzisz?

— Jeszcze nic. Ciemno. Może za chwilę.

— A wie pan, że to dobrze. Teraz zaczną się dzieje prawdziwego Camelforda. Tamto, był to wstęp. Urodzenie, stanowisko, fortuna — z tem każdyby potrafił się szastać po świecie malowniczo i rozkosznie. Ale teraz odrazu traci wszystko. Niechże on teraz pokaże, jak żyć!

— Przychodzi mi do głowy, że on umyślnie zrobił to, żeby sobie odciąć związek ze swoim światem. Strzelanie do czarnych dziwek ma swój urok, ale dla niego było to raczej sposobem dla dokonania nad sobą śmiałego eksperymentu. Wyrzec się pieniędzy dobrowolnie niepodobna tak, żeby do nich nie można było powrócić. A teraz musi uciekać, kryć się, ratując życie. Co za mężny czyn! Teraz morduje on nas potężnie, — ale czyż to nie lepsze, niż łatwe romanse, szalone podróże i rozpusta na wszystkich wyspach Australji? Przepych, władza, honory — przejadły mu się, a więc i nam. Niech idzie

w ciemny, zbójecki świat! Niech walczy o byt! Niech się zmaga, niech pracuje!

— O, nie! To tygrys, nie wół roboczy. Nigdy on nie będzie pracował. Jeszcze czego? Wyobrażasz pan go sobie jako tragarza w porcie, albo clerk'a w jakim office? Może ma być uczciwym fryzjerem, czy agentem od ogłoszeń. On będzie zdobywał. Nic pan jeszcze nie widzisz?

— Ciemno.

— Oczekuję cudów po jego dzikiej energji. Dotychczas, przyznaj pan, były to tylko wielkopańskie fanaberje. No, co to w istocie było? Pamiętamy wszystko. Ja już tego miałem prawie dosyć. A lord Camelford nie może się nudzić!

— Zupełnie słusznie. Czekajmy.

Lord Camelford był jednym z duchów, rozpuszczonych po świecie z łaski dziadoszkowej energji emanującej, który nie przychodził na zawołanie. Próbowaliśmy na niego różnych sposobów, ale jak chciał, to przychodził — nie chciał, to nie. Nieraz długo zostawiał nas w niepokoju i tęsknocie, bez żadnej wieści. Tem więcej miał co opowiadać za pojawieniem się. Czekając na niego, gawędziliśmy o byle czem. Z Dziadoszkiem nigdy nie było nudno.

Dziwotwór ten myślał osobliwie, nie jak każdy rozumny człowiek, a zupełnie po swojemu. Szło to u niego skokami, pomijając pośrednie ogniwa procesu wytwarzania się myśli. Myślał i mówił

skrótami. Pomimo wprawy niezawsze mogłem za nim zdążyć. Sposób wyrażania miał wybitnie obrazowy, gdyż, o ile wiem, myśląc, nie wymyślał on nic, a wszystko widział oczami. W chwilach natchnienia śpieszył się, jakby goniąc, wyłapując i skupiając mknące rojem obrazy. Oczywiście, zdarzało się i tak, że nic już z tego nie mogłem zrozumieć. Ciskał się wówczas po pokoju, wyprawiając dziwne pantominy.

Oto biega i chwyta coś w powietrzu.

— Muchy, złote muchy! Każda brzęczy coś swojego... Cicho! Nie wszystkie naraz! Nie mogę podołać... Niechże złapię choć jedną...

I łapie po ścianach, po stole... Milczenie. Scena z domu obłąkanych.

Wreszcie okrzyk triumfu—jest jedna. Jeszcze okrzyk — druga. Wówczas staje przede mną na szeroko rozkraczonych nogach i, trzymając muchy w zaciśniętych pięściach, pogląda na jedną, na drugą i na mnie. Przeobraża się Dziadoszek do niepoznania. W twarzy nic błazeńskiego — staje się niemal piękny, tylko oczy zbyt brzydko nieprzytomne. Długo z trudem usiłuje przemówić, jąka, bełkoce, wreszcie wydziera się z niego wartki, niepowstrzymany potok słów.

— Oto cię mam! Złośnico nieposkromiona, wijesz się... A prężysz się... Jak to patrzy, jak wierci oczami—przeczyste, najczystsze turkusy! Nic mi nie zrobisz. Drwię z twoich czarów. Co mi tam twoje szatańskie biodra, piersi. Mówię

ci, że niepotrzebnie wyciągasz ramiona! Jest taki, który się ciebie nie boi. Nic mi nie zrobisz, królewno złotych much! Otęcz innych, a omijaj Camelforda — pamiętasz, jak się wiłaś pod jego szpicrutą? Oto jak kocha Anglik! Po męsku! Nogi mu całowałaś, błagając, a on siekł! Litości! Niema litości, niewolnico! Omijaj Camelforda! Nawiniesz mu się jeszcze raz — oberżnie ci uszy wraz ze złotemi kolcami. Ty demon? Ha ha ha!! Dla niedołęgów, dla szczeniaków, dla starych, ale nie dla mężczyzny! Nic nam nie zrobisz... Pokusy... Cóż ty potrafisz? Tak? I tyle? To dobre dla agenta giełdowego, dla aptekarza, dla świętego Antoniego na pustyni. Co jeszcze?... A widzisz... Pokorą, tylko pokorą z nami! Niżej tę cudną głowę, do ziemi... tak! Czołgaj się temi kolanami z kości słoniowej! Zamiataj ziemię rudemi włosami — płacz z poniżenia, łkaj z nienawiści, ze wstydu... Płacz jeszcze, żeby ten piasek był cały mokry... Tak, niedoczekanie twoje — za wysoko mierzyłaś... Ty, lady Camelford? To kpiny, przybłędo, głupia komedjantko, kapłanko Astarty, królewno złotych much — z operetki... Precz!

I otwierał dłoń, patrzył za nią przez chwilę, jak odlatała. Poczem zaczynał innym głosem, już spokojnym i zwyczajnym.

— To chyba najpiękniejsza z kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem. Umie się ubierać — a naga jest nieskazitelna. Uważał pan ramiona

i związanie w kolanach? Zabójcza linja! Przed temi kolanami każdy uklęknie. Tylko nie my. W istocie ona jest strasznie głupia. Pusta i zła.

— Puść że pan, do djabła, co tam trzymasz w drugiej ręce — odpowiadam, — i popatrzno, czy go jeszcze nie widać?

— Mamy czas.

— Co pan tam liczysz?

— Zaraz. Nie przeszkadzaj pan, bo się znowu omylę. Zaraz...

Istotnie mozoli się, rachując coś w myśli. A jest on fenomenalnym rachmistrzem — najbardziej złożone kalkulacje może wykonać w pamięci — szybko i bez błędu. Nic to zresztą trudnego, bo poprostu widzi wszystko, jak napisane.

— Już. Trzysta dziewiętnaście! Wiem, co będzie za lat trzysta dziewiętnaście. Widzę na tem miejscu, gdzie jesteśmy teraz, ogromny las. Same złote dęby i mnóstwo pszczół.

— Białodrzew stoi jeszcze?

— Białodrzew jest.

— Brawo!

— Ale to nie ten sam.

— Jakto?

— Ten ma tylko trzy odnogi i jest mniejszy.

— Szkoda.

— Co za szkoda? Bardzo tu ładnie. Miasta ani śladu. A tu, gdzie teraz łąki, aż do samego Mękalina — jedno jezioro. Na wodzie chmara gęsi, aż biało.

— A ludzie?

— Będą i ludzie. Boże, co zajęcy! Chyba z tysiąc! Kicają całem stadem — idą do wody... Piją... Matko Boska, jakież to śliczne!... Jeszcze zające... Oho ho — płyną z lasu, jak woda... Między niemi trzy dziewczynki... Nie, chłopaki... Licho wie, kto oni... Zajączki się do nich łaszą, jak koty... Machają gałęźmi. Co to za posłuszne bydełko — odrazu zawracają. Teraz wszystko stoi u brzegu i pije.

— Jak ubrane te pastuszki?

— Koszule mają do kolan, włosy czarne, ucięte nad karkiem, boso... O — samolot na niebie. Jaki ogromny... Nie widzę, bo za wysoko. Przeszedł. Leci zgóry jakiś papier...

— Podnieś że go.

— Spadł na wodę. Idzie drugi samolot. Jeszcze dwa: czerwony i zielony.

— Dobrze, dobrze. Dosyć tych samolotów. Ruszajno pan dalej.

— Gdzie?

— Traktem do Rębłego.

— Niema żadnego traktu. Las.

— Żadnej drogi nie widzisz?

— Tu niema żadnych dróg.

— Co robią pastuszki?

— Jeden stoi nad wodą i gra na fujarce, a dwaj się rozbierają do kąpieli. To dziewczyny! Na szyjach mają, na łańcuszkach, jakby

medale! Śliczne dziewczynki, opalone, wyglądają jakby na cyganeczki.

— Czyż żadną miarą nie możesz pan do nich zagadać?

— Wiecznie to samo! Pan — to jak dziecko, które pierwszy raz jest w teatrze. Przecież pan wie, że ja mogę tylko widzieć. Czekajmy — coś się nadarzy.

— To rozglądaj że się pan dobrze. Może coś zobaczysz... Opowiadaj wszystko co tylko widzisz!

— Ależ to wszystko najzwyczajniejsze! No co? Trawa, kwiaty, trzciny. Mękalina też już niema — pusty brzeg i zaraz od wody idzie znowu las — ale sosnowy.

— Też djabli cię nadali — nie mogłeś sobie wybrać miejsca gdzie indziej, między ludźmi?

— Niby to ja wybieram... Komik z pana. Pan się bardziej zapala, niż ja.

— Pewnieś się zagapił na gołe dziewczyny i nie chcesz pilnie przepatrzyć okolicy.

— Dużo mnie tam obchodzą gołe dziewczyny! Jest! Eureka!

— Co?!

— Tablica!

— Czytaj! Boże miłosierny...

— Zaraz — to na dębie. Pod słońce nie mogę...

— Możesz!!

Dziadoszek wpatruje się w coś z wytężeniem, osłania sobie nawet oczy, jak od słońca,

wytrzymuje długo i wreszcie wybucha śmiechem.

— No, taki kawał — to rozumiem! Wiesz pan po jakiemu to?

— No chyba, że nie po rosyjsku. Za trzysta lat... A co?

— Niechże ich morowe powietrze! A to nas urządzili!!

— Co napisane? Będziesz ty gadał?

— Nie mogę przeczytać, bo po żydowsku.

— Łżesz!

— Stoi po żydowsku, jak wół. To kraj żydowski, potomków Szporna, Tobjasza i reszty. Co sprawiedliwe, to sprawiedliwe. Nic innego być tu nie może za trzysta dziewiętnaście lat. Alboż teraz nie żydowskie to miasto?

— A tysiące wsi naokoło? Cóżeś zrobił z chłopami?

— Las porósł, gdzie byli chłopi. Las żydowski, bo tablica głosi pewnie o szkodach leśnych.

— Nie uśmiechaj się pan tak zjadliwie, bo może to być jakieś nieznane pismo powszechne, a napis jest polski.

— Pismo powszechne... Jabym żydowskiego pisma nie poznał?! Jeżeli powszechne — to znaczy, że Żydzi zapanowali na całym świecie. I zupełnie słusznie — jeżeli rozumować bezstronnie. A te dziewczyny, co się kąpią — czyste żydówki. Żadnej wątpliwości: jesteśmy w Palestynie. Aus — z Polską! „Była, da wsia wyszła". Mniejsza o to, ale hodowla zajęcy mi zaimponowała.

Nie posiadałem się z irytacji. Właściwie, nie lubię ja tych wizyj przyszłości. Plecie trzy po trzy, a człowiek się przejmuje, jak dziecko. Dziadoszek ma do tego specjalny gust i dużo fantazji, ale duch, który mu otwiera obrazy przyszłości, to spryciarz. Nigdy nie pokaże nic na bliską przyszłość, żeby nie można było sprawdzić. Kiedy pytam: jaka pogoda będzie trzeciego sierpnia (czyli za trzy tygodnie), duch nigdy nie odpowie, boby się złapał. Dziadoszek jest najuczciwszym wizjonerem, ale tacy ludzie kłamią i spekulują bezwiednie.

W szachy gram tęgo i uczenie, Dziadoszek posuwa byle jak i zupełnie nie umie kombinować, a jednak na tyle prób, ani jednej partji od niego nie wygrałem. Dlaczego? Zbadałem to. Z nikim innym nie zrobię grubszego błędu — a z nim gram jak pijany, podstawiam się, odstawiam się, a on korzysta i bije. Poprostu sugestjonuje mnie na fuszerkę. A jak się tego wypiera! Ma on swoje sztuczki.

Gdyby się dostał w ręce specjalistów od takich ludzkich dziwolągów, stałby się znakomitością europejskiej sławy. Kilkakrotnie już zamierzałem opisać go Ochorowiczowi. Możeby tu nawet sam do niego przyjechał, incognito. Bo nasz prowizor nie uznaje naukowego badania „świętych tajemnic“. Dałem mu kiedyś do przeczytania książeczkę o zjawiskach medjumicznych. Odniósł mi ją z oburzeniem, twierdząc, że

napisał ją szewc. Podobne książki powinny być zabronione. Dusza, to nie maszyna, a człowiek uduchowiony, to niekoniecznie warjat — i tak dalej.

O warjatach rozmawiamy często i obaj żałujemy, że w Świeciechowie niema nawet tego. Ale i prawdziwi warjaci, osadzeni po szpitalach, też rozmawiają o innych warjatach. W samotności zdarza się chwilami zagubić — jak w lesie, ale na seansach z Dziadoszkiem, pomimo niemożliwego poniewierania zdrowego rozsądku i chryj, trudnych do opisu — zawsze wiem, gdzie jestem i kim jestem. Prowizor bierze na siebie cały ciężar akcji, a ja jestem raczej świadkiem, powiernikiem, widzem. Siedzę, jak na czarodziejskiej panoramie, i podziwiam. On zaś miewa napady prawdziwego bzika.

Podejrzewałem go długo, że czasami chce mnie on wypróbować i udaje przede mną zupełnego obłąkańca. Wyrabia i wygaduje rzeczy horendalne i, zda się, czeka, kiedy ja zacznę się oburzać, hamować go — albo też, kiedy i ja, zarażony, puszczę się z nim w warjacki taniec. Ale niedoczekanie jego! Ja nigdy się niczemu nie dziwię, niczemu aż do granic ostateczności i dalej. Przeszedłem ja zwycięsko nielada próby.

Pewnego razu o małom mu nie wypowiedział mojego przypuszczenia: oto, że my obaj jesteśmy sobie jednakowo normalni i zwyczajni ludzie i czynimy nad sobą eksperymenty, udając przed

sobą i grając wytrwale komedje wizyj, jasnowidzeń i różnych gorszych opętań. Czynimy to zaś jeno z nudy i pustki, w których toniemy obadwaj. Ja—bom się tu zapakował w sztucznym, do niczego niepodobnym żywocie i samotności, on — bo się ubrał w Fanfarę i w potomstwo.

Ominęła mnie jednak szczęśliwie ta niebezpieczna, niepotrzebna chętka. Poco w życiu za wiele prawdy? Poco dochodzić, co ludzi złączyło, jeżeli im dobrze razem? Poco sobie psuć zabawę?

Przygody dziadoszkowego sobowtóra były ciekawe i niesłychanie rozmaite. Gdybym mógł i chciał zebrać do kupy, com o nim wiedział, powstałby najbardziej sensacyjny ze wszelkich sensacyjnych romansów, jakie kiedykolwiek ukazywały się po feljetonach pism bulwarowych paryskich. Ale w mojem ujęciu nie byłoby to jeszcze nic szczególnego, gdyż mam nałóg zbyt rozsądnego myślenia. Ot — gdyby „cieniowi Camelforda“, tak tytułował sam siebie pan Dziadoszek, dać nieco i nie za wiele ogłady literackiej, a rozwichrzonej jego wyobraźni bodaj odrobinę a nie więcej kultury, tworzyłby on jakieś niesłychane, poczwarne opowieści. Pewien procent jego czytelników zwarjowałby zpewnością, ale kto wie, czy nie stworzyłby on ery w literaturze świata — przez bezgraniczne rozpętanie i wyzwolenie wyobraźni. Literaci z talentem i kulturą albo coś nader umiejętnie udają, albo

z wielu względów boją się i wstydzą się rozpętać. Najczęściej zaś — zmyślają i wypracowują. Dziadoszek by im pokazał, co to znaczy — przed niczem się nie zawahać!

Zachęcałem go do pisania, i powiada, że próbował, wysiadywał godzinami, męczył się, za każdą próbą wstawał z bólem głowy — a nigdy nie mógł nawet zacząć.

— Dlaczegóż to?

— Nie wiem, jak pisać.

— Pisz pan tak, jak mi to opowiadasz! Będziesz znakomitym bajaczem.

— Kiedy nie mogę napisać nawet jednej litery.

— Co znowu!

— Nie mogę, i już.

— Jakże można, nawet jednej litery?

— Powiem panu, że możebym i potrafił — ale on nie pozwala.

— Ach, tak...

— Za nic nie chce. Ma prawo zabronić — i ma zresztą zupełną słuszność.

Uparł się nam lord Camelford. Jak znarowiony koń stanął w miejscu i ani myślał ruszać dalej! Zaczynało to być nudne. Czyżby wyczerpała się już dziadoszkowa machina emanująca? Prowizor nie przychodził tygodniami, a gdy wreszcie przyszedł, pił za wiele i rychło jakoś niemrawiał. Uskarżał się na swój los — co było u niego niesłychane, i robił poważnego, stroska-

nego człowieka. Na wszelki wypadek byłem ostrożny, bo czułem w tem jak gdyby przygotowania do jakiegoś kawału. Ale za długo to jakoś trwało.

Tymczasem lord Camelford, jak gdyby chcąc odpokutować ciężkie grzechy i zbrodnie, oraz djaboliczne rozkosze swego żywota, po ucieczce z pod Kilimandżaro, ścigany przez prawo Wielkiej Brytanji po lądach i oceanach, ukrył się, znikł dla świata i wprzągł się w jarzmo uczciwego, pracowitego życia. Zasmakowała mu ciężka robota i proste otoczenie. Został skromnym oraczem na farmie w dolinie, jeżeli się nie mylę, rzeki Sacramento, nad jeziorem — nazwy zapomniałem, w pewnej wsi, też nie pamiętam której.

Nie mogę się jeszcze uwolnić od podejrzenia, że Dziadoszek ma u siebie w domu schowany jakiś znakomity atlas geograficzny. Jak on się swobodnie porusza — czy to w Afryce, czy w Hiszpanji, czy nad rzeką Sacramento! Gdybym zresztą nie odkrył wcale zarzucanego mu atlasu, nie pomoże mi to udowodnić, że prowizor jest szelmą, gdyż ma on tak niepojętą fenomenalną pamięć wzrokową, że może posługiwać się zupełnie swobodnie mapami świata, które oglądał jeszcze w czasach szkolnych, w ciągu tych swoich czterech klas, odbytych w Warszawie, w Radomiu i w Pińczowie. A i u mnie księga Andréego leży na stole — zerknie cicha-

czem raz i już wszystko wie, co mu potrzeba dla pędzenia po świecie swojego Camelforda.

Nadomiar lord pokutnik zakochał się w córce swego farmera i, ni mniej ni więcej, tylko zamierza się żenić. O hańbo!

Opowieść jakoś idzie niemrawie. Cień bohatera lądów i mórz, tutejsza połowa sobowtóra, marnieje. Ani fantazji, ani wybuchów, ani kawałów. Wreszcie lord Camelford całkiem przestał się ukazywać.

Nie widziałem u siebie prowizora ze dwa miesiące i nie powiem, żebym do niego w tym czasie tęsknił. Gdyśmy się spotykali na mieście lub gdy mi wypadło zajść do apteki, zamienialiśmy parę słów lub rozmawialiśmy nawet dłużej, ale jak dwaj panowie, obojętni sobie nawzajem. Nie było mowy o żadnych naszych tajemnicach.

Pewnej nocy odbywałem swoją sjestę przed kominkiem, przed udaniem się na spoczynek. Cichuteńko, nieśmiało stuka ktoś do okna. Otwieram, patrzę — prowizor.

— Czy można do pana? Wiem, że mnie pan w tej chwili nie wołał, ale doprawdy, już sobie rady dać nie mogę...

— Ależ proszę pana...

— Na chwilę...

Nigdy jeszcze nie widziałem człowieka tak strapionego i tak zaszarganego w błocie. Na świecie była susza, a z niego wprost lała się woda.

— Co panu jest? Jak pan wyglądasz?

Nic nie odpowiada, tylko dzwoni zębami. Posadziłem go przed ogniem, dałem mu się czegoś napić. Stękał, jęczał i pił. Wreszcie przemówił.

— Wie pan, skąd wracam?

— Z mostu pan zleciałeś?

— Widzisz pan przed sobą samobójcę-topielca. Tu niema, panie, żadnego kawału. O tej porze byłbym już na tamtym świecie, gdyby nie to, że zbyt dobrze pływam. Śmierć w pewnym momencie jest tak straszną potwornością, że choć szczerze i z całą świadomością chciałem zakończyć rachunki z życiem, sama moja natura buntowała się przeciwko temu. Topiłem się, zanurzałem się z głową w najgłębszem miejscu, a jednocześnie jakaś obca siła poruszała memi rękami i nogami. Topiłem się z całym wysiłkiem, a nie mogłem utonąć, bom ciągle pływał. Zmordowałem się strasznie, skostniałem zupełnie i wciąż nurkowałem, i wypływałem. Cobyś pan zrobił na mojem miejscu? Miałem tak pływać do samego rana? Wylazłem z wody i już. Czy pan słyszał kiedykolwiek o podobnym wypadku?

Patrzy mi miłosiernie w oczy i błaga.

— Panie, przez Boga żywego, nie śmiej się! To nie kawał, to prawda.

— Głupi pan jesteś! Zupełnie się nie śmieję...

Boga proszę o przetrwanie tej chwili. Duszę

się, odwracam się do ściany. Nie mogę wytrzymać i uciekam z pokoju. Wracam po chwili.

— Zresztą, śmiej się pan... Życie jest farsą. A jeżeli życie — to i śmierć, tem bardziej zaś nieudana. Niedoszły samobójca... Ha, ha, ha!...

— Ha, ha, ha!... Aha, ha, ha!...

— Wszystkie raki w Niecieczy zaalarmowane... Tysiące zgłodniałych skorupiaków gotowało się na ucztę... Pieczeń pierwszej klasy — skruszały z rozpaczy aptekarz! A tu nic z tego. Widzisz pan, jak się roją po czarnej wodzie krocie obudzonych ze snu czerwonych ludożerców?... Miljony bezwzględnych czerwonych szczypiec otwierają się i zamykają... Brr!...

— To okropne, pan je widzisz na czerwono? Gotowane?

— Nawet w takiej chwili nie wolno mi być poetą?

— Napij się pan jeszcze. Przysuń się do ognia. I powiedz, coś sobie myślał, jakeś tam szedł do rzeki?

— Trudno to opowiedzieć. Przez całą drogę zastanawiałem się nad tem, jak to się robi samobójstwo? Czy mam wskoczyć do wody we wszystkiem, czy się rozebrać? Przechodząc koło młyna, chciałem zawrócić, żeby się z panem pożegnać. Ach, myślę sobie — jeszcze mnie pan przekona i zatrzyma przy życiu. A zresztą miałem zamiar wstąpić do pana, idąc zpowrotem...

— ?...

— ...Bo ja zgóry przypuszczałem, że nic z tego nie będzie. Na kim ciąży fatalizm, jak kamień młyński, uwiązany u szyi, ten może wisieć a nie utonie, bo szatani za niego wiosłują rękami i nogami, a on, topiąc się, dokonywuje tylko formalności, nakazanej przez serce, no i przez przyzwoitość. Rozumie pan? Hahaha!...

— Ahahaha!...

— Jutro o tej porze będę się truł. Ciekawym, kto za mnie może wypić truciznę? Uda się.

— Strzel pan sobie w łeb. To najprzyzwoitsza śmierć.

— W łeb? Bardzo wątpię, czy trafię... Hahaha!

— Hahaha!

Śmiejemy się zawzięcie jeden przez drugiego, jak prawdziwi warjaci wśród tego napadu. Dziadoszek zaczyna mi porykiwać nienormalnie, w dość przykry, patrzę, sposób. Z oczu leją mu się łzy. Gęba mu drga. Płacze okropnie. Zanosi się, jak dziecko. Złość mnie bierze. Krzyknąłem na niego ostro, raz i drugi.

Ociera oczy przemoczoną chustką, poczem rozkłada ją na kolanach i suszy przed ogniem. Biją od niego tumany pary. Zaczyna mówić rozsądnie. Życie jego jest dłużej nie do zniesienia. Wczoraj dowiedział się, że ma się spodziewać czwartego dziecka. Pogrąża się coraz głębiej w bagno, bez nadziei wybrnięcia kiedykolwiek. Fanfara tak mu obrzydła, że lada dzień

ją zamorduje. Okropne dzieci, które rosną z dnia na dzień, jak jakie potwory, zatruwają mu istnienie. Ale wszystko to nic, zniósłby i gorszy los, gdyby nie to, że wciąż niema Camelforda. Już go oddawna nie czuje w sobie. Przychodzą straszne chwile opamiętania i rozwagi. Niema gorszej niedoli, jak przeklęta trzeźwość. Wówczas musi żyć nagą rzeczywistością. Czuje się Dziadoszkiem w pełnem tego słowa upodleniu. Szatan dał mu duszę lorda, a osadził go w aptece, w Świeciechowie, u Fanfary...

Żale podobne już się zdarzały, ale nigdy w tak ostrej postaci. Były to przelotne przerwy w ciągłości jego współżycia z lordem, ale po pewnym czasie Camelford wiernie powracał. Pocieszałem go, żeby już jakoś przetrzymał, bo napewno lada dzień wrócą normalne stosunki. Co do dzieci, jak już Bóg dopuścił i dał troje, to już lżej znieść czwarte.

— Panie, na tę babę nic nie pomaga! Przecie znam się dobrze z medycyną! Żaden niezawodny genjalny kobiecy wynalazek nie ma do niej przystępu. To krowa! Muszę pojechać do Rębłego, do weterynarza, ale wątpię, by stosowano zapobiegi do krów, raczej przeciwnie... Bo i poco? Może gdzie zagranicą, najprędzej we Francji...

— Nie gadaj pan głupstw! Ale dziwię ci się, że nie możesz się jednak powstrzymać... Patrzaj, ja nie jestem stary, a żyję sobie bez

niczego i spokojnie mi jest. Już tak cię kuszą jej wdzięki?

— Łatwo panu propagować eleuterję. Niechnoby pan pobył z Fanfarą... Wszyscy się z niej wyśmiewają, a wiem dobrze, a i nawet zwierzano mi się po pijanemu, że bardzo niejeden ciekaw byłby, jak to tam z nią wygląda. W niej pomaga Fenomen!

— Dziwne. I zawsze ci taka miła?

— Miła! Nienawidzę jej. Ale chuć to wielka tajemnica... Po raz pierwszy, kiedy mi się ani co nawet śniło, wzięła mnie gwałtem — nieboszczyk bowiem oddawna był nieczynny. A potem i teraz — też. Jako jedynemu człowiekowi, panu to wyznaję... Od dwóch lat (co najmniej) mam do niej niezwalczone obrzydzenie. Nie daję się, wymyślam, robię chryje. Płacze, prośby, klękania. Wreszcie wstaje z klęczek i zabiera się do mnie. Bije!... niech się pan śmieje dowoli! Bije zupełnie uczciwie, pan wie, jaka ona mocna? Trzem chłopom da radę, jeszcze mi kiedy żebra połamie. Po takiem praniu budzi się we mnie do niej tak potworna nienawiść, taka bezsilna zajadłość — bo i co ja jej mogę zrobić? Tu by trzeba Pytlasińskiego. Słowem, mówię panu — takie rozbestwienie, takie rozbestwienie, że... że ...przeradza się to cudem w jakieś infernalne mięsożerstwo, w obrzydłą chuć zmysłową, w zatracenie... I ma zawsze, czego chciała. Oto pan masz tajemnicę alkowy małżeńskiej! Szczyt po-

niżenia, a z tej hańby lęgną się znowu bachory. Będą to w połowie kretyny, w połowie zbrodniarze, i mniejsza o to, byleby ich nie było tyle. Powiedziałem sobie przed godziną, powracając z samobójstwa: temu czwartemu jeszcze daruję. Ale począwszy od następnego — będę truł. Stopniowo, mądrze, pocichutku — i do białej trumieneczki. Człowiek ma prawo się bronić. O Camelford, dear friend — ratuj ty mnie w niedoli!...

I płakał.

Gdym się przekonał — o ile to wogóle z takim możliwe do wykrycia — że niema w tem blagi co do istoty rzeczy, pożałowałem go szczerze. Dla prawdziwego manjaka utrata manji to śmierć moralna. Camelforda zaś i ja w znacznym stopniu kultywowałem w nim i zabijałem mu go jak klin w głowę, coraz głębiej. Dałem mu umotywowanie psychologiczno-naukowe, dokładałem różnych przyczynków, nastręczałem wiele nowego i często z własnej, też nieco rozpętanej wyobraźni. Wmówiłem w Dziadoszka, że to najwyższe szczęście mieć takie podwójne bogate życie, że się to zdarza raz na tysiąc lat, że takich, jak on, jest może na całym świecie paru itd. itd. Bawiąc się i eksperymentując, wpędziłem biedaka w chorobę. Poczuwałem się do winy — ale co tu teraz począć?

Na szczęście w pustem i żadnem życiu naszego miasteczka zaszło wiekopomne, tajemnicze

wydarzenie, które zaprzątnęło na długi czas uwagę całej ludności miasta i okolicy, wzbudziło działalność władz — dostało się nawet do gazety w Mielcach pod tytułem: Tajemnicze zniknięcie w Świeciechowie.

Wypadek ten ożywił więdnącego Dziadoszka, pobudził go do intensywnego skupienia swoich władz tajemnych, nawiązał kontakt z zaświatowemi magicznemi mocami. Zawarczała ochoczo, jak za najlepszych czasów, machina emanująca energję „astralanerwos“ (terminologja prowizora), i w zamęcie utrudzonego życia odnalazł się i lord Camelford, wśród prac i zabiegów, skierowanych ku wyjaśnieniu niepojętej i jedynej świeciechowskiej zagadki.

* * *

Geometra Krebs żył z Dziadoszkiem w przyjaźni i cieszył się względami Fanfary. Prawił jej komplimenty, przywoził czasami cukierki warszawskie z Mielec, miał nawet zawsze kilka miłych słów dla dziadoszkowych dzieci, co dobrą matkę wprawiało w rozczulenie... Dziadoszek twierdził, że przychodził on do nich głównie „na wyżerkę“, bo Fanfara była świetną gospodynią, i jadano tam smacznie i obficie. — Lubię chłopa — mawiał, — bo dobry z niego patrjota i zna się na polityce. Przytem zalatuje od niego szerszym światem, bo to bywa często w Miel-

cach, a ze dwa razy na rok nawet w samej Warszawie... A i fijoła w głowie też ma... Bez tego człowiek nie jest indywidualnością.

„Fijołem“ geometry był jego pies, przeogromny kundel, zaliczany przez właściciela do czystej rasy liptowskiej. Spasione to bydlę nauczone było wielu sztuk przez pana przy pomocy, jak się wyrażał, metody mieszanej, czyli cierpliwości i bata. Nieraz aż tu do mnie dolatywało od miasta rozpaczliwe skomlenie Bacy podczas godzin poświęconych tresurze. Nauka nie polegała na powszednich psich sztukach, a na rzeczach rozumnych i pożytecznych, po niezliczonych tysiącach batów, wymierzonych mu nad rzeką, wśród łach i moczarów. Baca umiał wypatrywać i czasami łapać ryby, wyciągać zpośród trzcin dzikie kaczki, ratować tonących. Umiał otwierać drzwi zapomocą klamki, jak każdy człowiek. Chodził z koszem w zębach po sprawunki, nieraz do dwóch i trzech sklepów. Sprawunki miał wypisane na kartce, ale obyłoby się i bez tego, gdyby ludzie rozumieli jego mowę. Baca bowiem umiał mówić. Bat, używany przy studjach, wyrobił mu nadzwyczajną skalę głosu. Istotnie nieprawdopodobna była rozmaitość dźwięków i odcieni tego psiego głosu. Gdy się go spotkało i powiedziało: — jak się masz, Baca? — nie poprzestawał on, jak zwyczajny pies, na grzecznej odpowiedzi, polegającej na machaniu ogonem. Odpowiadał w żywej mowie, krócej lub

dłużej, na rozmaity sposób. Ale prawdziwe symfonje wyśpiewywał dopiero w rozmowach ze swoim panem. Krebs bowiem rozmawiał z nim, jak z każdym człowiekiem — i to o wszystkiem.

— I zawsze pana zrozumie?

— Tak, i ja go rozumiem. Z psem czystej rasy, zdolnym i w odpowiednich rękach, zawsze można dojść do świetnych rezultatów. Nieraz gadamy godzinami.

— I tak o wszystkiem?

— O wszystkiem na świecie!

Ludzie z zapadłej prowincji są zazwyczaj kategoryczni.

Prawdziwym jednak fachem Bacy było zapaśnictwo. Uczony na wypchanym manekinie, umiał napadać, chwytać za gardło, atakować od tyłu i przewracać przeciwnika. Inteligentny pies nigdy się nie zapomniał. Gdy mu pan wołał: „obal!“ nie ruszył zębem ani pazurami! — tylko łagodnie, ale niezawodnie obalał wskazaną ofiarę, siadał jej na piersiach i w przerażający sposób warczał. Kto nie chciał wierzyć, rychło leżał na ziemi, przywalony ciężkiem cielskiem. I ja tego próbowałem. To też szacunek całej ludności dla psa był znacznie większy, niż nawet dla starego strażnika, pana wachmistrza Nosorotowa. Jak prawdziwy niezwalczony pies był łagodny i nie nadużywał nigdy swojej przewagi. Krebs z psem kochali się wzruszająco. —

Bat był w robocie tylko przy nauce i jak okonieczna metoda; mądry pies rozumiał to doskonale. Karany nigdy nie był, bo i nie było zaco.

Pozatem geometra był zwyczajnym najzacniejszym w świecie skoczybrózdą. Latem, w wolnych chwilach, grywał na ganku swojego domku na mandolinie modny na schyłku XIX stulecia walc: „Moja królowa", oraz urywki z operetki „Gasparone". Że miewał po wielu wsiach powiatu przelotne romanse, a zatargi z chłopami przy pomiarach, to, oczywiście, należało do jego fachu. Siedział u nas przez parę lat, bo okolica nagwałt wyzbywała się wielkiej własności, i zarabiał bardzo dobrze. Uzbierawszy pieniędzy, dwa razy do roku wywoził je do Warszawy i tam je puszczał w przeciągu tygodnia. Nieobecność jego zaznaczała się jedynie tem, że pies, który na wszelkie roboty, do knajpy, z wizytami towarzyszył panu nieodstępnie, wył za nim z tęsknoty na sto głosów i prawie bez przerwy.

I taka pospolita figura pogrążyła dużą połać kraju w zamęcie zgadywania jego niedocieczonych losów. Bliższych zaś znajomych o mało nie doprowadził do obłędu i, co gorszę, do zatargów, które na dalekiej prowincji raz powstawszy, nie dają się ani wyjaśnić, ani załagodzić. Kapitan poróżnił się z apteką, doktór z sekretarzem urzędu gminnego, sekretarz z Fanfarą. Ja wyszedłem cało.

Pewnego dnia, rankiem, na jesieni, zwróciło uwagę całego miasta dziwne zachowanie się Bacy. Pies latał wkoło po rynku, wstępował do sklepów, otwierając je łapą, wpadał do wszystkich znajomych mieszkań, u mnie był tego dnia trzy razy i obleciał wszystkie pokoje. Wreszcie koło południa, zmordowany, usiadł przed swoim domem i zaczął wyć po swojemu. Geometry w domu nie było. Jego baba — kucharka i gospodyni — nie miała pojęcia, gdzie się pan mógł podziać. Pies również. Nie rozumiał tego nic ani wówczas, ani potem, ani teraz — po tylu latach. Położył się spać i — wszelki ślad po nim zaginął. Jak kamień w wodę. Oto wszystko. Zagadka, problemat. Wołajcie Sherlocka Holmsa!

Zjechał sędzia śledczy i tyle zrobił, że uwolnił babę, którą Nosorotow wsadził był do kozy. Hycel Pietrek miał urzędownie nakazane złapać psa, który wyrabiał po mieście niestworzone brewerje z rozpaczy i niepewności. Ale Pietrek nie był głupi i ani się zabierał do wykonania rozkazu. Wreszcie pies się uspokoił i zaczął mieszkać potrosze u mnie, a głównie u kapitana. Zrana wałęsał się po mieście, a u nas meldował się tylko niejako — dla zalegalizowania swojej egzystencji wobec hyclowskiej władzy.

W ciągu nie mniej, niż jakich sześciu tygodni, prowizor bez żadnej przerwy studjował ten problemat. Przychodził codziennie przed wieczorem i zdawał sprawę ze swoich poszukiwań. Chłopi

z okolicy, gajowi z głębi lasów, żydzi tutejsi i żydzi z końca świata, dziady wędrowne i przelotne przybłędy składali mu odmęt wersyj, przyczynków, śladów i dowodów rzeczowych. Był to znakomity stek najśmielszych przypuszczeń i bredni. Oczywiście, nie biorąc pod uwagę tradycyjnego u chłopów przekonania, że omentra, który normalnie po śmierci za karę chodzi po polach z łańcuchem, mógł być w danym razie i za życia porwany przez djabła. Wiara ta była powszechna, a stwierdzało ją zeznanie naocznych świadków, którzy widzieli pana Krebsa na pokucie, dzwoniącego łańcuchem na polach i w Imbranowicach, i w Czeluśni, i w Przysiece. W pozostałych gminach obaczą go przy najbliższej sposobności. Pisywali doń i dalsi proboszczowie długie listy z radami i wskazówkami, przyjeżdżały zdaleka niesłychane typy ludzkie poto, żeby zabrać prowizorowi parę godzin czasu, zjeść u niego obiad i wzbogacić archiwum dochodzeń jeszcze jednem głupstwem. Apteka stała się głośna w powiecie, w gubernji.

Wreszcie pewnego dnia Dziadoszek, jak uciął, przerwał śledztwo. Metody ludzkie zawiodły. Odtąd nie przyjmował już żadnych rad, ani materjałów. Zato pogrążył się wraz ze mną w dociekania „psychologiczne, telepatyczne i magiczne". Czego on nie wyrabiał!

Seanse z psem należały do najciekawszych prób tego rodzaju.

Pies długo był cierpliwy, jak gdyby naprawdę rozumiał, o co idzie. Ale snać Dziadoszek w swoich czarach przekroczył pewne granice, lub może — nie chcąc — uraził jakie delikatne psie świętości, lub może poprostu pan z zaświata szepnął mu swoje: „obal", gdyż w pewnym momencie łagodny pies zupełnie nieoczekiwanie rzucił się na hypnotyzera, obalił go z trzaskiem i jak na nim siadł, tak siedział około godziny, nie dając mu ani się ruszyć, ani pisnąć słowa, warcząc za najlżejszem poruszeniem i ukazując takie zęby, że obadwaj z prowizorem baliśmy się odetchnąć głośniej. Wreszcie wstał z dobrej woli, powiedział nam coś niemiłego, szczeknąwszy na trzy różne tony, otworzył sobie drzwi i poszedł. Prawdopodobnie chciał pouczyć warjatów, żeby dali spokój porządnemu psu i najlepszemu z panów.

W tym właśnie momencie „psychologicznym" (wszystko u nas było — psychologiczne) Dziadoszek zerwał się z podłogi i, nie mogąc narazie mówić ze wzruszenia, postawił swoje oczy „natchnione".

— No co, jest Krebs?

— Do djabła z Krebsem! Wie pan co? Widzę Camelforda! Widzę go już od pół godziny — ale słowa nie mogłem wydusić z powodu tego bydlaka... Jest! Jest!

— Nareszcie...

— Nareszcie mogę znowu żyć! Wie pan, pocom ja prowadził te głupie dochodzenia? Tylko

poto, żeby się zagłuszyć! Co mnie obchodzi Krebs? Camelford jest na Florydzie. Płaski kraj — pełno moczarów... Kępa olbrzymich drzew niewiadomego gatunku. Pod drzewami namiot. Siedzi na składanem krześle przy bambusowym stoliku i pisze list. Murzyni mu usługują w białych płóciennych ubraniach. Jest gorąco i parno. Wygląda bardzo zdrowo. Jakże jest piękny! Oczu nie mogę od niego oderwać. Tak strasznie się wytęskniłem... O, teraz niech sobie nie wiem co... Co mi dzieci? Co mi Fanfara? Żyję, drogi panie, przyjacielu mój wierny... Ale jakoś — jakoś wszystko idzie inaczej... Zupełnie inaczej—jakoś cicho, martwo. Cicho, tylko coś klekocze pośpiesznie, jakby szła jakaś mała maszynka. Co? Ja zupełnie nie wiem, co on myśli! Camelford! Camelford, słuchaj!...

— Ale pan przecie widzisz wszystko? Jak dawniej.

— Widzę wszystko, ale całkiem nie tak, jak zawsze... Tyle, że widzę... O — zapalił papierosa i pisze. Ale co pisze? Co on myśli? Czego chce? Co tu robi na Florydzie? Tyle, że widzę, a nic nie rozumiem!

— Patrz pan i opowiadaj — wszystko się wyjaśni.

— Podpływa łódź, sześciu wioślarzy murzynów. Pod nakrywką z pasiastego płótna kobieta. To kreolka, bardzo dorodna, ale niebardzo mło-

da. Witają się... On ją bierze wpół i całuje... Do djabła!

— Zazdrość panu? Przecie to tak samo, jakbyś pan to sam robił...

— Nie! Teraz zupełnie inaczej...

— Jak?

— A tak: patrzę, ale jak w teatrze. To jak udane. Gdzie prawda? Gdzie głębia? Gdzie tam jest moja dusza? Siebie tam zupełnie nie czuję. Skandal!

— Za następnym razem pan poczujesz. Jazda dalej!

— Teraz rozmawiają bardzo tajemniczo. Co mówią? Przecież dawniej zawszem znał każdą jego myśl, wiedziałem każde słowo... To okropne! Umiem wywoływać wszelakie wizje, ale nawet takie zwyczajne obrazy widzę zawsze jak żywe i żyjące, z barwami, ze światłem, no tak, jak to jest naprawdę... A Camelford, toć to ja sam! Ja w nim jestem, w duszy, w myślach — a tu ni to, ni owo — plącze się jakiś cień. To podobne do czegoś... Do czego?

— A może pan go widzisz w kinematografie?

— Pan jesteś mędrcem! Pan, który w życiu nie widziałeś żywej fotografji! Czegóż pan dokażesz, zobaczywszy te cuda! Wszelkie horyzonty się rozsuwają. Tak — ja widzę Camelforda, widzę jego sprawy, ale odbite w kinematografie! Czy to dobrze, czy źle? Bo jest to bardzo ciekawe zjawisko, ale... ale... To nie tamto... Na-

przykład po każdej dłuższej przerwie wiedziałem co do joty, co on robił, co myślał od ostatniego zjawienia się. Pamiętałem wszystko, jak własne. A teraz — nic. Co on robił przez dwa miesiące? Jak się wydobył z farmy nad Sacramento? Skąd ma pieniądze na murzynów? Jak się stało, że porzucił tamtą dziewczynę — zrobił bardzo słusznie — ale niechże ja wiem — jak?

Dziadoszek wyszedł ode mnie odrodzony, co prawda, ale i oszołomiony. Niedobrze mu się jakoś przysłużył ten epokowy wynalazek. Takim jak on, najlepiej nie ruszać nigdzie w szerszy świat, nawet do Mielc. Kinematograf mu zaprószył w głowie. Siedziałby tutaj murem. Tu nie zobaczyłby żadnych przewrotowych cudów, jak i ja nigdy w życiu nie zobaczyłem kinematografu.

Odtąd to nasz lord ukazywał się zrzadka i jedynie w martwej postaci zdjęć kinematograficznych. Uparł się. Dziadoszek przeklinał dzień, w którym los zetknął go z wiekopomnym wynalazkiem schyłku stulecia. Przeklinał Krebsa, którego głupia sprawa pchnęła go do miasta Mielc.

Wypadało bowiem nato, że lord odłączył się od swego Sobowtóra, zdradził mistyczne braterstwo, przestał być Anti-dziadoszkiem (z „Przeciwległego bieguna sfery" Dziadoszka, prowizora). Zimno, choć grzecznie wycofał się z afery. Nie zerwał stosunków, owszem, ukazywał się, ale zjawy te były jak gdyby listami, pisanemi zdaleka do dobrego przyjaciela. Pocieszałem pro-

wizora, że zawsze jest to dowód przywiązania i zażyłości.

— Ja przyjacielem Camelforda! — rozpaczał Dziadoszek...—Okradziono mnie! Jestem nędzarzem! Koniec, śmierć. Przestałem żyć. Już nie jestem żadnym lordem. A zatem—nigdy nim nie byłem. Wszystko okazało się bzdurną mistyfikacją. Byłem poprostu warjatem. Teraz ozdrowiałem. Proszę mi jednak nigdy tego nie winszować.

Nasze dociekania w tej zawiłej sprawie zabrały nam niejeden wieczór. Dziadoszek w tych rozprawach wykazywał genjalną intuicję i tworzył na poczekaniu hipotezy i teorje, które mogłyby wywołać przewrót w badaniach psychologicznych, gdyby nie były zbyt bezczelne.

Wkońcu pogodziliśmy się z losem. Przynajmniej dla mnie pokazy plastyczne miały więcej uroku, niż dotychczasowe bezpośrednie wywnętrzniania lorda-Dziadoszka. Losy Camelforda, objawiając się na ekranie, nabierały wyrazistości życia. Dziadoszek, wywołujący je, stał się bardziej objektywny. To, co dla niego było tragedją, mnie ułatwiało tylko wchłanianie wrażeń.

Rychło się okazało, że lord przebywał w lasach Florydy tylko czasowo, ukrywając się przed sprawiedliwością Stanów Zjednoczonych, i czekał na przybycie jachtu „Arabella", którego właścicielem i kapitanem był niejaki Gilpin Horner, osobistość ciemna, niewiadomej narodowości, bogacz i poszukiwacz przygód na obu półkulach.

Przedstawienia odbywały się niemal codziennie. Po paru seansach ustalił się cały rytuał i technika tych mistycznych wyświetleń. Z początku Dziadoszek opowiadał, siedząc w fotelu z zamkniętemi oczami, z głową wspartą na rękach. Później, czytał obrazy, wpatrzony w ścianę; ażeby mu nic nie przeszkadzało, usunąłem z tego miejsca obrazy. Dalej zażądało mu się, żeby ściana była biała, jak ekran. Więc Mumja wybieliła wapnem z kredą wielki kwadrat na ścianie. Ale i to nie wystarczało. Obstalowałem tedy u naszego cieśli Kutasiewicza wielką ramę, zabajcowaną na czarno, która otoczyła puste, białe miejsce. Wywoływacz wizyj zażądał jeszcze kwiatów. Ustawiło się tedy kilka donic po obu stronach ekranu.

Na dobitek musiałem sobie przypomnieć, że brzdąkałem kiedyś na fortepianie i, dla wprowadzenia Dziadoszka w nastrój, grałem naprzód cośkolwiek jako uwerturę, a potem przez cały czas przygrywałem pianissimo na starem wujowskiem pianinie, które musiał w tym celu podreperować przywleczony ad hoc aż z Rębłego stroiciel pan Retka, autor nieznanej nikomu opery „Obrona Trembowli".

Seanse odbywały się w salonie. Opowiadacz miał pod ręką papierosy i butelkę. Przyznać należy, że butelka stała i na pianinie. Przykręcona lampa osłonięta była niebieską bibułką, co wytwarzało, jak mówił Dziadoszek — „nastrój przedświtu po nocy bezsennej".

Opowieści były dla mnie nadzwyczaj ciekawe i obfitowały w nieoczekiwane zwroty. Sama historja Gilpina Hornera i jego wyspa „Arkhirr" na oceanie Indyjskim, jego skarbiec, jego harem, jego intrygi i przygody... A śmiertelny wróg Hornera, portugalski wyjadacz, niejaki Filisberto Pinto szuka go po całym świecie i knuje zdradzieckie zasadzki, mszcząc się za krzywdę — o której kiedyś...

Oh — dosyć. Co za nuda...

Otóż pewnego wieczoru odrzuciło mnie od niego i od jego tajemnic, od jego kawałów, od wszystkich jego min. Lord Camelford zaczął być nudny, a więc chyba umarł. Dziadoszek w mojem sercu skończył się i wyczerpał.

Snać dosyć głupstw przeżyliśmy wspólnie i dosyć wypiliśmy wódki.

Żal mi go bardzo, ale nie mogłem już dłużej. Na wszystko jest pora i na wszystko jest miara. Dosyć!

Powiedziałem mu to poprostu i życzliwie. Zrozumiał, że to na serjo, i ani słowa nie odpowiedział. Posmutniał i poszedł, dyskretnie, jak dżentelmen. Obawiałem się, że po mojej uroczystej przemowie uczyni jaki swój kawał, rozbawi mnie i utrąci cały efekt mojego postanowienia. A Dziadoszek jest nieodgadniony, mógł zacząć coś tak genjalnego, że nie oparłbym się. Ale nie, to manjak z godnością.

Widać, mam go dosyć. W istocie to cała przyczyna. Nudzi mnie, męczy. Przychodzi kiedy

go nie chcę. Inaczej bywało dawniej. Już od trzech lat jestem z nim w spółce warjackiej. Niby się tem tylko bawiłem, niby — naprawdę ani na jeden krok nie wpuściłem go do mojego zamkniętego świata — ale oddawna czułem niesmak.

Przeszkadzał mi bardzo w ostatnich czasach. Camelford jest zjawiskiem niecodziennem, ale jak już zaspokoił ciekawość — staje się nudny. Co innego dla Dziadoszka.

Czas mija...

Gdy teraz, po kilku latach od ostatniej bytności u mnie pana prowizora, spotykam go na mieście i rozmawiamy o pogodzie, o nowinach, o niczem, wydaje mi się snem moja dawniejsza z nim tak mocno osobliwa zażyłość.

Jesteśmy ze sobą dobrze i uprzejmie, ale ani słowem nie wspominamy o tamtych czasach. Dziadoszek zdaje się rozumieć mnie i nie żywi żadnego żalu. Ma zawsze swoją jednakową jowialną pogodę i zawsze ten sam język, żywiołowo i samorodnie pełen konceptów.

Ma czworo dzieci, a dwoje następnych istotnie umarło w parę miesięcy po urodzeniu. Czy je potruł? Fanfara coraz rzadziej śpiewa i coraz bardziej tyje. Bliźnięta, dziś już ośmioletnie, rozrośnięte są poczwarnie i wyglądają na tęgich wyrostków. To będą chłopy. Robią wrażenie małych olbrzymów, czy też synów Childeryka, króla starożytnych Germanów, malowanych monumentalnie przez historycznego i urzędowego

pruskiego artystę. Ich łydy i karki są jak u ludzi dorosłych. Oczy bezmyślne, gęby zakazanych gapiów. Obawiam się, że mają wodę w swoich wielkich łbach. Swoją drogą już parę razy wygnałem ich z mojego ogrodu, gdzie kradli owoce.

Co porabia i czy istnieje jeszcze lord Camelford?

ITALJA

W którymś tam roku, — w ciągu paru tygodni na schyłku zimy a przed wiosną, czułem, że nurtuje we mnie coś, czego nie zdołałem w sobie uchwycić. Było to niebezpieczne, bo niewiadome.

Znam dokładnie i do głębi logikę mojej dziwacznej machiny, normalny rytm jej powolnego, spokojnego chodu, jej wszystkie sprężyny. Wiemy, że niema na świecie człowieka, noszącego w sobie perpetuum mobile pracy wewnętrznej. Trzeba zawsze dbać o źródło siły i mieć oko na jej wydatek. Wreszcie każdą maszynę trzeba od czasu do czasu odczyścić, nasmarować. I to się robiło.

Tym razem machina była w absolutnej sprawności, a działała źle. Coś w niej zaklekoce, coś się szarpnie, rytm utyka.

Budzę się rano z przykrem zdziwieniem, choć niema się czemu dziwić. Jest mi coś nad wyraz obrzydłe — ale co? Zapragnie się czegoś — licho wie czego? Nie chce mi się wstawać, jak gdybym nie miał codziennych, od tylu lat ustalonych zajęć, zamiłowań. Wyleguję się, paląc pa-

pierosa za papierosem, i zapełniam dymem pustkę, którą wkoło siebie czuję.

W toku pracy przyjdzie chwila śmiertelnej nudy. Książka, którą trzymam w ręku, opada, jakby na niej był ciężar. I znowu zdumienie: gdzież to ja jestem?

Gdy się to powtarza i powtarza, i naprzykrzy się, a nie mija, zabieram się do analizy i zaradzenia złemu. Coraz gorzej. Gdzie ruszyć — skrzypi, boli. Rozważa się trzeźwo, filozoficznie, na chłodno — aż nagle zawyje coś w człowieku, jak rozpacz. No, a na dokładkę jeszcze i ten psubrat Chińczyk...

Pewnego przedobiedzia — było to w początkach kwietnia — tnie szaruga w szyby, wicher się wścieka... Paskudna pogoda, a we mnie gorzej niż tam w polu. Wszyscy djabli we mnie tańcują.

Nagle zerwałem się, jak gdyby mnie wysadziło potężną sprężyną.

Dosyć. Przełomowe, niesłychane postanowienie zabłysło, jak słońce. Samo się skądś wzięło. Dosyć tego! Nie miał mnie kto ratować — ja się sam zratuję. Za włosy się wyciągnę z bagna!

W najkrótszym czasie przerobiły się we mnie odnośne procesy. W jednej chwili przejechałem się po całem mojem życiu, jak mokrą gąbką po tablicy, splunąłem i, zanim jeszcze Mumja podała obiad, już byłem w drodze. Znając potęgę własnego ciężaru i używając nad sobą niemałej

przemocy, postanowiłem jak warjat, który się ratuje w jaśniejszym momencie, śpieszyć się, nie tracąc ani jednej chwili.

Przy obiedzie zwykłym głosem, jak gdyby chodziło o proste codzienne głupstwo, zamówiłem konie do Mielc. Mumja spojrzała na mnie z tak okropnem zdumieniem, że nie wiem już, jakby wyglądała, gdyby wiedziała resztę. Wyprawiłem ją do Gierszona, który u nas furmanił parą szkap i staroświeckim powozem na kołach, których ordynarnej stelmarskiej roboty w ciągu wielu lat nie zdołał polakierować i sharmonizować z resztą.

Zamiast zwykłej, od tylu lat ani jednego dnia nie zaniedbanej drzemki, zacząłem pakować walizki. Zpoczątku wybierałem co najpotrzebniejsze i układałem porządnie, ale już po chwili brałem i pchałem byle co, śpiesząc się. Wiedziałem, że rzeczą niesłychanej wagi jest wyjechać jak najprędzej, bodaj w taki psi czas. Szaruga wzmagała jeszcze we mnie poczucie mego bohaterstwa. Narazie było to niemal zupełnie nieprawdopodobne, ale moje gorączkowe czynności przedwyjezdne dowodziły, że jednak... Chyba, że jestem warjatem...

Może i jestem, ale jak tylko ruszę ze Świeciechowa, odnajdę siebie.

Od iluż lat nie ruszałem się stąd ani na jeden dzień, ani na jeden krok? Niepodobieństwo! Ogarnia mnie zdumienie. To, com przecie zaw-

sze dobrze wiedział, staje się nowiną — z domu warjatów.

Ratuj się! Śpiesz!!!

Nareszcie wraca Mumja, zlana deszczem. Chwila najstraszniejsza. Od niej zależy mój los, widzę to jakoś tak, jakbym to widział wśród przeraźliwego blasku i wśród przenikliwego zimna. Gdzieś w mróz, w pustej nieopalonej sali, przy elektrycznem, przeraźliwem świetle.

Pytam, pomagam jej — co za ulga! Gierszon zajedzie za godzinę. Lepiejby było, gdyby tu już był. Zdjął mnie niepokój — co ja będę robił przez tę straszną godzinę? Ale co za szczęście, że ma konie wypoczęte, że chce wogóle jechać w taki czas. Bo gdyby mu jazda na dziś nie wypadała, wiem niezbicie, że zostałoby u mnie wszystko, jak było.

A kto, zamiast zgłębiać i rozważać, poprzestaje na słowach, może to nazwać, jak chce, nawet neurastenją.

Mumja stoi w progu i denerwuje mnie swojem przerażeniem w wyschłej gębie. W jej głupiem osłupieniu widzę jakby odbicie własnej nędzy. Jeżeli Mumja widzi w moim wyjeździe fakt niesłychany, to tem bardziej niesłychane było to, żem się stąd nie ruszał przez dziesięć lat. Na swój sposób mówi mi ona: — byłeś warjatem przez piętnaście lat, czemuż nie chcesz wytrzymać do końca?

Polecam jej dom, zostawiam dyspozycje. A gdybym — powiadam — nie wracał dłużej, pan

nadleśny będzie wam wypłacał co miesiąc pieniądze na życie. Baba w płacz. Czyżby to było przywiązanie? Nie — poprostu myśli, żem zwarjował.

Godzina oczekiwania na konie. Boże, czy ja wytrzymam przez godzinę?

W głowie kręci mi się ogromna karuzela. Kołuje tysiąc rzeczy, które tu pozostawiam, i tysiąc tysięcy niewiadomych, czekających mnie — tam.

Wiem, czem byłem. A czem będę za godzinę? A jutro? Boże miłosierny!...

Usiłuję drwić z tej chwili, nadrabiam miną i nawet, chodząc po pokoju, pogwizduję. W lustrze widzę moją twarz struchlałą. Chwyta mnie przestrach.

— Dobrze, słusznie. Opamiętałem się. Nareszcie! Zmarnowałem pół życia, ale wszak zostaje mi jeszcze druga połowa. W świat szeroki! Postanowione.

Ale poco wyrywać stąd, jak warjat? Spokojnie! Nie można ż uciekać z domu, jak złodziej. Trzeba uporządkować wiele spraw, rozmówić się z Działłowiczem, zabrać ze sobą, co mi będzie potrzebne...

Precz z rozwagą! Właśnie o niczem nie myśleć! Ach, niechże zajeżdża prędzej...

Wyganiam Mumję, płaczącą w progu. Zbieram wszystkie papiery, z biurka do szuflad, zamykam, klucze chowam do kieszeni. Zajęło mi

to niecały kwadrans. Wybieram sobie coś do czytania na drogę — przewodnik po Włoszech. Przerzucam go w roztargnieniu, czegoś w nim szukam i nie rozumiem tego, co czytam.

Deszcz siecze po szybach. Z okna, jak okiem sięgnął, widać zalew wiosenny, olchy, jezioro. Obrzydliwie, zimno. Na kominku wesoły ogień, ale boję się usiąść przed ogniem. Nie — już lepiej nie zasiadać. Rozkoszuję się niesłychaną swoją energją i truchleję, czując, że lada chwila wypali się cała. Wszystko zależy od Gierszona. Żydzie, gdybyś ty wiedział!...

Nadsłuchuję—nie zajeżdża. Jeszcze trzy kwadranse. Rozglądam się po kątach i żegnam dawne życie. Ach, trzebaż zabrać Chińczyka!... Jeszcze czego? Moje ukochane sprzęty zdają się płakać za mną. Jak tu będzie wyglądało jutro? Ten dom beze mnie... Czy tak samo będzie, gdy już umrę?

Dreszczem mnie wstrząsa przeczucie jakiegoś nieszczęścia. Głupstwo! Przeraża mnie moja odwaga. I co z tego będzie? Zobaczymy. Ta lekkomyślność jest urocza, ale jeżeli cała awantura ma się zacząć naprawdę... Zbliża się jasna, zupełna świadomość. Tchórzliwa, podła radość, że może przyjdzie Gierszon i będzie się wymawiał, że zanadto leje, że koń niespodzianie okulał, że resor w powozie nadpęknięty... Wyglądam przez okno, czy nie idzie?

Nagle staję się radosny i młodzieńczy. Wichura i deszcz, okropne ołowiane niebo i obrzy-

dłe ołowiane wody wokoło, dają mi słodki przedsmak modrego włoskiego nieba i południowego złotego słońca, rozkosznego ciepła, zieleni, rozkwitu, cudów natury, bieli posągów, mirtów... Ciekawych ludzi, pięknych kobiet, tajemniczych przygód, nieprzebranej rozmaitości nowego życia...

Czeka to na mnie i tęskni. Za górami, za lasami, za siedmiu rzekami, gdzieś nie do wiary daleko. Tam, gdzie na mapie dziwnokształtnego lądu, podobnego, jak wiadomo, do wydłużonego buta, rozrzucone są nazwy Venezia, Milano, Torino, Sienna, Firenza, Roma, Napoli. Mogę tam być za tydzień, nawet prędzej. Nie — to chyba niepodobieństwo? Ale niepodobieństwo staje się właśnie. Gotowe walizy, i jam gotów. Chodzę po gabinecie i drwię sobie ze wszystkiego, co tu po mnie zostaje...

Italja! Italja!

Przygarnie mnie jej czar nieśmiertelny, wiecznie młodzieńczy. Opowiem jej świętym ruinom, jej modremu morzu, cyprysom i pinjom, białym marmurom i stubarwnym płótnom dzieje Polaka, który nie mógł oddychać ojczystem powietrzem. Do ciemnej nory ukrył się przed widmem swojego przeklętego czasu. Urodzony w niewoli, okuty w powiciu — oto słowa, któremi tłumaczy się nietylko tragiczne piękno cierpienia, poświęcenia, bohaterstwa, ale i nędza i ohyda niewoli! Z tych słów wywodzę się na-

wet ja, śmieszny na Świeciechowie pustelnik, postać zbędna, której los nikogo nie wzruszy.

Godzina bohaterskiego postanowienia odsłoniła mi moją istotę. Nie jestem żadnym filozofem, który od tylu lat szedł ze swoją własną mądrością naprzekór wszystkim potęgom świata. Jestem sobie polskim nędzarzem.

Wstyd mi mojego losu przed samym sobą. Trudno mi nawet w głębi duszy wyznać całą prawdę. Tak jest! Właśnie tak! Wspominam to sobie bez żadnej litości. Truchleję, a zarazem widzę, że dopiero od tej chwili moje postanowienie wyjazdu staje się niezłomne.

Ogrom zaoszczędzonej energji rozpiera mnie i domaga się wrażeń, przygód, awantur. Biegam w podnieceniu od kąta do kąta i czuję, że już inaczej chodzę, ruchy moje są porywcze i młodzieńcze, a gdy raz po raz mijam lustro, odkrywam z rozkoszą, że jestem piękny. Oczy nabrały połysku, usta się śmieją. Co za szczęście żyć, gnać kędyś przez szeroki świat, nie lękać się nieograniczonej przestrzeni, puścić się na niewiadome przygody...

O, nie daruję ja życiu ani jednego wrażenia, ani jednej rozkoszy! Wynagrodzę sobie stokrotnie lata zaprzepaszczone! Może powrócę jeszcze kiedyś do starej pustelni, pod cień mojego białodrzewia, a może i nazawsze pozostanę tam. Gdzie? Jeszcze nie wiem, nic nie wiem, i jakże właśnie to jest we mnie piękne, młodzieńcze!

Jeszcze pół godziny!

Chcąc się jako tako opanować, zasiadam pod oknem i nerwowo, bezmyślnie przerzucam trzymany w ręku przewodnik po Włoszech.

— Monte Miniato. Widok stąd rozpościera się na miasto i na Arno. Nieporównany Ponte Vecchio...

Widzę miasto świętego Danta i boskiego Leonarda, patrzę na nie przez gałęzie mirtów i przez łzy uwielbienia. Temi samemi oczami, które teraz widzą zimne rozlewisko Niecieczy...

A obok siebie czuję i widzę, tak zupełnie wyraźnie... Na tej samej ławce usiadła przy mnie i spoczywa, wpatrzona w miasto, ona, mój los, moja rozkosz. Jakże jest cudna! Piękniejsza, niż wszystkie wizje, które mnie nawiedzały w długie noce zimowe w dalekim, posępnym kraju.

Kto ona? Angielka, Włoszka? Wszystko jedno, bo to ona.

Ciepły, pachnący powiew igra z jej włosami, z których zdjęła słomkowy kapelusz... Wyniosła i królewska, nie zważa na moje wniebowzięte oczy, które nie mogą się od niej oderwać. Patrzy w dal przed siebie, a ja w nią...

Wreszcie obróci ku mnie niewysłowione swoje, jedyne na ziemi oblicze. W jednej chwili wypełni się wszystko, co sądzone było mnie i nam obojgu. Prawo przeznaczenia, które cudem nazywa ciemny człowiek, sprawia, że już nie możemy się rozstać ze sobą, tak samo, jak już spra-

wiło ten nierównie większy cud, że spotkaliśmy się tutaj, obcy, przybywający z dwóch końców świata. O miłości! Kobieto! Rozkoszy!... Niepodobna was się wyrzec, niepodobna od was uciec, jako i od losu swojego.

Tonę w zapamiętaniu, przeżywam tę cudną miłość, widzę ją, wchłaniam, czuję...

Jeszcze kwadrans.

A wydarcie się z ponurej Polski, włoskie niebo, swoboda i miłość sprawią, że ożyje we mnie pełnia twórczych sił, że prawdą i czynem staną się bolesne moje zmagania z chimerą niemocy, owe nieśmiałe, namiętne próby pisania w gorączce, w ciągu tajemnych moich nocy, w fałszywym wstydzie, jak gdyby w tajemnicy przed sobą samym. Tam rozwinę skrzydła, polecę... Ogarniała mnie extaza szczęścia.

Gdym patrzał wstecz, na dziwne życie swoje, odkryłem, że to, co nazywałem nieraz mojem dziwactwem, uporem, lenistwem, było wszakże nieświadomą we mnie mądrością, poddaniem się przeznaczeniu. Snać musiałem odbyć lata wygnania i próby, okres łamania się w sobie i okres odżywczego, wzmacniającego letargu, żeby dostąpić kiedyś łaski pełnego życia w szczęściu i w pięknie.

Ta łaska już się we mnie rozpoczyna — już się nawet zaczęła! Bo do odbicia na pełne morze zostaje mi tylko pięć minut!

Gdy zasiądę w roztrzęsionym karyklu, stanę się odrazu innym człowiekiem. Kiedy jasno-

kościste szkapy ruszą z przed mojego ganku, rozpocznie się epos mojej wielkiej podróży. Po chwili zajęczy, zabrzęczy wehikuł po bruku miasteczka. Wychylę się z pod budy, rzucę okiem po obskurnym rynku i jeszcze po raz ostatni zdejmie mnie zgroza, żem tu mógł wytrzymać. Po chwili stoczę się po spadku Waltkowa, minę ostatnią chałupę hyclówkę i ogarną mnie lasy. Tuż za niemi moja Italja.

Wydaje mi się, że ten kraj cudów leży tuż, gdzieś zaraz, bliżej, niż tartak hrabiowski, że zaczyna się jakoś wnet, nie dojeżdżając do powiatowego miasteczka Rębła. Tak to porywcze pragnienie chce oszukać czas i przestrzeń. Swoją drogą niemiło mi pomyśleć, a bodaj nawet zanocować w Rębłach. Gdyby wyjechać jutro rano.

Za nic w świecie! Nie mogę już usiedzieć na miejscu! Za długo trwał absurd mego życia. W drogę!

Boże, jakże się czas dłuży! Możeby tymczasem napisać do Dziatłowicza parę słów z prośbą o opiekę nad domem. Już nie zdążę. Napiszę obszernie z Warszawy. Poco mi ta Warszawa staje na drodze? Niepodobna jej ominąć.

Tam u adwokata moje pieniądze, a wreszcie trzeba się oporządzić u przyzwoitego krawca, kupić na drogę wiele rzeczy.

Nie będę nic kupować, zaopatrzę się po drodze w Wiedniu. A w Warszawie, między jednym pociągiem a drugim wpadnę do adwokata, pod-

niosę jakie tysiąc rubli, polecę mu przesłać Działowiczowi pełnomocnictwo i natychmiast, nie rozglądając się po mieście złych wspomnień, walę na dworzec Wiedeński. Tak!

Przylepiam twarz do szyby i z rozpaczą wyglądam Gierszona. O żydzie!...

Straszliwa pokusa ciągnie mnie na kanapę. Djabeł zsyła na mnie senność nieprzezwyciężoną. Pomocy! Ratunku!

Byle na chwileczkę przyłożyć głowę do poduszki... Przedrzemać nieznośny czas, zanim powóz nie zajedzie... Co to szkodzi? Cóż się stanie?

Na szczęście w progu staje Mumja, płacze i wydaje głuche, rozpaczliwe odgłosy. Wyprawiam ją, rozkazując z krzykiem lecieć natychmiast jeszcze raz do Gierszona. Jestem tak groźny, że baba znika jak widmo i po chwili już biegnie kłusem przez ogród, zakasana. Widzę jeszcze, jak wiatr odwraca jej parasol, widzę, że napróżno usiłuje go naprawić, wreszcie biegnie dalej, unosząc nad głową parasolisko wywrócone, jak poczwarny tulipan. Na ten widok śmieję się i śmieję, i nie mogę się jakoś uspokoić.

I spostrzegam, że właściwie śmieszy mnie coraz to co innego, a raczej wszystko wokoło. Śmieszne miny wyprawia Chińczyk na kominku, wykrzywia się pokracznie, dwie walizy, stojące pod progiem, gotowe do wyjazdu, i te zanoszą się ze śmiechu, że to niby one mają jechać

w świat i to jeszcze gdzie — aż do Włoch — słyszane rzeczy?

Zatapiam się w przewodniku. Czytam pilnie, jakbym się uczył na pamięć, a ręce mi się trzęsą. Po chwili już czytam głośno, starając się recytować najpoprawniej francuskie słowa, jak gdybym chciał zagłuszyć i odpędzić złe myśli, najzupełniej w tej chwili niepotrzebne.

„Na każdym zakręcie drogi, prowadzącej w zakosy ku górze, odsłaniają się nowe cuda... Zieleń wzgórz... Kępy pinij wyrastają na niepokalanie modrem niebie... Nagrodą cierpliwego wędrowca, wreszcie... Fiesole...“

— A co to?

Jest Mumja zpowrotem. Woda się z niej leje na podłogę. Wyraża, jak umie, że Gierszon będzie zaraz, zaraz. Jest zdyszana, ale już nie płacze, raczej się śmieje.

— Zaraz? Dobrze.

Litość mnie bierze nad zmokniętą babą.

— Czemuście nie zaczekali i nie zabrali razem z nim powozem?

Mumja rozpoczyna zawiłą pantominę, ale nie chce mi się dociekać, co to znaczy. Oznajmiam jej dobitnie wielką nowinę:

— Będę długo w podróży, może przez cały rok. Dbajcie o dom! Mieszkanie sprzątać porządnie, jakbym ja tu był. Rzeczy często trzepać! Na wiosnę ogród pan nadleśny wydzierżawi żydom, a dla was będzie wymówiony odsyp. We

wszystkiem wola pana nadleśnego!.. No a co? Czy to ja przymurowany? Dajcie-no spokój, do wszystkich djabłów!

Obrzydliwa jest rozpacz niemowy. Co za postęki, jęki, bełkotanie... Chwyta się oburącz za głowę i ryczy. Licho wie, skąd — mam wrażenie, że wyrabia komedje, a w istocie nie wierzy w całą awanturę.

Czepia się mnie dziwna podejrzliwość. Przebiegam szereg ostatnich dni, sprawdzam moje nastroje, momenty, myśli, co tam w nich było szczerego, a co wypływało ze złej pogody i z nadmiaru wyobraźni, którą starałem się zabić nudę. A co to było dzisiaj — od samego rana?

Zaczynam jak gdyby podejrzewać samego siebie. Wpadam w furję gniewu, a ponieważ nie było nikogo innego, zwala się to na Mumję. Wrzeszcząc, wyganiam ją z gabinetu. Dobrze zrobiła, że usłuchała odrazu, bo jak jestem wzorowym panem i kulturalnym człowiekiem — mógłbym ją był zdzielić raz i drugi. Co za furja!

Na miły Bóg, nie jestem jeszcze warjatem! Wiem czego chcę i zaraz tego dowiodę.

Nie wiem, poco idę z wielką energją do przedpokoju. Pokręciłem się, otwieram drzwi od ganku. Co za straszna, zimna wichura! W białodrzewiu wyje, gwiżdże, szydzi. Deszcz leje, zacina — mimo daszku — aż do środka przedpokoju. Pogoda, że psa nie wygnać. Ale ja jadę.

Italja! Italja!

Zatrzaskuję drzwi, zdejmuję z wieszaka futro i naciągam je na siebie. Nakładam czapkę i wracam do gabinetu. Zasiadam w fotelu przed ogniem.

Jestem gotów! Usypiam w jednej chwili.

Znowu patrzę na widok z San Miniato. Miłe, wonne gorąco, pachną pomarańcze i rozpalone w słońcu cierpkie mirty. Moja cudna Dunka — już wiem, że to Dunka, wskazuje na krajobraz, zwrócona do mnie jasnem, promiennem obliczem... Ogromne modre oczy, wpatrzone we mnie z pod bujnej, płowej grzywy...

— Regardez bien — jamais vous ne verrez le pays comme ça.

Ale ja patrzę tylko w nią jedną, a i ona nie odrywa ode mnie oczu. Czuję, że mnie pcha do niej jakaś obca siła, i nie wiedząc kiedy i jak, zbliżam się ku niej, sunąc po długiej, wyślizganej ławce. Coraz bliżej — dalej już nie można...

Czuję boskie ciepło, bijące od jej ciała, spowitego w białą szatę, cienką, jak pajęczyna... Truchlejąc, przywieram do niej, drżące moje ramię otacza ją, nie śmiejąc jeszcze dotknąć... Zgroza i lubość niewysłowiona...

Rozkosznie zbliska patrzą na mnie jej modre oczy, pali mnie jej oddech. Oto cudne usta, rozchylone w omdleniu, szepcą:

— Regardez bien... Jamais vous ne verrez le pays comme ça... La ville sainte... au soleil couchant...

Ale zanim dotknąłem jej ust, odskoczyła na drugi koniec ławki. Oto stoi przed nami sam we własnej osobie, na tle mirtów, zasłaniając całą Florencję swoją chamską postacią, Gierszon — furman. Stoi z batem w ręku i zapowiada, że konie gotowe i że on tu po mnie przyjechał z samego Świeciechowa. Powiada, że czas wracać do domu, i ani myśli odchodzić.

Na tę bezczelność porywa mnie furja. Wstaję z impetem i budzę się.

* * *

Już ciemno. Na kominku słabo żarzą się węgle. W białodrzewiu wyje wicher, jak wszyscy djabli. Deszcz siecze po szybach. Dławi mnie głęboki smutek, ciężki od nieprzebranej nudy. Czuję, że zawaliło się coś we mnie bezpowrotnie. Tańcują przede mną wszystkie absurdy mojego nędznego życia. Chwila prawdziwej rozpaczy, cień buntu, a gdzieś tam ulga. Ulga nędzarza.

Rozglądam się po pokoju. W progu stoi nieruchomo ciemne widmo. Ponieważ wiem, że mam pewną lekką skłonność do przywidzeń, zwłaszcza pociemku, biorę wiązkę podpałki i rzucam na węgle.

To wierna Mumja pilnuje swego pana, starego warjata. Nie wiem, jak się do niej odezwać, a ona, jako niemowa, tem bardziej. Poprostu wstanę i wyrzucę ją za drzwi, aż się nogami

nakryje. Wstydzę się przed nią, jak gdyby znała moje myśli i bezdroża, poloty i upadki.

Jestem odurzony i nieszczęsny. Gdzieś na dnie wyczuwam przedsmak jakiejś plugawej błogości, tej mojej nędznej, nieprzepartej. Tęsknię za nią, wołam. Wstrząsa mną dreszcz odrazy do samego siebie.

Nato zatrajkoce coś na dworze, zachrzęści, zadudni. Chlupie po błocie, ustaje, ucicha. Od progu rozlega się niemrawe łkanie, głuche, zduszone.

Zbieram myśli. To Gierszon zajechał, żeby mnie wieźć do Florencji. To wierna Mumja opłakuje chwilę rozstania. Nadchodzi chwila najstraszliwsza. Ale najobrzydliwsze jest to, że pomimo całej najszczerszej rozpaczy, zgóry wiem, co zrobię.

Ta świadomość pcha mnie naprzekór wszelkiej oczywistości do jakiegoś kolosalnego głupstwa. Zacinam się. W czaszce czuję zimno, czuję każdy mój włos na głowie. Zgroza... Ja chyba naprawdę pojadę... Pomocy! Ratunku!

Ach, nikogo, ktoby podał rękę, ktoby wypowiedział jedno słowo...

Co za tragedja! W przełomowej chwili, kiedy całe życie moje waży się, mam koło siebie ciemną niemowę i dzikiego żyda, który zaraz wkroczy tu napastować mnie swoją głupią Florencją. Gierszon nie wie nawet o istnieniu takiego miejsca, a jednak on to spełnia rolę

przeznaczenia, i jeżeli wogóle będę kiedy siedział na Monte Miniato... W głowie mi się miesza.

Trzeba jednak coś robić. Przeklęty realizm życia! Uciekłem od niego, wzniosłem się ponad ohydę rozsądku — piętnaście lat przeżyłem jako nadczłowiek poto, żeby o moim dalszym losie stanowił żyd-furman. Nie...

To on dobija się do drzwi. Zrywam się na równe nogi. Mumja jęknęła głucho i bierze się do moich walizek. Żyd kołace, jak siepacz, budzący o świcie skazanego. Wicher wyje. O, przeznaczenie!

Co robić? Co ja mam robić, o przekleństwo! Czyż mam się schować pod kanapę?

Mumja, łkając, dźwiga z podłogi jedną walizę i bierze się do drugiej... Cóż za podłe, rabskie posłuszeństwo! Wydziera się ze mnie ryk wściekłości i rozpaczy.

— Gdzie?! Gdzie?! Poco? Wara mi od walizek!

Szarpię się z nieszczęsną. Nie widzę jej twarzy w półmroku, jeno gębę otwartą w ostatecznem przerażeniu na okrągło, na literę „o". Z tego otworu zgrozy zionie długo jednym niskim tonem chrapliwe, zduszone wycie, jak gdyby kto w organach naciskał klawisz od zepsutej, dziurawej dudy. Ale walizki leżą porzucone.

Odzywa się we mnie potężnie instynkt samoobrony. Wzbiera dzikie męstwo. Zupełnie się nie boję nikogo.

Otwierają się drzwi i za progiem staje olbrzymi drab, opakowany w opończę, z workiem na głowie. Wieje od niego zimno i zgroza. Ale ja już kpię sobie z tej zgrozy. Wpadam na niego z impetem.

— Czemu tak późno?! Co to, ja na noc pojadę, czy co? Na takie ciemności? Po wertepach i bajorach? Zaraz!... Zaraz!... A ja czekam od pięciu godzin! Żydowskie twoje zaraz! Nie pojadę!

Krzycząc tak, czuję, że twarz mnie pali z jakiegoś głupiego wstydu, krzyczę dalej, ale głos mi się zrywa, bo widzę, że tam daleko, na ławce pod mirtami na Monte Miniato, moja Dunka osłania cudne oblicze cudną swoją dłonią, pochyla smukłą postać, płacze nad moją małodusznością — płacze po mnie. Boli mnie krzywda jasnowłosego dziewczęcia. Wrzeszczę na żyda, a głos mi się zarywa w łkania...

Ostatnia, najgroźniejsza chwila wahania...

I oto władczą dłonią ktoś niepojęty już zwija w trąbkę całe misterjum, malowane złotem i purpurą na tle modrego włoskiego błękitu...

Żyd protestuje basem, dudni po pokoju jego szwargot, jak z głębi beczki. Ma wiele na swoje usprawiedliwienie.

— Jakie nie zaraz? Ja zaraz! Pan dziedzic wie, że na takie drogie trza napaść kuni! Trza zładować powóz, nasmarować osiów. Jakie za ciemno? Ja drogie znam z zawiązane oko. Ja mam z jednej strony latarnię...

— Żebyś miał latarnie ze wszystkich czterech stron i nawet na łbie... Rozumiesz? Ja nie dam ze siebie kpić! Rozumiesz? Jeszcze czego! Co mi tu będziesz opowiadał?

— Co ja jestem winny, wielmożny panie? Jak ja się zwijał! Jak Gierszon powie, że zaraz...

— Nic mnie nie obchodzi, co Gierszon powie. Możesz sobie gadać przez całe trzy godziny. Ja lubię mieć do czynienia z człowiekiem porządnym. Rozumiesz?

— Co ja mam rozumieć, wielmożny panie? Ja zajechałem, żeby wielmożny pan siadał i jechał do...

— Żadnej Florencji! Zaczemeś się tam guzdrał, odmieniło mi się. Trza było przyjechać w porę, jakby zrobił porządny katolik.

— Jaki katolik napasie konie w minutkę czasu? Kuń musi zagryźć i połykować w kałdunie te parę garnców...

Uchylam dalszą dyskusję i każę mu milczeć. Udaję wielki pański gniew — tak samo czynił Napoleon w wypadkach bardziej kłopotliwych. Krzyczę na Mumję, żeby zapaliła świece. Chodzę po pokoju olbrzymiemi krokami. Żyd stoi w progu.

Już zdobyłem nad nim stanowczą przewagę. Nie boję się Gierszona i staję się łaskawy. Wydobywam trzyrublówkę i podaję mu uroczyście.

— Masz! I wynoś mi się, a na drugi raz...

Kłania się do ziemi, ale nie odchodzi.

— Czego jeszcze chcesz?

— To wielmożny pan każe na jutro rano? Na którą godzinę?

— Na żadną godzinę! Jeżeli pojadę, to nieprędko. Jak będzie trzeba, dam ci znać. A to weź sobie za swoją fatygę, żebyś wiedział, z kim masz do czynienia.

Mówię to swobodnie zupełnie, nie czując już żadnego wstydu. I w wezbraniu prawdziwego szczęścia i ukojenia nakazuję jeszcze Mumji, żeby Gierszonowi dała wódki. Znikają oboje za drzwiami. Mumja, zanim przymknęła drzwi, rzuciła na mnie przez wąską szparę jeszcze jedno spojrzenie. Była w niem czułość, ukojenie po wielkiem wstrząśnieniu i bezradne, błagalne zapytanie. Odpowiedziałem jej wejrzeniem surowem, pańskiem, bez cienia zawstydzenia. Niech sobie myśli, co chce.

Zostaję sam. Opadam na fotel i oddycham ciężko, jak po niezmiernej pracy, jak po przebyciu groźnego niebezpieczeństwa. Uprzytamniam sobie i rozważam wszystko. Szczerze i bezwstydnie napawam się moją niedoszłą wyprawą. W mojem postanowieniu, w którem wytrwałem po bohatersku w ciągu kilku godzin, przeżyłem wszystko, jak w rzeczywistości — tylko intensywniej, głębiej, piękniej. O, Italjo! O, Firenze...

Czyż nie stałem w skupieniu przed grobowcami Medyceuszów? Czyż nie przeżyłem od początku do końca mojej włoskiej miłości? Czyż

to nie wszystko jedno, a raczej, czy nie lepiej, czy nie piękniej...

Żegnaj, cudna, jasnowłosa córo północy! Dziękuję ci za łaskę rozkoszy, zawsze cię będę wiernie wspominał!

Powróciłem — jakże mi błogo!

I kto mi będzie śmiał powiedzieć, że nie byłem we Florencji?

* *
*

Siecze, pluszcze deszcz, wyje wicher w konarach białodrzewia. Zatrajkoce, zaklekoce coś, zachlupie, zachrzęści. To odjeżdża żywy, niezaprzeczony dokument mojej dobrej woli, dowód wieczysty mojej dalekiej podróży.

Wróciłem... Przyozdobiła się dusza mego domu, jak po długiem rozstaniu. Jak mi tu dobrze! Przeżyłem dużo, widziałem tyle! Teraz w ciszy będę długo odpoczywał, będę długo wspominał.

Jeszcze raz dowiodłem, że jestem twórcą i filozofem, że mam odwagę i wolę. Tak samo oczywiście mógłby był postąpić i nędzny zgniłek, tak samo umie podróżować pierwsza lepsza ślamazarna pokraka. Tylko, że oni i im podobni wiecznie się jeno kędyś wybierają i jeszcze w godzinę nędznego skonania czegoś żałują. A ja wiem, że nigdy, nigdzie nie wyjadę ze Świeciechowa. I teraz tak samo.

Ale we Florencji byłem i już.

Z KRONIKI ŚWIECIECHOWSKIEJ

Śliczny, odrębny światek, te nasze łachy. Powikłany labirynt podłużnych jeziorek, wysepek, senny las wodnych trzcin, zarośli sitowia i tataraku, stubarwne bujne łączki i nieprzebyte gąszcze wikliny. I dziw tej krainy, jak okiem zasięgnął, szeroka dolina Niecieszy od północy na południe. Po tamtej stronie doliny, ciągnącej się na kilkadziesiąt mil, na nieco wyższym brzegu siedzi, jak to mówią „na zawodziu", wielka wieś Mękalin i patrzy ku Świeciechowu z poza łąk i moczarów.

Praongiś, za piastowskich początków, rozlewało się tu wielkie, o jakie dwie wiorsty w linji powietrznej jezioro żeglowne, o którem w najstarszych dokumentach są wzmianki, że kiedyś było. Wykryła je dopiero młoda polska nauka i po wielu bardzo badaniach, pytając jeno matki ziemi, która wszystko pamięta, zakreśliła jego granice na mapie naszych czasów poprzez pola i lasy, przez odwieczne wsie i stare miasta. Kto wie, z jakich czasów wynurzyły się owe kamienie, ciosane w ogromne cegły, leżące w bezładnej kupie nad łachą, zdala od rzeki, zamu-

lone do niewiadomej głębokości, malowniczo omszałe i zarosłe. Może to resztki budowli jakiegoś nieznanego plemienia, jeszcze z przed epoki jeziora, może zwalony na dno ładunek jakiej zatopionej w tem miejscu przedpiastowskiej szkuty?

Lubię to miejsce najbardziej, ciasny, zaciszny kąt. Gdy usiąść na jednym z kamieni, który służy za wcale wygodną ławę, widać jeno modry pęd wody i las trzcin na tamtym brzegu, zamykający resztę świata. Tu wysiadując, lubię patrzeć na powietrzne gonitwy łątek, na wodę śpiącą u samych stóp. Czasem niespodzianie wśród ciszy wypłynie z gęstwy trzcin flotylla dzikich kaczek, zrzadka rzuci się ryba i błyśnie srebrną łuską. Trzciny chylą się za każdym powiewem i za każdym szepczą inaczej...

Pewnego razu zmierzałem ku mojemu miejscu i mijałem właśnie ostatnie kępy wiklin, gdy z poza zielonej osłony liści dosłyszałem czyjś dziwny, donośny głos, wygłaszający jak gdyby jakąś orację.

Stanąłem i słucham: z niezmiernem przejęciem i patosem deklamuje ktoś wiersze. Ktoby to mógł być? Skradam się i widzę cośniecoś przez gałązki, a słyszę już zupełnie wyraźnie.

Narazie myślałem, że to z „Pana Tadeusza", bo zwiódł mnie rytm znajomy. Wiersze były mi nieznane. Porzuciwszy dociekania, ktoby to

mógł być ów natchniony deklamator, słuchałem spokojnie. Głos opadał i podnosił się z niezmiernie wyrazistą dykcją, i wzruszającą staroświecczyzną w tonowaniu. Kochali się kiedyś ludzie w wierszach i umieli je wypowiadać.

Nie zważałem zpoczątku na wiersze. Deklamacja pogrążyła mnie w rozpamiętywaniu jakiegoś niezmiernie odległego wrażenia — wspomnień, bodaj że z czasów dzieciństwa. Spadł na mnie urok zatraconego w niepamięci, dziecięcego, bezgranicznego zachwytu. Kiedy to było? Co to było? Zachwyt dźwięczał we mnie, jak srebrny śmiech — potoczył się i zgasł. I przypomniałem sobie tamtą chwilę. Przed powstaniem, w dobie manifestacji, wuj deklamował wiersze patrjotyczne, których jeszcze zupełnie nie rozumiałem, ale samo ich słuchanie sprawiało mi najwyższą rozkosz. A kiedy mamusia lub inna pani ze wzruszenia podnosiła do oczu chusteczkę, i ja płakałem, bynajmniej nie dla naśladowania starszych, ale z wielkiego szczęścia.

Podsunąłem się tam. Teraz już najwyraźniej słyszałem każde słowo. Były to jakieś wiersze na bardzo starą modę, bardzo szlachetne, kunsztowne, potoczyste, trochę śmieszne i nader miłe. Jakiś przezacny poeta, dawno zmarły, dawno przez wszystkich zapomniany.

Był to poemat bohaterski o Piastach. Czy nie Woronicz? Coś z Niemcewicza, z Wężyka — z tych tam, których już nikt nie czyta. Ale

któżby ze Świeciechowa zaprzątał się poezją. Głos był mi nieznajomy. Co za sensacja na łaszel Wyjrzałem.

Przepiękny obraz. Jak gdyby go wystylizował nowoczesny artysta, szukający nastroju w staroświecczyźnie. Wiekowy, miły pan, w białym kitlu i szerokim słomkowym kapeluszu, z długiemi, na uszy spadającemi, siwemi włosami, czytał z wielkiego arkusza, trzymanego w ręce daleko odstawionej od siebie.

Druga ręka była uroczyście wzniesiona dłonią wdół, jak gdyby, czytając, błogosławił wody. U stóp jego siedziała stara niewiasta, zapatrzona w niego z oddaniem i zachwytem. Tuż zapuszczono wędkę — jakaś drobna rybka targała i naginała ją do samej wody, ale starzy tego nie widzieli, porwani urokiem poezji.

Nie znałem osobiście tych państwa i nie widziałem jeszcze na oczy, ale że w Świeciechowie wie się wszystko — nie mógł to być nikt inny, jak pan profesor Foltański z siostrą. Dwoje emerytów, którzy po utracie hojnych, wielkopańskich emerytur i dożywoci, wskutek licytacji i parcelacji dóbr Chłusowiczowskich, osiedli niedaleko w miasteczku i przycupnęli tu w srogim niedostatku na resztę życia.

Po wzmagającej się uroczystości w wygłaszaniu poematu, po wciąż wznoszącym się jego tonie — poznałem, że utwór dobiega do końca. Istotnie, to inwokacja do cieniów Piastowych,

dzwony Wawelu i cisza. Ręka, trzymająca arkusz papieru, opadła. Druga jeszcze przez chwilę pozostała wzniesiona, poczem, gdy siostra przycisnęła ją do ust, spoczęła na jej siwej głowie. Trwali tak długo. Co za kochani, mili ludzie...

— Widzi braciszek — coś się złapało...

— Niechże Honorcia czemprędzej uwolni rybkę. Niech to uczyni najostrożniej. Takiej wzniosłej chwili nie należy nam znieważać śmiercią niewinnego bożego stworzenia.

— To coś dużego!

— Wszystko jedno, niech się cieszy życiem na swój sposób.

Słysząc z pod wody o udzieleniu amnestji, ryba zaczęła wyprawiać z radości gwałtowne harce i urwała się z haczyka. Wędka odprężyła się i drgnęła w powietrzu.

— Poszła.

— Tem lepiej, siostro.

Nie mogłem dłużej. Coś mnie pchało do tych ludzi — zdumiewający u mnie objaw... Na chwilę poczułem się wobec nich małem dzieckiem — porwali mnie ku sobie, jakby to byli moi najukochańsi, najlepsi moi dziadzio i babcia. Było tak ze ćwierć sekundy, żem się, jak jestem stary, najzupełniej zapomniał. Ci piękni, mili staruszkowie sprowadzili na mnie tchnienie dziecięcego szczęścia...

Kłaniam się uprzejmie i przedstawiam się — jednem słowem, najgrzeczniej jak tam potrafię.

Wyglądają nieco na złapanych, — jak gdyby coś tu było takiego... Coś, zresztą, bardzo nieuchwytnego.

Maniery profesora były zaiste wielkopańskie, siostra Honorcia, nieco prostsza, ale od pierwszego powitania i pierwszego słowa znać było, że ci ludzie życie spędzili po hrabiowskich domach. Przy ich wyrobieniu towarzyskiem, a mojej nieudanej serdeczności, pierwsze chwile znajomości szły gładko. Profesor wyrażał się na sposób nieco książkowy, potrosze za ścisły, jak na rozmowę o rzeczach potocznych. Trzymał się jeszcze bardzo prosto, poruszał się sztywno i w dziwnie wzruszający sposób przypominał uroczystego bociana. Siostra z pośpiechem zbierała i składała arkusze, leżące na kamiennej płycie.

— Jednak szanowni państwo, to znawcy! tak niedawno u nas, a już odnaleźli najpiękniejszy zakątek. Ja odkryłem go dopiero po trzech latach pobytu!

— Chwytamy z panią siostrą każdą chwilę pogody, by odetchnąć na łonie cudów przyrody. Nie potrzebujemy udawać, że osiedliśmy tutaj niezupełnie z własnego wyboru, jednak los wynagrodził nam pewne przeciwności, osadzając nas w okolicy tak obfitej w piękne pejzaże.

— Miasto to dziura. Ale można nań zupełnie nie zważać...

— Tak też czynimy, proszę szanownego pana, mieszkamy na tak zwanem Zakarczmiu, aż poza miastem.

— Wiem, wiem...

— Ja i po dwa tygodnie nie widzę tego żydowskiego miasta i zapominam o jego istnieniu, zato pani siostra z przyczyn gospodarstwa zmuszona jest nawiedzać je niemal codziennie.

— Zato bardzo tu tanio i obfitość mleka i nabiału. Brat musi wystrzegać się mięsa.

Wzbudziłem podziw moją znajomością sławnej przeszłości Świeciechowa. Zwróciłem uwagę na kamienne bloki, na których siedzieliśmy. Profesor powstał, postukał w jeden z kamieni laską z gałką z kości słoniowej, ze złotym monogramem, i nagle, jak gdyby czemś natchniony, w uroczystym szerokim geście zdjął kapelusz.

— Cześć wam, prastare zabytki! po przodkach naszych nieznanych ostatki! Wiekopomnych prac, wspaniałych budowli domów bożych, twierdz niezdobytych! O kamienie! O waszą niespożytą moc w ciągu mnogich stuleci rozbijały się nawały Jadźwingów, Tatarów, Krzyżaków, Szwedów... Aż nieopatrzone, zapomniane, poszłyście w ruinę... I nie stało was, gdy przyszedł wróg ostatni!... O Polsko...

„...Dźwignij z gruzów starodawne cnoty,
„Twierdze praw i znamiona rycerskiej ochoty,
„Kazimierzową rządność i Chrobrego czyny,
„I mądrość Jagiełłów, Stefana wawrzyny!"

I znów uderzyła we mnie i chwyciła za serce pamięć wrażenia z dziecinnych lat.

— Czyje są te piękne wiersze?

Profesor zmieszał się i spłonął niewinnym rumieńcem, jak młodociany poeta, złapany na gorącym uczynku. Zamachał naiwnie rękami, zadreptał na miejscu.

— Co tam... takie rymy profesorskie... Po staroświecku, bez pretensji!... Akademickie wiersze... Szanowny panie! Na chwałę Polski, ojczyzny naszej, każdemu wolno śpiewać.

— Bardzo piękny utwór. Jakże mi miło wiedzieć...

— Ależ panie... Ale jakże? Poco to? Rzeczy są maleńkie, o, maleńkie... Przy olbrzymach... A wie pan? Jednak mnie w zaranku zachęcał sam Mickiewicz! Ale inaczej Bóg rozporządził mojem życiem, niech Jego nieodgadniona wola będzie święta! Dopiero na schyłku żywota... Ale co tam!

— Jakto? Pan dobrodziej wyraził się, że Mickiewicz? osobiście, Adam?

— Nic dziwnego — stary jestem, szanowny panie... W roku pięćdziesiątym pierwszym bawiłem tam w Paryżu, jako guwerner przy chłopcach hrabiego Mosakowskiego, (Hipolita z Rożyszcz) i prezentowany byłem wraz z innymi nieśmiertelnemu Adamowi. Dla śmiechu raczej kazał mi stary hrabia odczytać głośno mój sonet. Umierając ze strachu i ze wstydu, jednak odczytać byłem zniewolony. Pan każe — sługa musi. I cóż powie szanowny pan? Sam wziął mnie pod ramię, odprowadził na stronę i przez chwilę, może

przez całe dziesięć minut dawał mi rady i z całą dobrocią nawet, że tak powiem, zachęcał. Trzyma mnie tak pod pachę swoją świętą ręką, którą napisał „Księgę pielgrzymstwa", „Dziady", „Pana Tadeusza", i powiada: — Nie daj się, chłopcze! Wiedz, że najmłodszy poeta jeszcze więcej znaczy, niż najstarszy hrabia. Pisz, powiada, kiedy będziesz mógł. A nigdy nie udawaj i bądź sobą, bo poezja — to prawda. I jeszcze długo prawił, może z pół godziny. Jak można mierzyć czas w takiej obecności? Wszyscy na to patrzyli, i moja mierna osoba odrazu się podniosła w tem hrabiowskiem towarzystwie. A wieszcz cóż chciał wyrazić? Zrozumiałem to dopiero do samej głębi po latach, jako dojrzały człowiek. Naukę chciał dać hrabiemu, że najmłodszego i najmniejszego, i nawet zgoła żadnego poety nie wolno wystawiać na śmiech — bo poezja to kapłaństwo. Najwyższy poeta obronił najmniejszego. Szczęścia zaś, które mi tem dał na całe moje ciężkie życie, nie podejmuję się odmalować. Ten jeden moment najwyższego zaszczytu słodził mi gorycze innych poniżeń, gdyż pozwolę sobie wyznać szanownemu panu, że ciężki to chleb być profesorem przy dzieciach po arystokratycznych domach. Ale pozyskałem wolność i dawno już wypoczywam na emeryturze.

Wśród rozmowy w drodze powrotnej powziąłem niezłomne postanowienie zbliżyć się do sta-

ruszków i zaopiekować się nimi. Było koło nich coś zanadto ubogo...

I w parę dni później, w należytym tużurku złożyłem im wizytę ja pierwszy, pomimo, żem tu zdawiendawna osiadły, a oni przybysze. Uczyniłem tę nieformalność przez wzgląd na panią siostrę. Wyjaśnienia, złożone na samym wstępie, zostały przyjęte z miłą, choć nieco wielkopańską życzliwością. Oboje byli bardzo radzi.

Wśród ubóstwa ich dwóch izdebek królowała bibljoteka, złożona z kilkuset pięknie oprawnych tomów, i wielkie gipsowe popiersie Mickiewicza, pomalowane na bronz. Stało na brzozowym pieńku na tle karmazynowej draperji. Pozatem były to nędzne, niemal po chłopsku urządzone dwie „stancje", ciemnawe i tchnące zastarzałą wilgocią. Wśród tej nędzy siedzieli na nieheblowanych, koszlawych zydlach i czynili honory domu ze wzruszającą wytwornością.

— Zdaje się, że przeszkodziłem panu w pracy?

— Ach nie! Od paru lat bawię się w wolnych chwilach spisywaniem mego pamiętnika. Poświęcam temu godziny poobiednie. To rozrywka!

— Jak brat może mówić coś podobnego! Tylu ciekawych ludzi brat znał w życiu, tyle brat odbył zagranicznych wojażów. Grzech byłby nie opisać tego dla potomności.

— Zupełnie słusznie. Pan profesor przecież rozumie, jak ważnym przyczynkiem do znajomo-

ści dziejów są pamiętniki. Bez nich historja każdego narodu byłaby dla potomnych martwa i urzędowa.

— Poniekąd — poniekąd! Jeżeli je spisał mąż stanu lub znakomity obywatel. Ja jednak w ciągu mojego długiego życia, ocierając się o tych ludzi, mogłem jedynie podglądać stanowiska w wielkim świecie. Takie pamiętniki z konieczności wypadają ubogo i, powiedzmy, nawet nieco śmiesznie.

— Ale gdzież tam! Miał pan wyborne stanowisko obserwatora. Tu nie idzie o fakty historycznej miary, a o rysy obyczajowe. Jakże szybko, do niepoznania zmienia się ład życia — z pokolenia w pokolenie! Trzeba to chwytać i ratować od zaguby...

— Racja, racja! Ale szanowny pan nie spostrzeże żadnych zmian, dopóki pan szanowny prowadzi czynne życie. Wszystko się wydaje jednym ciągiem tego samego. Aż gdy nadejdzie mój wiek, głęboka starość, i gdy szanowny pan obejrzy się za siebie... Nadzwyczajna niespodzianka. Nie jedno życie, a trzy co najmniej — ja wyraźnie widzę w sobie jakby czterech ludzi — cztery pokolenia. Przed czterdziestym ósmym — rok czterdziesty ósmy — sześćdziesiąty trzeci — i aż do dzisiejszego dnia... Ostatni okres najdłuższy, i powiem szanownemu panu, że w ciągu tych trzydziestu lat od powstania, wszystko, z czem ja się urodziłem i w czem

wzrosłem, i to, co potem przybyło w mojem życiu nowego — to skończyło się, wymierało. Już tego dawno niema. Na to miejsce rodzi się, może się nawet urodziło coś nowego. Ale nowych czasów ja nie widzę, zapewne już ich nie rozumiem, pusto mi jakoś teraz w Polsce. Z ostatnich lat trzydziestu nie mam nawet co zapisać w pamiętniku. Powymierali moi rówieśnicy, ludzie ciekawi, a co gorsza, obumarły nawet podstawy, które trzymały nasz stary świat.

Gdzie stan szlachecki, ziemiaństwo, które było Polską? Gdzie stare rody... Ubożeją — czyli wymierają... Ot, Chłusowicze, ongiś magnaci Wołynia... Już po roku trzydziestym tyle im zostało, co mieli tu w Koronie... Była to jeszcze fortuna, a w moich oczach zagasła — bom to ja profesor ostatniego, nieszczęsnego dziedzica klucza rastawickiego. Giną panowie, giną sługi. Nie mówiąc o panis bene merentium — miało się domek w dożywociu z ogrodem i ze wszystkiem gotowem; wraz z panią siostrą — piętnaście lat przeżyliśmy, jak u siebie... Ano, Bóg nam dał za długo żyć, przenieśliśmy się tutaj na sam koniec. Oprócz tego oszczędności nasze, z panią siostrą ciułane w ciągu lat, spadły z rastawickiej hipoteki w powszechnej chłusowiczowskiej katastrofie.

— Tej krzywdy już niech mu Bóg nie podaruje!

— Pani siostro... Niechże siostra pozostawi Panu Bogu wolną wolę i pod tym względem! Nieszczęście...

— A do tego ani jednem słowem się nie usprawiedliwił, nawet nie przeprosił, nie raczył pamiętać starego nauczyciela...

— A Natalka? Serdeczne dziecko...

— Ona jedna wstyd miała. Z całego domu. I co nam z tego wstydu? Z pod ziemi — powiada — wydobędę, a zwrócę państwu sumę. Tak się to mówi — z pod ziemi. Znikąd ona nic nie wydobędzie. Choć piękna — nie wyda się bogato — córka bankruta. Sama będzie musiała na chleb pracować.

— O Natalkę bardzo się obawiam. Posiada krew węgierską... Za śmiała ona... Oj za śmiała na kobietę...

Wspomnienie ciężkiej krzywdy najzupełniej wytrąciło panią siostrę z równowagi. Poczerwieniała, do oczu napłynęły łzy.

— A nieładnie! A całkiem, całkiem nie na miejscu! Co sobie pomyśli o siostrze nasz wielce szanowny i łaskawy gość? Niechże się Honorcia nie unosi! Niedługo nam już biedować...

— Mnie tam co — o brata mi idzie...

Profesor patrzał na siostrę niemal surowo, wysztywnił się, poczem roześmiał się z najwykwintniejszą nonszalancją wielkiego pana.

— Bawimy oto gościa naszemi kłopotami, jak gdyby to było bardzo zajmujące. Haha...

— Owszem, owszem. Możebym mógł służyć radą?... Byłoby mi...

— O tem już nie mówmy ani słowa. Jeszcze czego brakowało?

Stary zaczął nagwałt odwracać rozmowę od niemiłego przedmiotu i tak ją gorliwie odwracał, że przez austrjacką Wenecję znaleźliśmy się w Rzymie, w starym Rzymie, jeszcze papieskim, potem w Medjolanie — przewinął się Garibaldi, Mazzini. Potem Paryż — Hebel, Lambert, Mickiewicz, Towiański, Słowacki, Norwid, generałowie z trzydziestego roku... I nie spostrzegając się, zapuścił się profesor w gęstwę opowiadania.

Co chwila wyłaniało się coraz to nowe imię, które przywykło się jeno tak czcić, jako relikwię. Nie do wiary zdawało się słyszeć, że mówił o nich ktoś, który ich oglądał żyjących, z nimi mówił...

Musiałem zliczyć lata, żeby się upewnić, że to wogóle możliwe. W skupieniu, ze czcią spoglądałem na rozgadanego profesora, jakby na postać fantastyczną, urojoną, powstałą z grobu... Gdym się ocknął z zadumy, która mnie poniosła hen, w stare czasy, usłyszałem te słowa:

— Na tem samem przyjęciu u państwa marszałkostwa Jełowickich miałem szczęście jedynie ujrzeć dwóch ludzi bardzo już wiekowych,

którzy nauboczu sobie siedząc, spierali się gorąco a głośno, snać obaj byli już ze starości niedosłyszący. Jako człowiek młody i do tego guwerner, czyli niejako nic, zawszem plątał się jako malutki między wielkiemi osobami i słuchałem — patrzałem, wszystkiego ciekawy. Kłócą się nasi staruszkowie, laskami o ziemię postukują — i o co? Szanowny pan nie zgadnie, bo i ja, uszom moim nie wierząc, wonczas stałem przed nimi w zdumieniu najwyższem. O bitwę pod Dubienką szło! Obaj oficerowie z pod Dubienki, szanowny panie! Kościuszko, rok dziewięćdziesiąty i drugi... Słuchałem, jak baśni, jak wieści z za grobu. Oto są jeszcze żywi, myślę, ci, co pamiętają Niepodległą Rzeczpospolitę i Wielki Sejm! Oto są ci, którzy za Ustawę Trzeciego Maja krew swoją przelewali... Łzy mi się do oczu cisnęły. Ręce im chciałem całować — cóż, kiedy za bardzo się w tej właśnie chwili przemówili, porwali się z kanapy i krzyczą jeden przez drugiego, tylko im się kije trzęsły w ręku. Aż przybiegli ludzie, musieli ich od siebie odciągać. Mogli się byli i pobić temi kosturami. Jeden trzymał stronę ks. Józefa, drugi — Kościuszki. Chwila była w mojem życiu rzewna i najwznioślejsza — cóż, kiedy mi ją oni sami, jak to ludzie, nieco zepsowali. Gdy ich już prowadzono pod pachy, molestując, jeden uprze się, stanie i zawoła na całą salę: — Kreatura puławska! Przez nędzną fikcję wydęty cały

ten twój Kościuszko! — Wiedzą ludzie, kto go wypchnął na Naczelnika! — Wydrze się drugi prowadzącym i huknie: — Stryjcowa krew w tym twoim księciu, i tyle!... Austryjacki pułkownik! Bawidamek! — Starzy, zdziecinniali to byli ludzie — a tamci, o których się wadzili obaj, w jednej chwale u narodu na Wawelu ich prochy.

Profesor zaniemógł wkrótce i już się nie podniósł. Długo dogasał, przez całą jesień, przez całą zimę. Odwiedzałem go dwa razy na tydzień, a nie mogąc patrzeć na ciężką nędzę dwojga staruszków, wszedłem w sporek z panią siostrą. Nadzwyczaj trudno to szło. Na początek przysyłałem sąsiedzkie gościńce: koszyk gruszek, parę kurcząt, to wszak za darmo mi przyszło, bo z własnego gospodarstwa. Ciężko było wmusić w starowinę jakowąś pożyczkę w pieniądzach, a już wczesną jesienią zadłużeni byli u Tobiasza i u gospodarza za komorne.

Wreszcie chytrością sprowadziłem ją do siebie i po długiej konferencji stanął między nami układ, że nabywam bibljotekę profesora i obejmuję jego pamiętniki i poematy, jako przyszły wydawca. Bibljoteka naturalnie pozostała w dożywotniem jego użytkowaniu, a rękopisy w miarę możności będę drukował już w najbliższych czasach.

Ambicja starowiny była już nieco nadłamana przez nędzę, ale jedynie jej niezłomne przeświadczenie o wysokiej wartości utworów brata

skłoniło ją do zawarcia umowy. Spisaliśmy ją uroczyście w dwóch egzemplarzach i dopiero wówczas w izdebkach na Podklasztorzu ukazały się wygodne staroświeckie meble, zakupione w Rębłem, po świeżo zmarłym księdzu kanoniku, okna przyozdobiły się białemi firankami, a chory profesor spoczywał wygodnie na materacach i miał zapewniony należny sobie rosół z kury i stare wino. Pojawiła się Wojciechowa, służąca, i pani siostra nie potrzebowała już mordować się przy kuchni. Przy bajecznej taniości naszych stron kosztowało mnie to zupełnie mało.

Przywiązałem się do moich wizyt i do obojga starych. Byli oni nad grobem, a profesor już niejako obu nogami w dole. Polubiłem ich, jak się lubi dzieci. Ten sam urok oddalenia od prawdziwego życia i jego trudnych spraw, brak wszelkich dążeń wobec świata i spokojne, z dnia na dzień trwanie. Tam gdzieś poza nimi długie lata, niby własne, a jakby wspomnienia czyjejś opowieści, a jutro — pojutrze, coś nieskończenie nowego. — Dla dziecka to poznanie cudnej baśni oczekującego życia, dla starego — śmierć. Zjawisko olbrzymie, niepojęte i nieoczekiwanie bliskie. Tak straszliwie bliskie, że zatraca już swoją nadprzyrodzoną grozę, staje się baśnią, którą każdy człowiek poznać musi.

Siostra Honorata, młodsza o lat kilkanaście, trzymała się bardzo pięknie, a drogi profesor zanikał zwolna, zamierał, usypiał — zaprawdę

uroczo, bez starczego rozkładu, bez okropności i przekleństwa jakiejś przewlekłej choroby.

— Cóż to jest? — pytałem naszego doktora.

— Nic mu nie jest. Trzyma się dobrze, a umiera, bo każdy musi kiedyś...

Coraz więcej potrzebował snu, coraz ciszej opowiadał, coraz łagodniej się uśmiechał. Nad pamiętnikiem pracował systematycznie, a w dniach, kiedy nie czuł w sobie dość sił, żeby zasiąść do biurka, dyktował siostrze ze swego posłania, usypiając przytem nieraz na całą godzinę. Jednak anielska siostra Honorata nie wstawała od biurka, czekała cierpliwie na dalsze dyktando. Tym trybem praca zbliżała się powoli do kampanji włoskiej.

Jako zaufanemu przyjacielowi, a przytem wydawcy pamiętników, panna Honorata użyczała mi cichaczem arkuszy, które uważała za najpiękniejsze. Czytałem je chciwie, a odnosiłem niezwłocznie i w sekrecie. Najwznioślejsze były ustępy o Mickiewiczu, najbardziej żywe o dniach lipcowych, a najpiękniejsze były dla mnie te, w których zawarło się wspomnienie jedynej młodzieńczej miłości autora.

Nie do wiary było, że pisał te kartki człek wiekowy i już umierający. Ten sam znajomy, czcigodny w swoim pedantyzmie staruszeczek, profesor Foltański, autor bohaterskiego poematu-epopei o królach polskich, długiej na dwadzieścia pięć tysięcy wierszy, których ciężką

nudę przozdabiało jedynie to, że były często gęsto przezabawne.

Była to miłość niewypełniona i nawet niewyznana. Młodego guwernera dzieliła od uwielbianej zbyt wielka przepaść. Nie była to bowiem hrabianka, ani księżniczka, jeno poprostu młoda, przepiękna i wspaniała ongiś na cały świat Eugenja, cesarzowa Francji.

Przedziwnie piękna była młodzieńcza szczerość tego uwielbienia. Mniejsza o to, że było ono wzniosłe i podniosłe do śmieszności, do absurdu. Nieinaczej wyraziłby je siedemnastoletni chłopiec w swoim uczniowskim pamiętniku. Zapomniał profesor, że jego praca, przeznaczona dla potomności, nosi charakter historyczny, i przerwał spokojną, rzeczową opowieść o starych sprawach i ludziach wybuchem kipiącego, romantycznego liryzmu. Były to początkowo nieco zbyt poetyckie tyrady na cześć cesarzowej, podniosłe obrazy jej urody, potem następowały cztery „ciosy szczęścia“ — czyli dzieje jego „spotkań“ z Eugenją. Miały one miejsce w Lasku Bulońskim, w Operze, na przeglądzie wojskowym w Vincennes i jeszcze gdzieś, przy jakiejś uroczystości.

Błogosławił swój nędzny los zato, że czyni niemożliwem z jego strony poznanie osobiste cesarzowej. Jest szczęśliwy, że nie ma dostępu ani przystępu do dworu. Nie mógłby mówić z ukochaną, nie zniósłby nawet jej spojrzenia,

bo zabiłoby go samo szczęście, a zarazem byłoby w tem z jego strony potworne świętokradztwo. Bo gdy po rewji w Vincennes jej powóz, otoczony przez gwardzistów o złocistych pancerzach, przemknął zbyt blisko obok niego, zagubionego wśród tłumu i grzmotu okrzyków, z nadmiaru szczęścia doznał porażenia słonecznego.

W swojem uwielbieniu sięgał szczytu ludzkiego ukorzenia. Truchlał, gdy przechodził obok Tuillerjów, i niezawsze ośmielał się podnieść oczy ku oknom „pawilonu Flory", gdzie znajdowały się apartamenty cesarzowej.

„Umierał z rozkoszy" na samą myśl bezbożną, której chwilami nie mógł jednak odpędzić, na samą myśl, że cesarzowa jest jednak kobietą. Wówczas opasywały go płomienne ramiona hiszpanki, boskie „panujące" oczy przezierały mu duszę nawskroś, a usta „nakazywały" pić ze siebie rozkosz — do utraty jej zmysłów. Podobne świętokradztwo stawało się samo przez się, mimo całej zgrozy i odpychania piekielnej pokusy. Najgorzej jednak — czyli najlepiej — bywało dopiero w snach.

„Tam zdawał się wypełniać sam cud moich tajemnych przeznaczeń, tam ona przychodziła do mnie nędznego, rozkochana i stęskniona.

Wykradała się ze wspaniałego pałacu i przybywała porwana ogromem niemego uwielbienia Zrzucała koronę i płaszcz majestatu i, okryta tylko płaszczem swych włosów, nagradzała po

królewsku najnędzniejszego niewolnika. Sądząc ludzkim rozumem... to były sny, ale gdy wszystko, co jej tyczyło, było we mnie ponadludzkie, wolno mi było wierzyć, wolno i teraz, o Boże, po tylu latach — że pod pozorem sennego znaczenia za sprawą tajemnych, niezbadanych wyroków losu, spełniało się nade mną w żywej prawdzie niebiaństwo jej pocałunków. Niechaj mi bogowie wybaczą to niewysłowione szczęście!".

Na ścianie, nad łóżkiem profesora, wisiał w owalnej złoconej ramie sztych, przedstawiający cesarzową w pełnym rozkwicie urody. Pewnego dnia, gdy leżał szczególniej osłabiony i opowiadał mi coś przygasającym głosem, przechodzącym chwilami w szept, zdrzemnął się w ciągu paru minut, a ocknąwszy się, zaszeptał nieoczekiwanie, wskazując mi oczami na portret:

— Ona i teraz jest przepiękna... jeszcze bardziej królewska bez korony, męczennica dziejów, tragiczna i nieśmiertelna...

I przysnął znowu, a rozbudziwszy się na dobre, po paru chwilach ciągnął dalej swoje poprzednie o czemś opowiadanie.

Około Bożego Narodzenia nasz geometra Krebs powrócił z objazdu okolicy i przywiózł niesłychaną nowinę, iż najmłodsza Chłusowiczówna, panna Natalja, najniespodziewaniej powróciła do Rastawic, do dworu swoich przodków. A zarazem przybył i zamieszkał wraz z nią w jednych apartamentach nabywca dóbr chłusowi-

czowskich, tęgi cham, miljonowy dorobkiewicz łódzki i znany szwindlarz, pan Bachmanek, który, pomijając już resztę, miał w Warszawie żonę i dorastające dzieci.

Krebs opowiadał tę nowinę ze wszelkiemi szczegółami. Opowiadał ją w knajpie „nad jeziorem" i w traktjerni u Szupa, a potem u mnie, u profesora. Nie mogło być żadnej wątpliwości, gdyż geometra, wezwany w sprawie własnych robót mierniczych, był w rastawickim dworze, a nawet zaproszony był na obiad do pańskiego stołu i tam mógł wszystko sprawdzić własnemi oczami. Bachmanek do obrzydliwości rozkochany, tak rozkochany, że o roboty niwelacyjne zupełnie się nie targował, że Krebsowi dał nawet gruby zadatek, z którym geometra zaraz nazajutrz gnał do Warszawy na hulatykę i rozpustę.

— Jak to tam wygląda? A zupełnie sobie zwyczajnie.

Panna („panna"!) drwi z Bachmanka w żywe oczy ale całować się daje (przy mnie! Bez odrobiny wstydu!...) A śliczna jest, a wielkopańska, a oczy jej się palą jakąś djabelską gorączką! Niby strasznie wesoła. Przez cały obiad śmiała się, jak opętana, a piła tęgo. (Na jakie wina wypuczył się ten skąpiec i szachraj!) Wszędzie kwiaty, dywany, obrazy... Wygląda nato, jakby zgłupiał doszczętu z miłości. Oj — da jemu szkołę ta piekielna pannica! Zaraz po No-

wym Roku do Włoch. Słyszane rzeczy? Widział kto kiedy w Neapolu albo na Capri Bachmankę, mularskiego syna, takiego ober-chama, takiego zwyczajnego, łódzkiego draba?

Wszyscyśmy głęboko i wszechstronnie rozważali tę niesłychaną sensację, ale dopiero w domu rodzeństwa Foltańskich sprawiła ona prawdziwe trzęsienie ziemi. Profesor odrazu wpadł w gorączkę i gadał od rzeczy, pani Honorata, popłakawszy ze trzy dni, chodziła nieprzytomna, z rozpaczliwem pytaniem w osłupiałych oczach.

Ja, który tę straszną jawnogrzesznicę widziałem kilkakrotnie tylko w przejściu przez nasze miasteczko, powożącą z breka w parę anglizowanych kasztanów, zachowałem przelotne wspomnienie przecudnego podlotka o palących oczach. A moi starzy ją kochali, nosili ją na ręku, patrzeli na nią jak rosła i rozwijała się wspaniale. Dziwne w niej było przywiązanie do starego profesora. Zima czy lato codzień przybiegała do nich, do oficynki za stawami, gdzie od wielu lat wypoczywali sobie na zasłużonej emeryturze, na wszystkiem gotowem, z łaski swego szlachetnego wychowanka i ucznia, godnego wielkich przodków Chłusowiczów, władców ogromnych wołyńskich przestrzeni, odwiecznych panów na Oborach i Olaniewiczach.

Kiedy w rastawickim dworze zaczęło się już na dobre psuć i rwać, i gdy zbrakło na godne

kształcenie najmłodszej Natalinki, przybiegała dziewczyneczka do oficyny na muzykę i konwersację francuską, zaco Pani Honorata miała sobie wyznaczoną osobną przystojną pensję, której nie oglądała ani razu.

Dziecko było bardzo zdolne, dobre i szlachetne, ale porywcze, samowolne, nieobliczalne. Podrastając i dojrzewając, przeobrażało się w istotę dziwną, niezrozumiałą dla domu i otoczenia. Zesmutniała, osowiała, przymilkła. W oficynie, gdzie nadal bywała codziennym gościem, już nie rozlegał się jej młodzieńczy, srebrzysty śmiech.

Widziała ruinę domu. Ojciec trapił się, chwytał się rozpaczliwie byle czego, pożyczał gdzie mógł, wreszcie na całe tygodnie uciekał z domu. Matka chorowała ze zmartwienia. Dużo starsze zamężne siostry, jedna za adwokatem w Warszawie, druga za inżynierem na Uralu, pogrążone we własnem niezadowoleniu, że musiały wyjść ze sfery wielkopańskiej, zapomniały o zubożałym i ponurym domu ojcowskim, który lada dzień miał się ostatecznie zapaść pod ziemię. Znajomi i sąsiedzi omijali odwieczną lipową aleję, wiodącą z pobliskiego traktu do dworu rastawickiego, oddawna zabrakło świetnych gości, którzy jeszcze przed paru laty zjeżdżali zdaleka na huczne, staropolskie bale i imieniny.

Natalka chodziła po opustoszałym, posępnym pałacu, jak po nieswoim domu, chodziła po zapuszczonym niezmiernym parku, płakała z obu-

rzenia i ze smutku na myśl, że trzeba będzie niebawem nazawsze opuścić ukochane, rodzinne Rastawice. Z tem nie mogła się pogodzić. Wyzucie jej z domu, wydziedziczenie z ziemi uważała za katastrofę, której nie będzie się godziło przeżyć, gdy nareszcie przyjdzie ta straszna chwila.

A od dnia, w którym stangret pana Pustowskiego, znanego w okolicy sportsmena, przyjechał i zabrał, jak swoją, najukochańszą wspaniałą Heterę, bezcenną i wierną, czystej krwi klacz wierzchową, Natalka uznała, że dawne życie runęło bezpowrotnie. Brutalnie wymuszone rozstanie z Heterą sprawiło, że zaczęła odrazu nienawidzieć ludzi i świata. Dotąd była smutna, cierpiała, w oczach jej często można było widzieć łzy. Teraz zaczęła nienawidzieć, odgrażała się jakąś zemstą, popisywała się szyderstwem z wielu spraw szanownych a nawet świętych.

Napróżno oboje starzy usiłowali ją pohamować, ustatkować, pocieszyć. Profesor z przejęciem i ze łzami deklamował przed nią przepiękne tyrady na temat niezliczonych wzniosłych prawd, czerpiąc cytaty z mędrców i poetów. Panna Honorata poprostu tuliła ją do siebie jak matka, najserdeczniej, i płakała nad nią szczeremi łzami. Natalka przygarniała się do niej mocno, ale nie zapłakała nigdy.

— Moje ty biedne dziecko... Cóżbym ja nie dała, żeby ciebie rozweselić! Zrozum, najdroż-

sza, że dopiero zaczynasz życie. Wszystko się jeszcze odmieni na dobre, na najlepsze. Zobaczysz! Zobaczysz! Trzeba przetrwać złe czasy. Potem wszystko się wyjaśni. Zobaczysz! Urodzaje są w tym roku wspaniałe — jeden plon uratuje wszystko. Wiem to od samego pana plenipotenta. Zobaczysz!

— Nic już nie uratuje Rastawic, droga pani. A ja nie potrafię żyć bez tej ziemi.

— Ach, moje dziecko! Wszak w każdym razie wyjdziesz zamąż. Nawet w najlepszych czasach opuściłabyś nas, żeby pójść za mężem, może stąd bardzo daleko.

— Ach, chére Madame, mówisz do mnie jak do dziecka, przecież dobrze rozumiem, że to byłoby co innego. My bankruci! Wyzuci z ziemi pradziadowskiej! A tu będzie się rządził obcy, może nawet jaki bogaty żyd — on będzie chodził po naszych pokojach, po naszym parku... Albo pójdą Rastawice na kawałki w chłopskie ręce. Jeszcze gorzej! Wytną chłopi moje dęby najukochańsze, rozbiorą pałac — śladu po nas nie zostanie.

A zamąż nie chcę. Kto weźmie mnie, córkę bankruta. Chyba niedołężny „dziadzio Todo", trup obrzydliwy, który na mnie zawsze tak łypie swemi raczemi oczami i szepce mi do ucha różne głupstwa. Wcale nie pójdę zamąż. Wiem, co zrobię!

— Nataleczko, sama nie wiesz, co mówisz. Co w twoich latach można wiedzieć o życiu?

Dzisiaj wydaje ci się tak, a jutro wszystko się odmieni. Ja wierzę w twoje szczęście, drogie dziecko.

Podobne dialogi, prowadzone w języku francuskim, nie sprawiły w pannie dobrej odmiany. Gdy w toku rozmowy Nataleczka rozpalała się i snuła zawzięte, warjackie swoje pomysły, kiedy pozwalała sobie odzywać się w sposób lekki o ojcu i drwiła z prawd i cnót, zalecanych przez Kościół, przez zdrowy instynkt ludzki i przez wielu filozofów, profesor wydobywał z bibljoteki pięknie oprawny tom Montaigne'a, Pascala, La Brugéres'a lub La Martine'a i, otwierając go w jakiemś najstosowniejszem miejscu, podawał rozgoryczonej, roznamiętnionej dziewczynie.

— Laissons ça enfin... Nathalie, mon enfant, lisez ces quelques pâges. Lisons ensemble. Calmons nos coeurs... C'est beau. La bonne sagesse nous faira de la lumière... Ecoutez, Nathalie, c'est un vieil ami, qui vous le recommande...

I dziewczyna posłusznie godzinami czytała dźwięcznym, głębokim swoim głosem wzniosłe rzeczy, spisane przez mędrców. Starzy słuchali w skupieniu, panna Honorata od czasu do czasu poprawiała wymowę lub akcent. Chwilami Natalka przerywała czytanie i rzucała okiem w dal poza stawy, ku pałacowi, który bielał kolumnami portyku, rysując się po magnacku wśród zieleni odwiecznych wiązów. Popatrzyła i, westchnąwszy, powracała do nudnej książki.

W ciągu tygodni toczyliśmy narady, co począć. Przezwyciężając wszelkie swoje wstręty i przesądy, i swój głęboki staroświecki panieński wstyd, siostra Honorata wybierała się wciąż do Rastawic. Przemówi do serca uwiedzionej dziewczynie, obudzi w niej wstyd i skruchę, naprowadzi na drogę odkupienia i poprawy. A co dalej? Co począć ze zhańbioną panną, której rodzic nie puści na próg, której nikt nie poda ręki, chyba drugi taki wstrętny rozpustnik?

Gdyby znalazł się ktoś możny i cnotliwy, gdyby zdobyć można było odpowiedni fundusz i wysłać Natalkę daleko w świat, zagranicę, żeby ślad po niej zaginął. Tam, w zaciszu klasztoru, pod opieką świętych sióstr w Beauvais czy w Perpignan, poznałaby swój błąd, doznałaby łaski przebaczenia, pogodziłaby się z Bogiem. Niewinne dziecię w grzechu poczęte (według panny Honoraty nie mogło się obejść bez dziecka) — znalazłoby opiekę u świątobliwych sióstr, a Natalka mogłaby jeszcze zacząć nowe życie, gdzieś na szerokim świecie. Pracowałaby uczciwie. Znalazłaby bez trudu męża — taka młoda i piękna...

Poczciwa, niewinna istota nie miała pojęcia ani o istotnych przyczynach dramatu, ani o sposobie jego rozwiązania. Pragnęła ratować upadłą, jak umiała. Wszakże ciężki stan zdrowia brata długo nie pozwalał na podróż do Rastawic. Napisała tedy piękny, długi list, który przez

umyślnego żydka poszedł do rąk grzesznicy. Ten sam żydek przyniósł odpowiedź.

— Merci! Merci! Merci! — dziękowała Natalka. Z każdego słowa jej odpowiedzi biło głębokie wzruszenie. Ale przybyć nie mogła. Jeszcze nie mogła. Jako istota zhańbiona, wyzuta z wszelkich praw. Za wezwanie do przyjazdu do Świeciechowa dziękowała najczulszemi słowy w wielkiej pokorze. Obiecywała, że przyjedzie napewno, że będzie śpieszyła, ale obecnie jeszcze nie może.

Powracał dawny tryb życia w domku na Podklasztorzu. Tylko pani siostra odprawiała specjalną nowennę na intencję nawrócenia grzesznicy, a profesor rozprawiał z namaszczeniem o zagubie i rozkładzie naszych starych rodów. Iluż ruin był świadkiem! Wyliczał długie litanje, spiętrzone i powikłane, świetnych imion i koligacyj, zapuszczał się w heraldykę, w głębinę dziejów. Przytaczał wypadki nadzwyczajne, dramaty, tajemne dzieje wielkich domów, nawet ponure zbrodnie. Do ostatka czciciel arystokracji, wyznawca osobliwej swojskiej socjologji, biadał ze zgrozą nad dalszemi losami Polski, w której sklepieniu niszczał i kruszył się główny zwornik.

Ale przez całe długie swe życie, spędzone po wielkich domach, nie zapamiętał tak straszliwego w swojej ohydzie upadku, jak ten, który z dopustu bożego dotknął ród Chłusowiczowski.

— Jest w tem poprostu obłęd szlachetnej duszy. Boć zdarzało się, o zdarzało, że mężatka uciekała z kimś zagranicę, ale z wielkiej miłości. Zdarzało się i wysoko urodzonym pannom przez cudzego męża być uwiedzionemi do Włoch, czy dalej. Miłość dużo odkupia. Ale tutaj! W głowie się mąci... To już nie w pewnym względzie piękna ucieczka od świata nad jezioro Como.

W tych eskapadach romansowych była dobrowolna banicja poza opinję swojej sfery i kraju, zatarcie śladów za sobą... Były przynajmniej pozory szacunku dla cnoty i prawa. Ale tutaj! Bezczelny powrót do dawnego domu ojców, jako nałożnica wydziercy. Możność przebywania pod tym samym dachem, gdzie żyła jako czyste dziecko wielkiej, możnej rodziny... Co za bezecny obłęd! Co za wyzwanie świata! Et enfin avec quelle canaille inimaginable, que Bachmanek...

Opóźniała się wiosna tego roku. W połowie kwietnia po paru względnie ciepłych dniach przeleciała przez świat zawieja śnieżna i zmroziła wszystko, co wychylało już się z pod ziemi na światło dzienne. Dusza, przez cudowną, długą polską zimę wyczekana za słońcem i już wciągnięta w sprawy wiosny, cofnęła się, zawiedziona, znowu do dawnej swojej skorupy zimowej. Każdego roku najgorszy to dla mnie okres. Zachciewa się czegoś i, co gorsze, spodziewa się

człowiek nadzwyczajności. Patrzy w wiosenne niebo, jakby stamtąd miał spłynąć anioł boży z laską dobrej odmiany. Patrzy w ziemię, raduje się ostrym kiełkom trawy, badylkom wyłażącym skwapliwie ku słońcu. Spodziewa się, że tym razem wyjdzie nareszcie z głębin ziemi i rozweseli duszę tajemnicą woni i świetnością barw ów kwiat radości, zdawna przeznaczony, zdawna napróżno czekany. Jego nasienie, rzucone przez los i zagrzebane głęboko, dźwiga się, zmaga się z oporną ziemią, walczy. Mija wiosna za wiosną, ileż ich przeszło? Może tym razem...

Rozsądek zaprzecza nadziejom. I cóż mnie może spotkać? Wiem, że nic. Ale nie żyje się rozsądkiem. Misterjum odrodzenia natury porywa i człowieka, odzywają się w duszy mętne echa żywiołowych chceń i nurtują, niepokoją, jak gdyby jakaś siła pchała ją ku rzeczom nowym, namiętnie upragnionym, tajemnym, uroczym. Czują je z każdą wiosną i ziarna rzucone w ziemię, i korzenie drzew, a człowiek próżno dla nich szukał imienia.

Co rano, gdy mocniej uderzy życiodawcze słonko, budzi się we mnie popędliwa ciekawość — coś się oto stanie, i wszystko naraz odmieni, przyjdzie wieść szczęśliwa...

W takiem rozmarzeniu kwietniowego przedpołudnia, gdym napróżno usiłował pracować, nagle zamąciło się niebo, przygasł blask sło-

neczny, zawył wicher i ostry biały grad, tak zwana kasza, zadźwięczał po szybach. Uczyniło się odrazu ciemno i ponuro. Jeszcze raz powróciła zima.

Kiedy zima, to zima. Podpaliłem na kominie i, obróciwszy się tyłem do okien, za któremi śnieg przysypywał zwodnicze nadzieje, rozsiadłem się w fotelu, patrząc na miły ogień.

Wśród zawiei i wycia wichru zadudniało pod moim gankiem, zatętniły kopyta... Zerwałem się. Para pięknych pańskich koni, osadzonych w rozpędzie, przebiera nogami, gryząc wędzidła; z wysokiego amerykana zeskakuje dama zawoalowana, cała ośnieżona.

Wieczne dziecko, czekające we mnie na swoją bajkę, już wyciągało rączyny do zaczarowanej królewny. Zaskoczył mnie ten najazd, wzruszenie ogarnęło serce. Runęła na mnie lawina niemożliwych możliwości i obłąkanych przypuszczeń. Protestował niedołężnie zdrowy rozsądek... Ach, wszak nigdy nie zagasła we mnie nadzieja, że życie prawdziwe, bujne, piękne jeszcze wyrwie mnie z mojej nędznej samotności. Samo przyjdzie, musi przyjść, nie może wszystko pozostać aż do końca jak jest. Stanie się coś. Przyjdzie jakaś wieść — przybędzie ktoś niewiadomy. Spadnie mi na głowę traf, cud...

Biegłem do drzwi i, oczywiście, zanim dobiegłem, jużem wiedział, kto przybył. Ach Boże, wiedziałem to odrazu, jak tylko ujrzałem przez

okno konie, a cóż dopiero damę... Nie mógł to być nikt inny.

Zaledwie zdążyłem spostrzec i pożałować, że jestem ubrany nieco zbyt po domowemu — o najgłupsze nadzieje, o spojrzenie po drodze w lustro...

Oburącz porywczym ruchem podniosła srebrny woal. Blada, biała, z płonącemi czarnemi oczami, czarne włosy, rozrzucone na wichurze, otaczały twarz złowrogim nimbem. Spojrzała, aż mnie dreszcz przeszył — ach jakaż ona zła... Nic mi nie zrobisz, panno — kpię sobie z twego gniewu. Porwała mnie rozkosz i radość namiętnej ciekawości. Ach, to ty...

— To ja, Chłusowiczówna z Rastawic. Oczywiście, pan słyszał...

— Proszę panią uprzejmie — kłaniam się, otwierając przed nią drzwi do gabinetu.

— Natalja Chłusowiczówna... No, kochanka — nie — une femme entretenue. Bachmankowa utrzymanka, proszę wybaczyć to słowo, nauczył mię go dopiero nowy dziedzic dóbr rastawickich... Może mi i pan ręki nie podawać, obejdzie się — ja tu w interesie... proszę zatem wybaczyć.

Zgłupiałem na tę napaść, a bardziej jeszcze od ciosu jej piekielnej urody. Cudna jest. Straszne, złe oczy patrzą we mnie z dziwną mocą nienawiści i pogardy. Ale usta drgały raz po razu. Widziałem, że rozpłacze się natychmiast. Wytrzymała jednak.

Usiadła, raczej upadła na krzesło i spojrzała na mnie oczami wystraszonego dziecka. Stała się w jednej chwili bezradna, upokorzona. Targnęło mnie za serce to błyskawiczne przeobrażenie. Usiłowała się uśmiechnąć, próbowała coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, przepraszała mnie wzrokiem za tak nieprzyzwoity wstęp... Wreszcie przemówiła.

Siląc się na spokój, głosem zgaszonym, zrywającym się co parę słów, jakby we łzach, które napływały a nie mogły się wypłakać, opowiadała to, com zawczasu już odgadywał.

— Nasi wspólni przyjaciele, najukochańsi, zacni ludzie... W nędzy i poniewierce. Na schyłku dni... Przez całe życie pracy i przykrej zależności. Bezecnie okradzeni z oszczędności, uciułanych w ciągu lat... O papo Chłusowicz! Czuję się i ja winną. Ja jedna myślałam o nich. Trudno mi się przed panem spowiadać, ach panie Oczarski, co za przekleństwo ciąży nade mną! Wszakże jedna z pobudek mojej skandalicznej karjery... Ach jedna z wielu — nie podaję się za męczennicę!... Chciałam wynagrodzić krzywdę, ja tych ludzi kocham od małego dziecka, i nikogo — tylko ich dwoje na całym świecie, i może nazawsze będę kochała tylko ich, a potem ich pamięć...

Trzeba mieć kogoś na świecie... Niema takiego potwora, któryby kogoś nie kochał. Prawda?

Gdyby wiedziała, jak dokuczyła mi tem pytaniem.

— Przybyłam tam z sercem wezbranem... Ach, głupie słowo! Do nóg im się rzuciłam w takim nieprzebranym żalu... Pchało mnie do nich wszystko, co jest we mnie najlepszego... Łkałam, ręce im całowałam... szczerzej, niż przed Bogiem, spowiadałam się z mego obłąkania... Nie prosiłam o przebaczenie, nie chciałam od nich nic, nic, jeno może raczej największego niepodobieństwa właśnie... Ja chciałam spędzić z nimi jedną taką zwyczajną godzinę, jak bywało dawniej — przedtem. Pomówić sobie zwyczajnie, popatrzeć na siebie. Ach, poco to, poco?...

Uspokoiła się w jednej chwili.

— Przybyłam zatem do pana z prośbą o pomoc. Teraz dopiero jestem w możności... Słowem mam do zwrotu sumę ich należytości wraz z zaległemi od dziesięciu lat procentami... Co to za ludzie, panie Oczarski!... Wszak suma ta była na hipotece dóbr Rastawickich. Ziemia została ziemią i obecnie spłaca swoje obciążenie. Nieprawdaż? Co tu za znaczenie może mieć osoba właściciela? Dziś jeden, jutro drugi. Byli przez wieki p. Chłusowiczowie, będzie nadal ród Bachmanków. Nieprawdaż? Tu płacą Rastawice i nikt inny. Logika tego jest jasna, jak słońce... Czemuż to straszliwe oburzenie? Poco słowa okrutne, zniewaga od ludzi właśnie

najdroższych?... Za cenę hańby... Jak gdyby to nie były ich własne pieniądze... Niechże mi pan dopomoże! Niech im pan wybije z głowy ten szlachetny absurd.

Przecie oni mrą z nędzy... Przecież oni nic nie mają! Co ja mam robić?

Zacząłem rozważać sprawę spokojnie i rzeczowo, jak adwokat. Przybrałem ton urzędowy, jak gdyby nic tu nie było prócz zatargu o sumę siedemnastu tysięcy ośmiuset rubli.

Stał się błąd trudny do naprawienia. Należało poczynać sobie zupełnie inaczej. Jak można tak dalece nie znać ludzi? Bezgraniczny jest idealizm profesora, strasznie surowe są zasady panny Honoraty. Błąd formalny, raz dopuszczony, niezawsze pozwala się naprawić. Już obudzono ich wysubtelnione poczucie, już jątrzy świadomość swojej oczywistej krzywdy — i ona to, właśnie, na tle ich niedostatku, wzmaga jeszcze upór i zaciętość. To zachodzi raczej u pani siostry — profesora bowiem możnaby podejść, poprostu oszukać, ale bez udziału siostry nie da się to dokonać.

— Czy pan wie, że ona mnie już nienawidzi? Była tak dobra, płakałyśmy razem... A gdym podała jej paczkę z pieniędzmi, długo, przez kilka minut milczała, trąc czoło... Poczem całowała mnie porywczo, bez miary, jak gdyby mnie rozumiejąc... I nagle odepchnęła mnie brutalnie... Pobiegłam do drugiego pokoju, do

profesora... Ten przytulił mnie do siebie, ucałował, zalał mi twarz starczemi łzami, jąkał swoje kochane, wzniosłe słowa i dziękował, błogosławił, wreszcie powiedział, że nie gniewa się na mnie, bo to ja z serca... Ale idź już, moje dziecko — zakończył — i nie przychodź do nas więcej nigdy. To nie żadna obraza. Nie gniewaj się na mnie za moje słowo prawdy... Te twoje pieniądze uprzytomniły mi dopiero cały bezmiar twojej hańby — już nie mogę na ciebie patrzeć — serce się kraje... Już nie chcę, nigdy nie chcę... Idź sobie z Bogiem. Mniejsza o to — ale obawiam się, że drogi profesor rozchoruje się po tem uniesieniu... Już i tak śmierć z niego patrzy... Co ja mam robić, panie Owczarski?

Jej cudne oczy, płaczące teraz, targnęły mną mocniej, niż ich przed chwilą duma, nienawiść, pogarda. Patrzyłem na nią bezradny i sam o mało nie płakałem. Niepodobna mi było wrócić do urzędowego tonu. Nie chciało się obmyślać sposobów na upór dwojga starych, ani szukać szlachetnego środka, któryby ich wywiódł w pole. Nic mnie w danej chwili nie obchodziła cała ta sprawa.

Zgrozą zdjęła mnie dola cudnej panny. Była jak kwiat przecudny i wspaniały, wyhodowany w cieplarni, wyrwany teraz i ciśnięty w pył publicznego gościńca, na pohańbienie, na zdeptanie. Oto początek... Jeszcze bije od niej zapach i urok świeżej i czystej młodości. Co bę-

dzie jutro? A za rok? Jej droga stromym spadkiem leci gdzieś wdół — ej, jaśnie panienko...

Nie czułem dla niej ciepła litości, nie postało mi w głowie zawracać jej z drogi, prawić morałów, dopomóc... Zdjął mnie jeno żal nad tem, że jakieś bezcenne piękno utarzało się w błocie i że rychło zatonie doszczętu. Królewna w łachmanach, jaśnie panienka z pałacu w bachmankowych łapach... Moje wzruszenie było nieomal czysto artystyczne, jak wobec osoby z dramatu. W ciągu moich długich lat już nauczyłem się nie dopuszczać do siebie prawdziwego ludzkiego wzruszenia, które niepokoi, które kraje serce i domaga się żywej walki, żywego czynu. Byłem spokojny w sobie, ale ludzie wrażliwsi na piękno płaczą i w teatrze.

Skruszona w swojej dumie panna Natalja mówiła szybko i powiedziała daleko więcej, niżby chciała. Pragnęła mnie przekonać za wszelką cenę i zostawić w moich rękach owe tysiące, które jej snać straszliwie ciążyły. Wydobyła swoją paczkę z torebki podróżnej.

Możebym się i podjął zadania. Z profesorem niewielebym wskórał, ale czułem, że pani siostra, pominąwszy zasady, nauczyła się z biedy cenić całą potęgę pieniądza. Zresztą to jej własne. Znalazłbym jakąś formę, która przełamałaby jej opór, też w znacznym stopniu formalny. Przekonałbym ją stopniowo, nie śpiesząc się. Profesora oszukalibyśmy. Grunt, żeby

te pieniądze już nie wróciły do Bachmanka. Było to nawet moim wyraźnym choć nader subtelnym obowiązkiem. Prawie się już zgadzałem, gdy nieopatrzne słowa panny, całkiem nie panującej nad sobą, ostrzegły mnie i powstrzymały.

...— Doprawdy, nie przyszłam tu czynić spowiedzi, ale cóż mam zrobić, żeby pana przekonać, a jak nie, to choćby ubłagać... Lecz nie chcę pana wzruszać! Ale gdy pan będzie wiedział, za jaką cenę spłacam dług moich rodziców!

Odwróciła się ode mnie bokiem wraz z krzesełkiem i mówiła szybko, przez zaciśnięte wargi.

— Sprzedałam się, bo miałam nieprzepartą żądzę powrotu do domu. Mój dom to dwór rastawicki, park, dęby, konie... Niby tam jestem od paru miesięcy. Dzieciństwo! To dom — ale dom obłąkanych! Ja i Bachmanek... Ja mam do niego odrazę, jak do wieprza, on się mnie boi, jak ostatni niewolnik. Ale Bachmanek nawet w szaleństwie miłości ściska kabzę. Niewiele trzeba, żeby go utrzymać w pewnej odległości, dość mi spojrzeć ostro, a w chwilach wyjątkowego chamstwa dość krzyknąć, jak na parobka... Ale i w tem jest nieugięta wola łódzkiego robigrosza i skąpca, i genjalny spryt, który go nie opuszcza nawet w najgorętszem zapamiętaniu. Nie pozwalałam mu dotknąć się do siebie. Męczył się strasznie, jak tylko zdoła arcyzdrowe, tęgie zwierzę. Jest hojny, przyrzeka wszystko,

ale pod jednym warunkiem... Pozatem mam tylko tak zwane przez niego „wygody“.

— Opamiętawszy się nieco, zachciałam, żeby z tej całej farsy zostało coś dobrego, żeby w tem był bodaj cień sensu. Innemi słowy, żeby się opłaciło, nie dla mnie, to dla tych kochanych skrzywdzonych starych. Gdzież tam! Grożę wyjazdem—ryczy, ach ta rozpacz łódzkiego worka z rublami! Ryczy obrzydliwie, ale nie daje ani grosza. Gdy trwało to zbyt długo i zaczęło mi się nudzić, postanowiłam ruszyć w dalszy świat... Ustąpiłam... Wczoraj się to stało. Dostałam sumę wyliczoną co do grosza według rachunków naszego dawnego plenipotenta — był nawet mały zatarg o procenty.

Teraz jest w siódmem niebie i wybiera się ze mną do Włoch... Panie, do Włoch!... On, wymawiający „tretuar“, „fortepijanino“, „apartament“ zamiast departament, a zamiast zorjentować się — „zrejentować się“. Dopiero jutro, jak konie wrócą, „zrejentuje się“, że mnie więcej nie zobaczy. Jadę stąd prosto do Mielc, zgonię na śmierć konie (przecież to one jeszcze dawne, nasze) a zdążę na pociąg. Chcę zapomnieć o wszystkiem co dawne i zginąć w szerokim świecie. Ale pieniądze muszę tu, u pana, zostawić. Muszę! A pan musi je przyjąć. Jeżeli Bachmanek zacznie szarpać naszych staruszków, chcąc odzyskać pieniądze, wyrzuci go pan poprostu za drzwi...

— A więc on wie...

— Niestety, wie, gdyż przewidując wszelkie trudności z drażliwością profesora, byłam tak naiwna, że namawiałam go, żeby sumę spłacił, jako nowy dziedzic, przejmujący stare zobowiązania. Ale wówczas nie zgadzałam się jeszcze... Panie! Możnaby było całą sprawę załatwić rozumnie i bez trudności, ale... decyzja moja... była dla mnie samej niespodzianką... A teraz za żadną cenę już nie wrócę, nawet na jedną godzinę, żeby mieć czas skłonić go do przesłania tej sumy przez rejenta... Musiałabym z nim jechać do Rębła, żeby dopilnować sprawy. Zabrałoby to kilka dni, a ja nie mogę, nie mogę, już nie mogę...

— Więc niech pani porozumie się z ojcem i przez niego prześle pieniądze, jako wypadające z likwidacji spraw majątkowych, związanych ze sprzedażą dóbr rastawickich...

— Nie. Papo jest zbyt zbolały i zbyt na mnie oburzony. Otrzymałam od niego przekleństwo ojcowskie i to na piśmie — listem poleconym.

Papo ma mnie za potwora i z nadmiaru oburzenia nie spełniłby mojej prośby. Obawiam się, że sumę tę zatrzymałby jako z prawa należną mu za ruinę majątkową. Obawiam się — czyli jestem najpewniejsza, że stałoby się tak właśnie. Nie zobaczyliby grosza z tych pieniędzy biedni wierzyciele ani Bachmanek. Papo Chłu-

sowicz to miły, słaby człowiek. Eks-magnat, gdy się znajdzie na bruku tak całkiem bez pieniędzy, bez kredytu i bez niczego... Mniejsza o to. Widzi pan, że niema innego wyjścia.

— Jest. Niech pani w przejeździe przez Rębło zatrzyma się — poprostu dla popasu — bo konie nie dojdą jednym ciągiem. Tam rejent w godzinę wygotuje akt.

— Ach, panie... Z panem rejentem nic nie zrobię, bo on był zawsze z całem uwielbieniem dla dziedziców rastawickich, czyli obecnie dla Bachmanka...

— Są rejenci i w Warszawie, i wszędzie zresztą...

— Wszędzie Bachmanek obali akt. Wszędzie będzie szukał swoich pieniędzy, oskarży rejenta, że spisał umowę z niepełnoletnią, oskarży i mnie, że mu tę sumę ukradłam z pod poduszki, jako zwyczajna... Widzi pan sam!

— Widzę... Ale proszę mi wybaczyć, że się nie podejmę... Nie mogę... Tak się stało, że w każdym razie naraziłbym się na proces z Bachmankiem...

— Ależ pan się wyprze wszystkiego — zawołała z czarującą prośbą w uśmiechu.

— Byłaby to w każdym razie dla mnie dość niepotrzebna przykrość...

— A los starych nic pana nie obchodzi? Jakże tak można! — rzuciła mi ostrzej.

— Obchodził on mnie, zanim pani była łaskawa mi o tem przypomnieć, i będzie obchodził nadal, choć pani już odjedzie...

— Niech się pan gniewa, to mnie nie interesuje. Zbyt długo już panu czas zabieram. Oto pieniądze — proszę je przeliczyć. Siedemnaście tysięcy osiemset rubli.

Rozerwała paczkę i wiązki sturublówek posypały się jej na kolana. Zgarnęła je i położyła przede mną na stole, a na pieniądzach cudną swoją rękę — pochyliła się ku mnie i, patrząc mi w oczy, czarowała uśmiechem, który ją uczynił dziecięcą, pokorną, przecudną. Uśmiech drgał, mienił się na jej ustach i w oczach, jak stubarwny klejnot. Błagał i nakazywał, żebrał i groził, obiecywał, wciągał w siebie, łudził, odurzał.

W ciągu tej długiej chwili — był i czas, gdym zapomniał zeszczętem o całej sprawie, o niej i o sobie. Porywała mnie rozkosz niepodobieństwa. Spadł na mnie Sen. O czarodziejko! Leć w świat na wielką swoją wojnę święcić gody życia, dręczyć ludzi... pokotem legną u twoich stóp wszyscy, których zapragniesz. Życie i cześć ci oddadzą. Drogę ci uścielą złotem. Ty nie zginiesz. Czeka cię tysiące zdrad i niebezpieczeństw.

Snać dość jaskrawie odbiła się na mojej twarzy śmieszność uwielbienia, gdyż panna uczyniła się naraz pewna siebie i nieco zbyt zwysoka

uprzejma. Brak doświadczenia. Rychło się przekona, że zachwyt estetyczny jest jeno przemiłym momentem, ale nie zobowiązuje do niczego, że jest pusty, jałowy, nieludzko zimny. Jeszcze nie umiała odgadnąć człowieka, na którym jej zależało. Nauczy się rychło.

Podrażnił mnie jej ton podmiotowy, niemal oficjalny, z jakim mi dziękowała uprzejmie za usługę. Ubawiło mnie jej przeświadczenie o triumfie. Nic jej jeszcze nie przyobiecałem, ale była zbyt pewna, że uczynię wszystko, co mi rozkazała.

Będę się wypierał przed Bachmankiem, będę go wyrzucał za drzwi, stanę tłumaczyć się w sądzie okręgowym w Mielcach, będę słuchał obelg i insynuacyj bachmankowego adwokata, a chcąc być konsekwentnym i chcąc uratować siebie — złożę fałszywą przysięgę, wmieszam się do skandalu i może pójdę do kozy, za przyjemność jednej chwili — podziwiania jej cudnego uśmiechu...

Przemówiłem dobrotliwie i przystępnie, jak człowiek starszy do dziecka, ale bardzo, bardzo stanowczo. Zrozumiała. Rysy jej przeciągnęły się w ciężkiem zdumieniu, usta złożyły się w podkówkę, jak u dziecka gotowego do płaczu. Jeno na sekundę zdjął mnie szczery żal — i zgasł.

— Nie, pani. Nie i nie. Podałem pani dostateczne przyczyny... Niepodobieństwo! Sprawia to nieubłagany realizm życia, z którym radzę pani nadal liczyć się bardziej...

A nie mogąc znieść jej wystraszonego, bezradnego spojrzenia, odwróciłem oczy i patrzyłem sobie w okno na kurzawę śniegową.

— Dziękuję panu za radę...

Spojrzałem zdumiony, tak obcy wydał mi się jej głos, — jeszcze jedno przeobrażenie. Stała przede mną wyniosła i szydercza. Zdawało się, że urosła, że przybyło jej dziesięć lat.

— Pozwoli pan, w dobroci swojej, że zabawię tu jeszcze chwilkę. Ogrzeję się nieco przed ogniem, przemarzłam w drodze.

Zgarnęła pieniądze, usiadła w moim fotelu przed kominkiem i, spokojnie, nie spiesząc się, brała zkolei po parę sturublówek i ciskała w ogień. Zajmowały się ochoczo i płonęły zwyczajnie, jak papierki. Nie opowiadały, ginąc, swoich dziejów kolei. Zapalały się, świeciły żółtym promieniem i gasły. Sen — potęga rozwiewała się w nicość, zdradzając tajemnicę jednego z wielu ludzkich kłamstw. Cóż jest wszechmocną władzą pieniędzy?

To, co się odbywało przede mną, nie wydało mi się absurdem. Było to jedno rozwiązanie zatargu życia, tak dobre, jak każde inne. Niewyczerpana jest ilość odpowiedzi na głupie wymagania, które człowiek stawia biegowi swoich spraw. Poco pytać? Poco wogóle dążyć? Dzieciństwo...

Stanąłem sobie pod oknem i patrzyłem ciekawie w ogień. Wysoka poręcz staroświeckiego

głębokiego fotela zasłaniała mi zupełnie postać siedzącej. Nie było znać jej obecności w pokoju. Naraz, choć wiedziałem, że ona jest, chociaż widziałem wciąż żółte płomyki zapalające się i gasnące na kominku, wszystko z przed chwili, i to, co było teraz, wydało mi się złudzeniem.

Ostrożnie, na palcach, postąpiłem krok naprzód. Dojrzałem białą rękę, ciskającą w ogień papierki, i uspokoiłem się. Obliczyłem, ile jej też jeszcze zostało do końca? Zdumiewało mnie, że to całopalenie trwało tak strasznie długo i że jeszcze trwa. Na miły Bóg, ileż tych pieniędzy?

I gdy ich już niewiele snać zostało, porwała mnie zgroza. Czemuż jej pozwalałem nato?

Zdumiewał mnie własny spokój. Czyżby mnie zaczarował widok nieprzebranego bogactwa? Czy to odjęło mi mowę, wolę, rozsądek? Ach nie, kpiłem sobie szczerze z bachmankowej straty, z krzywdy dwojga staruszków i ze wszystkich pięknych strojów, fanaberyj i głupstw, które za tę cenę mogłaby mieć panna Natalja. Kpiłem i z tego, że tracę i ja, w wypadku, gdybym przywłaszczył sobie pieniądze, dawane mi w tajemnicy, bez świadków. Doprawdy, pomyślałem nawet o tem głupstwie.

Obliczałem sumę wszystkich strat; Bachmanek, starzy, panna Natalja i ja... Nieudolnie mnożyłem w myśli siedemnaście tysięcy osiemset przez cztery i myliłem się ciągle. Zgłębiłem

nonsens sumy czterokrotnej jako kapitału, gdy jednak w pieniądzach jest tylko tyle, ile się spaliło...

Ileż dobrego możnaby zrobić za tę sumę! Widziałem pełny pokój ludzi rozumnych, stojących wkoło nas z ramionami wzniesionemi ze zgrozy. Widziałem, jak najdostojniejsi z ciżby podkradali się do kominka, czołgali się na kolanach i wykradali bezwstydnie płonące papierki, parząc się, dmuchając, wyrabiając pokraczne miny.

Na ten widok roześmiałem się i to dość głośno.

Nato panna przestała ciskać w ogień papierki.

Czyżby już było wszystko?

A może ona, słysząc mój śmiech, błaga mnie o jedno słowo, o pomoc, o to, żeby ją nareszcie powstrzymać...

Zdjął mnie jakby żal, zbliżało się jak gdyby opamiętanie. Ale gdy po chwili biała ręka zaczęła znowu swoją robotę, uspokoiłem się odrazu.

To, co uczyniła panna Natalja, wydało mi się mądre i właśnie konieczne. Nie mogło być inaczej!

Wszak zanim wkroczy nadobre na swoją nową drogę, musi w sobie zniszczyć wszystko, co tam jeszcze pozostało z dawnego: może przywiązanie do kogokolwiek, resztę ludzkiego sentymentu, ostatni ślad dobroci.

Trzeba, żeby się za nią nic nie wlokło, żadna pamięć, żeby nic nie ciążyło.

Już napewno nie myśli o rastawickich dębach, ani o swoich staruszkach.

Musi okazać swoją pogardę dla pieniądza, który będą jej rzucać pod nogi, wciskać przemocą w te białe dłonie, błagać, żeby zechciała brać i brać... W tej chwili staje się mądrą, złą, drapieżną rozkosznicą, z poczwarki wyłania się świetny motyl albo się rodzi hetera świata, nowa kapłanka starego grzechu. Niechże służy djabłu! Niech żyje!

Odskoczyłem o kilka kroków wstecz, tak nagle, porywczo wstała. Spojrzałem na nią z ciekawością, z odrobiną strachu, czekając na jakiś pożegnalny wybuch, na zniewagę, na coś nadzwyczajnego, otrzymałem jeno ostre i głębokie, przelotne spojrzenie, jak gdyby znak porozumienia z tem, com o niej myślał, com o niej wiedział. Zresztą żadnej urazy, ani śladu nienawiści. Poszła, trzasnąwszy drzwiami, i ani mi kiwnęła głową.

Trzasnęły drugie drzwi wejściowe, a ja nie mogłem się zdobyć nawet na grzeczność, żeby wyjść za nią na ganek.

Zadudniły kopyta. Ostro z miejsca ruszyła końmi i znikła.

Rozglądałem się po moim gabinecie, gdzie wydawało mi się wszystko odmienione przez wtargnięcie niespodziewanego gościa ze świata.

Bujne, szerokie życie zajrzało do przybytku starego, martwego spokoju. Przeleciało i poleciało dalej, wszakże został po nim jakiś ślad, nieuchwytny zapach.

Demoniczna lady Arabella uśmiechnęła się z rozkoszą, wchłonąwszy oddech życia po długich, śmiertelnych nudach z samotnikiem. Mój Don Kichot był już zakochany w cudnej pannie a jeszcze bardziej strapiony, i biada Bachmankowi, gdy tu przyleci w pogoni za swojemi pieniędzmi i kiedy go będę — obecnie już z czystem sumieniem — wyrzucał za drzwi, rycerz z La Manchy wyskoczy mi na pomoc z czarnych ram...

Innym głosem uderzył zegar godzinę pierwszą po południu, jak gdyby nakazując mi zapamiętać ją na całe życie. Chińczyk kiwał głową w głębokiej zadumie nad tem, co się stało. Wyrażał smutek i współczucie, a w istocie drwił, jak zawsze.

Ale jedynym materjalnym śladem po niej była sturublówka, ocalała z hekatomby. Leżała tuż pod kominkiem, snać ciśnięta niezręcznie uniknęła ognia.

Ma ona już swoje dzieje. Rozporządziłem się nią, jak mi się spodobało. Przeznaczeniem jej było dać początek wielkiej karjerze skromnego świeciechowskiego nędzarza. Czy to na dobre? Na złe? Jeszcze niewiadomo, ale zgóry mi wszystko jedno. Wierzę tylko i wiem, że taki papierek nie ocalał przypadkiem. Poza siłą

życiową mechaniczną, obliczoną na rubli srebrem sto, poza siłą ludzkiego konwenansu posiadł on osobliwą i nierównie potężniejszą moc demoniczną. Wolno mi to tak przezwać. Posiadł ją z ręki tak dziwnej osoby jak panna Natalja. Otrzymała go za cenę swego cudnego panieństwa, za cenę pierwszego oddania. Przeznaczyła go na czyn szlachetny, a nie umiejąc tego dokonać, cisnęła na marne. Może dla efektu, może ze wstydu, może z rozmysłem...

A może właśnie dla tego jednego — żeby ocalał jeden papierek i wywołał w cudzem życiu wielką przemianę. Żeby porwał jakieś losy ludzkie z nędznej, nieruchomej nicości i poniósł je w daleki świat...

Ciekawy jestem, co z tego będzie dalej.

SINE PLAMY

Od paru godzin siedziałem zagłębiony w Paskalu i, jak to nieraz, robiłem właśnie co innego. Przewracałem stronicę za stronicą, wpatrzony we francuskie litery, i czytałem naprawdę. Ale tym razem ani słowa z tego sławnego autora. Raczej z innego.

Twórca to podstępny i uwodziciel. Napoczekaniu może ci postawić pod oczy grube dzieło, książkę niebywale zajmującą. Ni stąd ni zowąd zaczyna się opowieść, dramat, studjum. Najczęściej zaś ni to ni owo, gdzie pomieszane są wszelkie rodzaje literackie, z dodatkiem najważniejszych, takich właśnie, których zupełnie niema i nie może być. Narzuca się to przemocą i mknie, szybuje, zachwyca, roznamiętnia, opętuje. Niesposób się oderwać.

Trwa to dłużej, lub krócej, przez cały wieczór, czasami całą noc, ale najczęściej urywa się gdzieś niewiadomo kiedy, nieoczekiwanie.

Niby przelata to i mija, a jednak z nieprzebranej masy tych marzeń oraz (należy tu wyznać) absurdów pozostaje w pamięci bardzo sporo osadu, który się skupia, nawarstwia się

i tworzy we mnie przeogromną bibljotekę wszechrozmaitości. Strzępy to są, ale znaczą one bardzo wiele w mojem życiu. Kto wie, czy nie one to właśnie są istotą mego przebywania na kuli ziemskiej (w Świeciechowie!).

Byle dalej od prawdy! W zamęt, w chaos, między ukochanych nieistniejących ludzi, w niemożliwe powikłania! W ból i rozkosz, co to ani bolą, ani radują, a dają smak istnieniu, poczucie innego, ach właśnie że innego życia...

Zwyczajna to rzecz, że cichą nocą potrzaskują sobie tafle posadzki. Każdy wie, że czynią to samo i w biały dzień, a i zawsze, kiedy im to wypadnie. A jednak, gdy takie właśnie ciche skrzypnięcie wyrwało mnie z zasłuchania się w moją bajkę, ścierpłem. Lodowate zimno zalało mi czaszkę, i uczułem każdy włos na głowie. Natychmiast spostrzegłem czyjąś nadprzyrodzoną obecność w saloniku.

Salon mój zawsze bezludny, pozastawiany jakiemiś mebliskami w pokrowcach, pokoisko najzupełniej niepotrzebne, gdyż nigdy, ani razu do roku, nawet w moje imieniny nie miewano gości — oddawna był u mnie w podejrzeniu.

Jego sztywność, chłód, pustka i pozorna zbędność znamionowały hipokryzję wnętrza, które snać miało wiele do ukrywania. Zamaskowane miejsce schadzek i przebywań mistycznych obieżyświatów z au de là, figur fikcyjnych, wyklę-

tych i zatraconych, a może nawet upiorów, które wśród szastania się po cmentarzach, pustkowiach i po rozstajnych drogach mogą przecie na chwilę spocząć wśród wichrów swoich dziwnych przeznaczeń na familijnej kanapie staroświeckiego salonu, opuszczonego przez żywych. Nawet dziwneby to było, gdyby było inaczej. Mają tu ciepło, miękko i pod dachem. Nawet kogutów nie trzymam dla ich spokoju i dla własnego. Mogą wysiadywać i po północku i do rana. Niech mi kto dowiedzie, że to niemożliwe?

Nie jestem zarozumialcem i nie twierdzę, że przychodzą one do mnie dla jakowychś domniemanych zalet mojej osoby, znęcone wyjątkową zaświatowością mego trybu życia. Poco? Naco? Przychodzą, i tyle, a bywają przecie i gdzie indziej.

Najczęściej nie zaczepiają mnie zupełnie. Posiedzą sobie, połażą po saloniku, czasem jakieś licho tam stęknie, czasem jęknie. Inne popłacze rzewnie, aż się dusza kraje, inne znów zaśmieje się szyderczo. Czasem szepcą coś tam do siebie godzinami. Dzieje się to zazwyczaj zimą w wielkie zawieje, a również późną jesienią lub najwcześniejszą wiosną, zwykle w najgorszą psią pogodę.

Zrzadka usiłują kusić mnie i wciągnąć do ciemnego salonu. Czynią to wyłącznie widma kobiecego rodu. Przyznam się, że raz i drugi udała im się ta kokieterja, z czego nie wynikło wszakże nic nieprzyzwoitego, prócz niedopusz-

czalnej kompromitacji, jak na takiego jak ja wytrawnego obcownika z duchami.

Zupełnie zaś wyjątkowo gość mój występuje zaczepnie i napastuje mnie, czyli przekracza próg mego gabinetu, ukazuje się w świetle i wciąga mnie w jakąś awanturę.

W ciągu lat dwudziestu zdarzyło się to dwukrotnie. A to, o czem właśnie zaczynam mówić, było po raz trzeci.

Zpoczątku długo skrzypiał po posadzce, błąkając się, przystając, przysiadając ciężko, gdyż brzękały głucho sprężyny starej kanapy. Ruszał coś na stole. Wreszcie ziewnął. Udaję, że tego nie zauważam, bo to mój wypróbowany środek na takich panów. Oczywiście nic a nic się nie boję po pierwszem, przelotnem naturalnie, wrażeniu.

Aliści, gdym już przypuszczał, że to tylko złudzenie...

Zgroza! Poprostu słyszę trzask zapałki! Tego jeszcze nie bywało! W ciągu sekundy pocieszam się, rozumiejąc, że przybysz zapala sobie papierosa ze stojącego tam na stole pudełka mosiężnego, wyobrażającego sarkofag Stefana Batorego na Wawelu.

Ale po chwili słyszę dzynkanie szkła od lampy o klosz. Potępiona wywłoka zapala sobie lampę. Stanie w świetle... Będzie go można widzieć... A zatem będzie żył... Zacznie gadać.

Może to śmieszne, ale w pierwszej chwili ponad zgrozą, strachem i ponad moim zimnym potem górowało wściekłe oburzenie na takie chamstwo. Bo jakże, rządzi się, jak u siebie w domu!

Zerwałem się z siedzenia i bez cienia strachu wpadłem do salonu.

Właściwie, postąpiłem inaczej, a do tego, że tak powiem, zupełnie odwrotnie. Wstałem i wyszedłem spokojnie, choć dość pośpiesznie, do sypialnego pokoju.

No — uciekłem!

W pierwszej chwili.

Ale nie zdążyłem jeszcze zebrać myśli i połapać się w tem wszystkiem, gdy w saloniku rozległ się śmiech rozgłośny, dosyć wstrętny, pełen napastliwego szyderstwa. A śmiech ów był mi skądś znajomy.

W mgnieniu oka opamiętałem się, chwytam za rewolwer, który zawsze leży na stoliczku przy łóżku, chowam go do kieszeni i — oto co widzę, stanąwszy w progu salonu.

Rozwalony na kanapie, siedzi człowiek ubrany czarno i sztywno. Bardzo niezwyczajnie piękny, ale ta jego uroda jest niesłychanie nieprzyjemna. Wygląda na moje lata. Jeszcze się śmieje, łyskając zębami z pod czarnego wąsa. Ale już pocichu. Patrzy badawczo a figlarnie, nie wstaje, nie wita się, czekając na coś. Tak wytrzymuje i czeka stary znajomy, dawno niewidziany,

czeka i zmusza, żeby go poznać i nazwać po imieniu.

Już wiem, że go dobrze znam. Kto to? Nic nie mogę sobie przypomnieć. Zaczynam coś gadać, siląc się na jak najsurowszą sztywność.

— Pan pozwoli...

— Co za pan?

— Abo co?

— Nie poznajesz mnie?

— Ależ poznaję, odrazu cię poznałem — mówię, udając ze zdumiewającą skwapliwością.

— Jakoś nie widzę, żebyś się cieszył.

— No, przyznasz sam, że to wszystko jakoś... Bo jakże? Jak? Skąd? Powiem ci otwarcie, ja tu nic nie rozumiem...

— Daj spokój! Jest też o czem mówić? Rozmaicie się ludzie spotykają.

— Zapewne. Ale skądżeś się tu wziął?

— No, jestem!

— Piechotą?

— Ha — ha! Zapewne, że nie koleją, ale nie wybierałem się tym razem do ciebie. Właściwie, jeżeli ci już o to idzie, to wiatr mnie tu przyniósł.

— Wiatr?...

— Słyszysz, jak wyje? Ja tam, o ile mi się uda kiedy wyleźć, to plączę się gdzieś w pobliżu mego ziemskiego przytwierdzenia. Muszę się wszak za każdym razem przyoblec w moją niegdyś ludzką postać. To nieznośna, ale nieod-

parta technika naszych objawień, bo zważ, kiedy się chce pogadać z żywymi... Ale tym razem poniósł mnie wiatr za daleko. Trudno bo duchowi walczyć z wiatrem. Zadmie i, zanim się człowieku obejrzysz — machnie cię o sto wiorst, o dwa tysiące wiorst. Ale wszędzie można znaleźć cichy kąt i porządnego człowieka. Ja bo na jedną chwilkę. Może przeszkadzam?

— No, nie, gdzież tam...

— Tem lepiej. Bo widzisz my tam, zapomniani na cmentarzu... Te, jak wy nazywacie, wszelkie tam widma, duchy, cienie, upiory...

— Dosyć! Dosyć!! Ani słowa więcej!...

— Czemu wrzeszczysz? Co za nerwy! Przecie nie przyszedłem tu po ciebie. Deklarację tę zechciej uważać za najzupełniej oficjalną. Uspokój się i pogadajmy.

Ostatnie te słowa uspokajają mnie przedziwnie. Rodzi się we mnie coś w rodzaju bezosobowego zainteresowania się całą sprawą. Oto podnosi się zasłona, zaczyna się widowisko niesłychanie ciekawe. Prawda, czy złudzenie? Co mi tam!

Sięgam do pudełka po papierosy, ale ręce mi drżą, nogi się pode mną uginają. Opadam w fotelu bezsilny i bezradny.

Ogarnia mnie coś w rodzaju harmonijnego szumu! Gra jakby orkiestra, złożona z tysiąca szmerów. Melodję prowadzi potężny, głuchy głos białodrzewia. Rozpięty nagiemi konarami jak

olbrzymia lina, gra na wichrze i wciąga mnie w upojenie. Zasłuchany, oszołomiony, pogrążam się w nicość.

Postrzegam wreszcie, że ów szmer jest to zmieszany gwar mowy ludzkiej. Mnóstwo głosów gwarzy gdzieś w oddali. Zrzadka uchwycę i rozumiem urywane zdania, jedno słowo. Przepierają się i swarzą o coś jacyś ludzie obcy. Aż oto głos znajomy...

Boże, co za bolesne szarpnięcie... Jakby ktoś wziął moje serce w potężne garście i zacisnął...

Ona, ona.

Wsłuchuję się z powstrzymanym oddechem. Znowu obcy. Znowu znajomi. A gdzieżeś ty? Mów jeszcze, przemów jedno słowo... Upojenie bólu i najsmętniejszej radości...

I dopiero teraz poznałem, kim był mój gość. To Mulikowski!

Gdym się ocknął, opowiadał w najlepsze. W pokoju dużo dymu, a w popielniczce kupa niedopałków. Minęło chyba parę godzin?

Gość zapalał właśnie papierosa. Łypnąłem ku niemu oczami z nienawiścią a z jeszcze większem rozciekawieniem.

— Przenigdy nie należało rozbudzać w niej romantyczności i tych tam osobliwych ciekawostek. Tyś twierdził uparcie, że Bóg ją stworzył na wielką artystkę, i myliłeś się zawzięcie i w tem, i w całej reszcie. Była to poprostu cudna, ko-

chana dziewczyna, przeznaczona na najlepszą, i co ważniejsza, na uroczą żonę. Ach, urok Luty... Nie wiem, który z nas kochał ją bardziej. Tyś ją rozmarzał i przemarzyłeś ją wreszcie. Ja zabiegałem rozumniej, ale szalałem niegorzej od ciebie. Tyś od niej miał marzące spojrzenie piwnych oczu i zrzadka „ręki uściśnięcie". Ja... mniejsza o to... Com miał... Ach! Życiem to przypłaciłem...

Widzę jego pogrzeb, wlokący się aż na przedmieście Paryża, na daleki cmentarz. Widzę znajomych i kolegów, całą „kolonję" polską. Żałują samobójcy, wyrzekają na niezdrowe stosunki, plotkują, a ponad ponurym konduktem panuje czar cudnej, tajemniczej dziewczyny, nieobecnej na pogrzebie, czarnej, groźnej panny Luty. I czuję jak ongiś, przed laty, nieprzebraną radość i ulgę wyzwolenia i poczwarną a najszczerszą wdzięczność dla przyjaciela i współzawodnika, który strzelił sobie w łeb, i tem utorował mi drogę do ukochanej. Niecierpliwie czekam końca pogrzebu, żeby natychmiast lecieć do niej. Nie wypadało jej, sprawczyni, być tu obecną, nie wypadało i mnie iść do niej, zanim... Ale, gdy go już zakopią...

I w pomieszaniu uczuć, w oszołomieniu tego dramatu zawodzi pamięć. Wszystko gdzieś się zapodziewa. Chaos, zgadywanie. Na Boga, cóż było dalej?

Gość umilkł, zadumał się.

— Cóżeś stanął? Opowiadaj, jak to było! Pocoś ty, człowieku, to uczynił?

— Zpewnością nie poto, żeby ci otworzyć drogę. Niema na świecie przyjaźni, dochodzącej do podobnego idjotyzmu. Zresztą, o tej porze niecierpieliśmy się nawzajem, pomimo nieskończonych naszych rozmów o Lucie i atmosfery wzniosłej, najzawilszej psychologji, operującej poza granicami zdrowego sensu. Z tej atmosfery czerpaliśmy natchnienie do dręczenia nieszczęsnej dziewczyny. Każdy to czynił po swojemu. Tyś z nią jeździł wieczornym statkiem do Suresnes, ja lubiłem ją prowadzać po cmentarzach, a wychodziło na jedno. No i udało nam się doprowadzić i ją, i samych siebie do awantury, z której wyszedłem obronną ręką. Tyle, żem sobie w łeb strzelił? Ty? Nie wiem, osądź sobie sam, jak tam uważasz, wedle swego sumienia. A ona ucierpiała najokropniej.

Znowu urwał.

Powstaję z miejsca i błagam go, żeby mówił dalej. Rozjątrzył się we mnie ból jej straszliwej krzywdy — niewiadomej mi jeszcze i niepojętej.

Zdumiewa mnie, że nic o tem nie wiem. Gdzież się podziała moja pamięć? Biorę się do niego na ostro.

Uśmiecha się zjadliwie.

— Chcesz wiedzieć wszystko? Całą prawdę? Głupi jesteś. Nikt z was nie zniesie całej pra-

wdy co do osób bliskich, nawet w wydarzeniach ich potocznego życia. Czyjaś wielka mądrość oszczędziła ludziom tej klęski. Nie widzą i nie wiedzą całej prawdy życia. Co tam — całej prawdy... Nic nie wiedzą! Żyjecie we mgle, w okruchach półrzeczywistości, w ciągłych domysłach, w zgadywaniu. Wiecznie uwikłani między tem, czegobyście chcieli, a tem, czego się boicie. Ani na chwilę nie dotkniecie istoty rzeczy. Stąd całe szczęście dla świata. Wyobraź sobie, że naprawdę wszystko wiesz, co się dzieje i, wszystko, co ludzie myślą. Tożbyś się wściekał? Nie żądaj tego i tym razem.

— Tak jest, słusznie. Nie chcę! Lepiej nie wiedzieć. Ale wyobraź sobie, że w tej chwili zapomniałem wszystkiego, com sam wiedział! Nie wiem nic, nawet z tego, co dobrze wiem, co sam robiłem... rozumiesz — zaraz po tym...

— Po moim pogrzebie?

— Rzecz niesłychana! Otóż w tem miejscu urwało mi się i ani rusz. Pomóż mi. Opowiadaj, błagam Cię!

Błagam go i proszę, poniżam się, świadczę mu się najszczerszą przyjaźnią, schlebiam mu podle, choć go nienawidzę i choć wiem, że on widzi we mnie wszystko nawskroś. Wyprawiam nędzne komedje, mówię pięknie, głęboko, brnę w łgarstwa.

Nie patrzy na mnie, jest skupiony, słucha poważnie i drwi.

— Ach, zapomnieć, to najwyższe szczęście! Ale trudna to mądrość. Przyjacielu, mądrala z ciebie! Urządziłeś się wedle woli i gustu. Spokój niezamącony! Sumienie wybrane z łez, wysuszone i uprasowane, aż lśni czystością. Miło popatrzeć na twój godny spokoik. To on nadał twemu obliczu piętno dostojności, z którem tak ładnie twej podstarzałej urodzie. Nie ruszajże ludzi i spraw umarłych! Bo poruszyć łatwo, ale schować zpowrotem? Nie radziłbym ci zaczepiać upiorów... Ale cóż? Mogę ci przypomnieć to i owo.

Zląkłem się. Skuliła się we mnie dawna święta miłość i jej tragiczna poezja. Do djabła, niechże on już nic nie opowiada! Nie czuję nawet żadnego wstydu przed sobą samym. Zapomniałem zeszczętem, że ten zatracony Mulikowski zna każdą moją myśl. Zaczynam tedy z nim kręcić i zagadywać, jak z pierwszym lepszym.

— Et, co tam właściwie, już teraz...

— Właściwie?

— Otóż to. Zresztą, mój drogi, ja jestem oddawna tak daleki od życia! Nie mogę się nazwać filozofem, lecz przedewszystkiem pochłaniają mnie zagadnienia bytu pozaświatowego, a na pierwszem miejscu jego możliwość i jego konieczność. Nie doszedłem jeszcze do żadnego własnego rozumienia tej sprawy i zapewne nie dociekłbym niczego do samego końca, gdyby nie

tak szczęśliwe spotkanie z tobą, mój chłopcze... Powiedzże mi cośkolwiek o tych tam... Cóż wobec tego znaczą chryje miłosne ludzkie na tym ziemskim padole? Jedno twoje słowo odrazu mi rozjaśni moje trudy metafizyczne. Bo widzisz, z książek można się dowiedzieć tylko tego, co się przywidziało mózgom płytszym lub głębszym, a klucze do zagadnień zostają gdzieś w zaświatach. Tam właśnie, gdzie przebywasz, postawiłbym rzecz oto tak: czy tak zwany śmiertelnik, spotkawszy się ze zmarłym, a raczej z jego duszą, może porozumieć się z nim o sprawach nieuchwytnych i niepojętych dla najtęższego umysłu człowieka? Więc jeżeli można...

— Można, można, ale nie należy. Bo to jeszcze gorsze dla żyjącego człeczyny, niż odświeżenie niepotrzebnych wspomnień. Zawracanie we łbie, a w rezultacie wstręt do życia, które jednak ma swój smak, prostacki, grubo zwierzęcy, ale — owszem, i to może być miłe. Tem bardziej, że dotknąwszy się nieostrożnie owych tajemnic pozaświatowych (termin nieścisły), człowiek żyjący traci wszystko, a nic nie zyskuje. Łyśnie mu przed oczami i oślepi go na zawsze. Niby coś wie, a nic nie rozumie. Niby coś zobaczył, a nic z tego nie spamięta.

Stan głupi. Na ziemi zupełnie dobry dla warjata, albo dla samobójcy. Bo ku temu prowadzą tego rodzaju niebezpieczne interwiewy. Dajmy spokój.

— Dajmy spokój.

Tu przychodzi mi genjalna myśl.

— Wiesz co, stary? Napijmy się czego.

— Co? Owszem. Ha — ha — ha!

— Ha — ha — ha! Czy i wy tam co pijacie? Słuchaj, a możeś ty głodny? Co prawda jesteś duchem, ale ja, u djabła, jestem gospodarzem domu!

— Co znowu. Dziękuję. A jednak, gdy posiedzę z tobą dłużej, to może i zjem cośkolwiek. Nie ja, a mój wywleczony z grobu żołądek, który, jak to żołądek, nie znosi pustki.

— Aj, aj, dajno spokój... A powiedz — może to śmieszne, jednak nie możnaby odmówić pewnej logiki... Ot, gdybym naprzykład był histerykiem lub tchórzem i gdybym cię oto teraz uwalił w łeb tym przyciskiem? Bolałoby cię?

— Doprawdy, nie wiem...

— To sprobuję...

— Proszę bardzo!

— Ha — ha — ha. Mam ochotę, ale nie wypada. Gość, to gość. Przyniosę lepiej butelczynę.

Lecę duchem po butelkę do „apteczki". Tam otwieram moją szafeczkę i wybieram. Niechcący nalewam sobie z jakiegoś gąsiora pełną lampkę od wina, wypijam to duszkiem (okowita!) i, zabrawszy czworograniastą flachę nalewki wiśniowej i dwie szklaneczki, powracam. Niech się upije wywłoka piekielna! Przy wódce będzie z nim lżej.

Nalewam i, pełen nowych myśli, wnoszę:

— Na twoją cześć!

— Niechże będzie, napiję się.

Pociągnął ze szklanki i na jego posępnem i nieprzyjemnem, powiedziałbym nieco trupiem obliczu odmalowało się po raz pierwszy coś zwyczajnego, poprostu ludzkiego. Miłe zdziwienie człeka, który przełknął coś nadspodziewanie arcydobrego. Pociągnął jeszcze łyk i z ustami przy szklance rzekł:

— Jednak to wasze tymczasowe i marne pseudoistnienie ma swój urok. Ot, taki naprzykład boski napitek...

— A widzisz!

— Widzę.

— Zobaczysz dopiero po paru szklankach, jak to działa. A gdy wypijemy butelczynę, przyniosę drugą, lepszą. A potem trzecią, jeszcze godniejszą, starą. Boję się tylko, że nie trafisz potem na swoje Gentilly.

Puszczam się na całego i już się nie boję:

— To nic, zanocuję u ciebie. Mnie tam nie pilno.

Uczułem dreszcz w krzyżach i zęby mi szczękały o szklankę, gdym pospiesznie wypijał dla otuchy. Ale zarazem wyczuwałem już, jak wśród błogiego ciepła, które napełniało mi pierś, zaczyna mnie ponosić nowa fala fantazji i rodzi się jakiś zupełnie nowy pogląd na to wszystko. Błoga mgła unosi się ku górze i wszystko razem z tą mgłą poszło też wgórę.

Była to bowiem cudna nalewka wiśniowa z odrobiną miodu i jeszcze z jakiemś tajemnem zielem, wiadomem tylko domowej czarownicy, mojej starej Mumji.

Mulikowski uśmiechał się ku mnie przyjaźnie i wyciągnął szklankę:

— No, na zgodę! Niech djabli wezmą, co tam kiedy było!

— Słuchaj! Zawszem cię wspominał z żalem. Słuchaj, jedyny przyjacielu!

Trąciliśmy się.

Długo wyplatałem dytyramby na cześć naszej starej przyjaźni. Wspomniałem na wyrywki rzeczy szkolne, warszawskie, paryskie. Gdym wspomniał Lutę, głos mi się zarwał i rozpłakałem się histerycznie.

— Ty dzieweczko przeczysta... najmilejsza... młodości moja daleka!... Nieszczęsny mój losie samotny, plugawy... Gdzież ciebie szukać po świecie, Lutko anielska, najukochańsza, jedyna... Przyjacielu! Druhu umarły... Mów o niej, mów całą prawdę. Ty wszystko wiesz! Pogodziliśmy się... Twoja śmierć przykuła nas obu do niej na wieki wieczne. Módlmy się do niej... podaj mi ręce i mów o niej...

Przesiadłem się do niego na kanapę, i trzymając go za ręce, błagałem. Niepowstrzymane potoki łez zalewały mi twarz. Przez łzy widziałem jego przepaściste oczy. Ponuro patrzały we mnie z jakąś uporczywą, nie do wytrzymania bo-

lesną, nieodgadnioną myślą. Biła od niego mroźna, groźna mądrość, nadludzka wiedza z za grobu.

Truchlałem w ekstatycznem zapamiętaniu. Czułem, że to śmierć wciąga mnie w siebie, wabi, kusi, i poddawałem się temu z rozkoszą. Przeczuwałem, że oto wnet, wnet, za chwilę, w jakiejś straszliwie już bliskiej sekundzie ozwie się do mnie z zaświata jej słodki głos, spojrzą na mnie porywczo oczy ukochane...

Nagle umarły zbliżył do mnie swoją martwą, posępną twarz i w jednej chwili oczy ożyły, drgnęły nieruchome rysy i w źrenicach zaszkliły się łzy. Zapłakał po ludzku.

Przygarnąłem się do niego z całych sił w nieprzebranym żalu. Nie mogłem przemówić słowa. Drgał w moich objęciach i w łkaniu usiłował coś wypowiedzieć.

— Co mówisz? — pytam, płacząc.

Odsuwam go od siebie i, ściskając jego ręce, czytam mu z oczu, wydzieram z niego myśli, odgaduję.

W bolesnej jego twarzy, zalanej łzami, widzę dziwy i przemiany tajonych myśli. Oto natychmiast wypowie słowo zaklęte, rozwiąże wszystkie zagadki. Nieznacznie poruszają się drgające usta. Zaciera się w rysach ból. Coś nieokreślonego błąka się po twarzy, przystaje, kamienieje i ożywia się na nowo. Zwodzi skupione czoło, brwi zsuwają się i rozchodzą, usta kurczą się, rozchylają się, rozchylają...

I nagle — błysną białe zęby. Twarz stała się wstrętna. Uderzy we mnie śmiech szyderczy, chamski, rozgłośny, potępieńczy.

W jednym skoku już znalazłem się za stołem, na środku salonu.

Mulikowski zanosił się ze śmiechu. Brał się za boki, tarzał się po kanapie, ryczał. Od tego śmiechu raz i drugi dźwięknęły szyby.

Przymknąłem oczy, zasłoniłem sobie uszy. Utonąłem w zamęcie, jak gdyby mnie ktoś uwalił maczugą po łbie. Zgubiłem poczucie własnego istnienia. W głowie mi szumiało i jęczało. Był to ten sam wicher, który wył w konarach białodrzewia i trząsł okiennicami. Ten wicher wywiewał ze mnie i roztaczał każdy zaczątek myśli. Wreszcie wydarłem się z osłupienia, otworzyłem oczy, spojrzałem. Targnęło mną obrzydzenie na widok jego znowu skupionej twarzy i spokojnej, pełnej godności postawy.

— Co ty wyrabiasz, ty chamie? Czego ode mnie chcesz?

— Oho! Tak się mówi do przyjaciela...

— Wynoś mi się stąd zaraz!

— Zlituj się! nie wypędzaj mnie! Jeszcze chwileczkę wytchnienia!

Jego przerażenie i ten pokorny głos zmiękczyły mnie w jednej chwili. Mulikowski i za życia umiał mnie zawsze rozbroić dziwnie serdecznym tonem. Było w nim nieświadome aktorstwo. Lekkoduch ten miał niezwykłe szczęście do ludzi. Lubili go wszyscy.

— Widzisz. Niktby cię nie był ruszał, gdybyś się zachowywał przyzwoicie. Widzisz — wyrządziłeś mi straszną krzywdę....

— Żeby ci nie sprawić jeszcze większej. Zapamiętaj to sobie dobrze! Już ja wiem, ty się nie domyślaj, bo nic nie zgadniesz. Dosyć, dosyć... pomówimy o czem innem!

— Dobrze. O czem innem. Opowiedz coś o sobie. Jak tam się czujesz wogóle? Jak tam jest? Bo ja wiem, nawet, jak o to pytać?

— Zwykła ciekawość. Radbym opowiedzieć. Nawet może opowiem ci to i owo. Bylebyś tylko potem nie żałował?

— Myślisz, że się boję? Niczego się nie boję! Mów wszystko.

— Nie! Nie! O, nie! Bo choć mnie to nic nie kosztuje, ale tybyś nie przeżył wieści z za grobu.

— Niech cię o to głowa nie boli.

— Tego nikt nie zniesie!

— Ja zniosę.

— Śmieszny jesteś ze swoją odwagą.

— Spróbuj!

— Ej, nie żartuj ty sobie...

Przyznaję, żem w tej chwili stchórzył. Twarz Mulikowskiego przybrała taki okropny wyraz...

Oczy patrzały we mnie, jak gdyby z nieskończonej przestrzeni, jakby skroś tę ziemię, w której od długich lat spoczywał zakopany. Była w nich bezwzględna pogarda dla małości spraw ludzkich,

a zarazem mściwa nienawiść do wszystkiego, co żywe.

Mój strach był bolący, przeokropny. Wiedziałem, że widmo jednem spojrzeniem może mnie zabić, ale nie śmierci się bałem. Bałem się gorszego, najgorszego. Czegoś bez imienia, bez treści — czegoś ostatecznego. To coś leżało gdzieś na samem dnie, roiło się jak gad w ciemności, obezwładniało, opasywało, dusiło, przejmowało nie do zniesienia okropnym wstrętem.

Ryczałbym ze strachu, gdybym mógł był dobyć ze siebie głosu. Miotałbym się w konwulsjach, gdyby nie martwy bezwład, który mnie spętał.

A Mulikowski wytrzymywał mnie długo, bez miłosierdzia i podle. Wreszcie zlitował się i zdjął ze mnie oczy.

Odetchnąłem.

— Mój złoty, — zaczął. — Widzę, że pędzisz tu dziwny żywot. Teraz już wiem o tobie, co należy — boć to dla mnie nietrudno, gdy się na chwilę przenoszę stamtąd.

— To wiesz i to, co myślę?

— Naturalnie.

— Dobrze. To znaczy, że wszystko rozumiesz, i tyle. Coż tu gadać więcej o mnie? Tak mi się ułożyło...

— Jeszcze się nie ułożyło. Nie jesteś stary, żeby rezygnować z reszty. Nadomiar kłócisz się co dnia ze sobą, usprawiedliwiasz się przed samym sobą, jak oskarżony przed sędzią. Z wła-

snej woli zaplątałeś się w absurd. A ileż to razy budzisz się rano ze wstrętem do siebie, z rozpaczą, z nudą? A noce? Ileż to razy ratujesz się jeno butelczyną? I o co idzie? Zjawiłem się tu bez celu — ot, z wiatrem, ale jeżeli już tu jestem, to przecie wartoby zrobić coś dobrego. Pogadajmy. Nikogo przecie nie masz na świecie! Właściwie ja jestem twoim jedynym przyjacielem. Czyż nie prawda?

— Prawda — przyznałem posłusznie.

Przyjaciel wepchnął mnie w moją nędzę, a choć ją znałem najlepiej, teraz odczuwałem ją podwójnie, stokrotnie. Więc spojrzałem na niego błagalnie, jako na jedyny ratunek, bez cienia wstydu, bez żadnego zastrzeżenia, z bezgranicznem oddaniem, jak sponiewierane, opuszczone dziecko. Ujął mnie swem dobrem, serdecznem spojrzeniem.

— Musisz to wszystko rzucić.

— Rzucę!

— Poczekaj. Przecie wiem, że w tem niema żadnego systemu ani programu. Ciebie tu trzymają rzeczy małe. Przyzwyczajenie do wygody, do próżniactwa. Domek jest miły, kuchnia dobra (tyjesz!), wódki moc, samotność bez niczyjej kontroli. Nie masz się tu do nikogo i do niczego przyrównać. Świat ci nie przeszkadza. Boisz się krokiem stąd ruszyć, bo zaraz za progiem tego strasznego miasteczka wszyscy i każdy zakrzykną na ciebie — oto dziwak — oto warjat — oto

komiczny pokraka — oto, nic. Bo ty jesteś właśnie — nic. A tu imaginujesz sobie w lepszych chwilach, zwłaszcza po wódce, że jesteś bezmała mędrcem i że tak sobie wybrałeś i tak chcesz. „Ten dobrze spędził życie, kto się dobrze ukrył" znamy ich doktrynę. Kłamstwo! wiem, że to dobrze czujesz. Ambicję masz olbrzymią i mówisz sobie: nie mogę być wielkim, będę niczem. Nie mogę żyć górnie i chmurnie, nie będę żył całkiem. A ja ci mogę powiedzieć, że możesz zostać wielkim, bo masz ogromny talent. Jesteś mądry i uczony, ludzie cię otoczą uwielbieniem, jesteś w sile wieku... Otrząśnij się!... Może tego nie potrafisz, ale pozwól, że ja tobą wstrząsnę. Odrazu stąd ruszysz w świat. Ale daleko! Zabierzesz swoje szpargały. Puść je w świat, odrazu parę tomów — i to lepszych. Wszystko jest znakomite, bo nowe. Niedługo będziesz czekał, a przyleci do ciebie fama z Polski, ubogiej w talenty. Poniesie cię sława. Ach sława! Czyż to już nie całe szczęście? Czegóż więcej potrzeba? A będzie i reszta — bujne życie. Oto moja rada. I rad widzę, że jesteś gotów. Ale nic z tego, gdyby to zostawić tobie samemu. Rozumienie rzeczy, to jeszcze nic. Nawet chęć. Trzeba woli, a tej nie masz za trzy grosze. Ani za grosz. Tu trzeba pomocy, nawet przemocy. Trzeba niańki. Ja ci to załatwię. Widzę, że się zgadzasz. To dobrze. Otóż machniesz się stąd wprost do Paryża. Zpoczątku będzie cię wszystko męczy-

ło i dręczyło, ale przecierpisz i za miesiąc nie będziesz wierzył, żeś mógł znosić swój dawniejszy żywot. Tchnienie Paryża da ci nową duszę i będziesz w poecie wielkim pisarzem. Ja ci to mówię. Chcesz? Chcesz. Wierzysz w to? Wierzysz... A zatem jazda! Zabieram cię ze sobą.

— Jakto... Jakto...

— Tak jest. Nie mogę czekać, aż się zapakujesz i wybierzesz. Odrazu! Już! Nie bądź głupi— wszystkie sprawy, związane z twoim wyjazdem, załatwią się same. Może to narazie niezrozumiałe dla ciebie, ale ja ci to mówię, nie zaprzątaj się głupstwami. Jeden warunek: umieszczę cię w pobliżu siebie. Pamiętasz, żeście mnie zakopali za fortyfikacjami na cmentarzu Gentilly? Otóż zamieszkasz tak, byś mógł mnie odwiedzać częściej. Ach, niewysłowiona jest nasza tęsknota do ludzi! Co za błogość, gdy spojrzy ktoś bodaj obcy na napis grobowy! A cóż, gdy człowiek czyjś bliski stanie nad mogiłą. Niech postoi, niech westchnie. Zresztą żadnych modlitw, ani żalów — nic więcej. I mnie tego potrzeba. Pozatem ja muszę cię pilnować, muszę mieć na ciebie oko. Nie myśl sobie, że odległości nic tu nie znaczą. Owszem. Wam się tam wydaje, że duchy zmarłych mogą z nieskończonej przestrzeni... Niema żadnej takiej nieskończoności. Więc wybierzesz sobie mieszkanie na Avenu Reille, albo lepiej na Rue Gazan (widok na park Montsouris!) stamtąd do cmentarza trzy kroki przez Porte Gentilly.

Dzielnica piękna, zdrowa. Tam będziesz sobie pisał. Stamtąd jak z portu będziesz się zapuszczał na ocean Paryża.

— Wiem, na Gazan mieszkał Wacek Dudziński. Śliczny widok z okna. Owszem, przyjmuję i za wszystko ci jestem nieskończenie wdzięczny. Ty jesteś mojem odrodzeniem, zmartwychwstaniem! Jedno tylko. Mój drogi, o jedno cię proszę. To nie warunek, a prośba przyjaciela. Nie wiem, jakby to wyrazić... Bo nie chciałbym, żebyś mnie źle zrozumiał.

— Nie mogę źle zrozumieć, bo przecie wiem wszystko, co tylko sobie pomyślisz...

— No, więc...

— Znaczy to, że niby wszystko dobrze, tylko nie chcesz, żebym ci się pokazywał po raz drugi?

— No tak. Mój drogi!

— Uczciwie mówiąc, nie mogę na to przystać. I cóż ci to szkodzi, jeżeli czasami pogadamy sobie przyjaźnie i spokojnie?

— Ach, czasami... Mój drogi, już lepiej całkiem nie!

— Przecie i teraz dobrze nam jest ze sobą, a to pierwsze spotkanie było dla ciebie najbardziej wstrząsające. Przyzwyczaisz się. Bierz to poprostu. Co za mistyczne uprzedzenie.

— Już ci obiecuję, że będę cię odwiedzał na cmentarzu regularnie co tydzień. Przysięgam ci! Będę zawsze przynosił kwiaty. Byle nie to!...

— Dziękuję i trzymam cię za słowo, mniejsza o kwiaty. Takie odwiedziny przyjaciela to dla mnie duża ulga. Ale to nie jest żadne obcowanie.

— A czyż już naprawdę potrzebne jest takie obcowanie?

— Dla mnie to wielka radość i odetchnienie w mojej obmierzłej nudzie niebytu. Ale dla ciebie to poprostu niezbędne, przynajmniej w pierwszych czasach nowego życia. Jak ty możesz tego nie rozumieć! Musi ktoś czuwać nad tobą, bo jesteś jak dziecko. Wiem, co myślisz — że dasz sobie radę beze mnie. A oto — cóż naprzykład wybierzesz z twego dorobku literackiego do puszczenia w świat na pierwszy ogień? Nigdy się nie zdecydujesz na nic. Stare nałogi będą w tobie jeszcze pokutować przez długi czas. Ja za ciebie wybiorę.

— Ależ skąd ty możesz wiedzieć?

— Znam wszystko. Nawet papiery w twych szufladach, o których zapomniałeś. Naprzykład pewne fragmenty swawolne, których sam się wstydzisz. Opowiadanie pod tytułem „Celinka"... Arcydzieło, ach musiałbyś to puścić chyba po francusku.

— Obrzydliwość! To potworne, że ty wszystko o mnie wiesz! Tego nie wolno! Nie wolno!

— Nie wstydź się. Głupstwo! Ja wybrałbym na pierwszą fanfarę sławy twoją powieść, napisaną przed ośmiu laty pod tytułem... Tytułu tam niema, bo nie mogłeś się jeszcze zdecydo-

wać na żaden. No wiem, to przygody podróżnika po Tybecie. Co za erudycja! Obracasz się tam, jak u siebie w domu. Wspaniałe! Co za bogactwo wyobraźni! Świeżość, polot, odwaga! Któż się nie zakocha w angielce Enith Willonghby. Któż się obroni przed suggestją idei starego Yogi Munar Bhawy? Oto powieść! Dałbym jej tytuł: „Powrót do ojczyzny".

— Doskonale! Tak jest! Bo bohater ze wstrętem ucieka z ubogiego domu, rozkoszując się daleką obcością, a sam o tem nie wiedząc, zaczyna tęsknić i kochać swój nieszczęsny kraj rodzinny. Przystaję na tytuł. Ale mnie tak zanadto nie chwal, bo jeszcze uwierzę.

— Mnie możesz zaufać. Trzeba przyznać, żeś się tęgo nauczył pisać.

— Potom tu siedział.

— Akurat! Siedziałeś, boś nie wierzył ani w siebie, ani w swoje pisanie, ani w nic. A teraz? Wierzysz?

— Ach wierzę!

Uczułem, że rosnę, potężnieję, że wszystkiego pragnę i wszystko wiem. Uczułem żądzę panowania nad życiem i nad ludźmi. Wiedziałem zgóry, że wszystkiemu podołam.

Nabrało sensu moje dotychczasowe istnienie. Był to długi wstęp do szczęścia. Musiałem wydręczyć się i jakby zamrzeć w Świeciechowie, by móc wylecieć w szeroki świat, jako człowiek walki. O ty moja dziewicza, samotna skromności!

O moja szczera pogardo dla utworów mej rozkiełznanej wyobraźni! O szczytna prostoto genjusza! Ten za białego dnia wstyd grafomaństwa i upojenia nocy spędzonych przy biurku! Moje dzieci ukochane, tysiące wymordowanych postaci... Oto żyjecie...

Owiało mnie i upoiło rozkoszne kadzidło wielkości. Nieprzebrane czary i bogactwa życia odsłaniały mi się w hołdzie, na sto głosów grzmiał we mnie hymn sławy, otoczył mnie rój kobiet, wpatrzonych we mnie w uwielbieniu rozmarzonemi oczami. Stanął przede mną przepiękny prawdziwy poemat mego życia...

W ekstazie radości zapomniałem o wszystkiem co było. Długo przelewała się we mnie potężnemi falami pieśń o szczęściu. Zapomniałem, niebaczny, o moim gościu...

I nagle wszystko to zgasło — uczyniło mi się jakoś plugawie. Z trudem budziłem się jak ze snu. Byłem martwy. Ach, zrobiło się zupełnie jak dawniej! Przypomniała się i calusieńka powieść o tym podróżniku po Tybecie. Enith Willoughby i Yogi Munar Bhawa — cały ów „Powrót do ojczyzny". Nonsens, nieudolność, pokraka, ohyda, znane mi od ośmiu lat! Utwór godny ucznia z czwartej klasy — paskudztwo... Oto na czem ma się oprzeć moja sława. A więc... to tak...

Mulikowski nucił arję z Fausta. Uśmiecha się i drwi.

Zgnębiony, odezwałem się głosem zduszonym, ledwie dosłyszanym.

— Co... ty... ty... ze mną wyrabiasz?

— Ach, zdaje ci się, — machnął ręką niedbale.

— Czyż cię tak dalece bawi dręczenie przyjaciela, który ci nigdy w życiu nic złego?... Mówię szczerze z bolącego serca.

Obruszył się i niespodzianie zaczął się ciskać, jakby w paroksyzmie oburzenia. Był w tem fałsz i widoczna komedja.

— Patrzajcież! Do niczego się nie poczuwa, kochaneczek! A przez kogo ja zaprzepaściłem moje młode bujne życie? Kto mnie zabił?

— Jeżeli już jest ktoś winny — to chyba ona.

— Ona, ona! Nie wykręcaj się i nie zwalaj rzeczy na niewinną dziewczynę. Nieładnie to, gdy przychodzi do porachunku, zastawiać się kobietą. Wyobraź sobie, jakby to wyglądało, gdyby tu mógł wchodzić w grę pojedynek?

— A, pojedynek! Wygadałeś się, przemądry panie, chytry szpiegu cudzych myśli, przybłędo, ty maro piekielna...

— No co? Co? — Zaniepokoił się Mulikowski. Zakręcił się na kanapie, zaczął czegoś szukać koło siebie, obmacywać się. Ruchy te powtarzały się już parokrotnie. Coś sobie przypomniałem i wraz odgadłem. Zmarły przywykł do binokli i szuka ich teraz odruchowo w momentach większego podniecenia. Zapomnieli mu ich włożyć do trumny.

— Jakto, co? Wygadałeś się, żeś tu przyszedł tylko poto, żeby się mścić. Pojedynek! To mi się podoba! Jaki pojedynek, kiedy jesteś duchem i wiesz wszystko, kiedy umiesz czynić cuda i mącić ludziom w głowie. Cóż można poradzić? Rób swoje, dręcz. Niedługo pierwsze kury, to cię stąd wnet wywieje. Wielki duch i potentat, który dreszczem przejmuje najtęższego człowieka, da jednak nura w ocean niebytu, gdy tylko obudzi się pierwszy lepszy głupi kogut. Kukuryku — i komedja się kończy.

Zadowolony z siebie, spojrzałem na zegarek i ścierpłem: było wpół do dziesiątej.

A o dziewiątej punkt plątała się jeszcze po pokojach moja Mumja. Pamiętałem to niezbicie! A potem jeszcze czytałem długo! A więc... ogromna chryja trwa najwyżej pół godziny? Nie do wiary. Ale zegarek idzie! Przykładam go do ucha — cyka normalnie. Mulikowski uśmiecha się poczciwie i potakująco.

— Godzina dobra, ale ja tu jestem zaledwie od siedmiu minut na ludzki czas. Otóż masz przyczynek do twojego — kukuryku. Czas można mierzyć rozmaicie. Zdumiałeś się, że bawię u ciebie dopiero pół godziny. Ach, czegóż to nie można przeżyć w pół godziny! Mój drogi, za pół godziny będziemy stąd daleko.

Ostatnie słowa wymówił stanowczo, jak rozkaz, zapowiedź tego, co musi być.

Ścierpła mi w głowie reszta myśli. Zjeżyły mi się włosy, i czułem, jak z każdego włosa wyłazi po jednej mrówce, i już wszystkie roją mi się po karku i już spuszczają się mrowiem wzdłuż krzyża.

Wiedziałem, że umieram. Snać wśród dręczącej maligny konania otworzyła się chwila świadomości. Zaszeptałem — Boże, Boże miłosierny...

— Dajże spokój. Jak ty nic nie rozumiesz z tego co się do ciebie mówi. Zupełnie się mylisz. Ani myślałem zwiastować ci śmierci. Nie moja to rzecz. A ty już — Boże i Boże... Zresztą niema żadnego Boga. Ja ci to mówię.

Ulga — zapomnienie i jeszcze raz obudzona ciekawość.

— Boga niema? A cóż jest?

— To co jest.

— To nic nie znaczy. Jest wieczność?

— Powiedz nuda. O, tego mamy masy niewyczerpane. Powiedz pustka — pełno jej wszędzie w zaświatach. Wieczność wymyślili na pocieszenie mądrzy ludzie, ale nuda była, jest i będzie wieczyście. To jest dopiero przekleństwo śmiertelnej ludzkości. Zaiste, ona to jest ową materją kosmiczną, z której powstaje wszystko. Zasoby jej są niewyczerpane. Żyjący nie dostrzegają jej z powodu nader licznych kłopotów, związanych z ziemskiem istnieniem, z powodu wiadomej każdemu krótkości życia, i tak dalej. Ale umarli!

— Dajże spokój z twoją nudą. O takich rzeczach mówi się poważnie.

Zapamiętałem się, wpatrzony w niego, i czułem i cierpiałem jak ongiś. Tak samo ongiś pod koniec zapadaliśmy we troje w długie, zapamiętałe milczenia, pełne ekstazy. Półbolesne, półradosne, to bezwiedne, to jasnowidzące były nasze myśli — nasze, podzielane, wspólne. Czyjaś władza i powaga jednoczyła nas wszystkich troje. Stawało się coś niesłychanego i ktoś temu błogosławił. Luta, ja i on...

I jak ongiś, przed laty, w pewnej chwili zdjął mnie ból, ten znajomy znak śmiertelnej, nieuleczalnej zazdrości. Nie patrząc, wiedziałem, że jej oczy mimowolnie, mimowiednie zwróciły się ku niemu. Spojrzenie, pełne cudów oddania i szczęścia, i wstydu, zapamiętałe, nieprzeparte... Spojrzenie tej, która nie umiała kłamać...

Odezwał się do mnie ktoś serdeczny, mówiący z powagą a smutkiem wielką, straszną prawdę.

— Odejdź, zostaw ich ze sobą...

Chciałem usłuchać, musiałem się poświęcić. Dla niej, ach dla niej moje życie, dla niej moje szczęście. Odejdę i już nie wrócę. Niechże spojrzę na nią jeszcze raz...

Siedziała w drugim rogu wielkiej staroświeckiej mojej kanapy. Zadumana, z pochyloną głową, ze spuszczonemi oczami. Zaledwie przed sekundą oderwały się od niego te oczy. Oczy

królewny dumne, nieprzystępne, a bezmiernie łaskawe, proszące...

Między nim a nią na kanapie puste miejsce, dziwna przestrzeń, kłamiąca i nieprawdziwa. Tam widziałem wizję ich obojga, przytulonych do siebie. Bo tak być powinno, tak ma być i tak kiedyś będzie, jeżeli już nie było, nie bywało... Ileż razy, mimo całej wiary, szarpały mną straszne podejrzenia i rzucały mi przed oczy ich oboje w zapamiętałym uścisku miłosnym!

Teraz Luta patrzy na mnie tak ciepło i serdecznie, przeprasza, łagodzi, uspokaja i mówi oczami — tyś dobry. A ja widzę ją przez łzy i szepcę: Wiem, że mnie nie możesz pokochać... Nie, czekaj jeszcze, ja nie wiem. Nie smuć się, mnie to boli. Chcę tylko twojego szczęścia. Bierz je tam, gdzie je widzisz. Bierz i nie myśl o mnie! Szczęście? Czy to jest straszliwa jakaś chwila, czy też długie życie, miłe i ciepłe? Czy to szaleństwo, czy może właśnie spokój?

Czemuż ja z tobą, dziewczyno, musiałem być tak straszliwie uczciwy, czemu miałem dla ciebie jeno słowa szczere, najserdeczniejsze? Czemuż nie chciałem i nie mogłem wobec ciebie udawać, przystosowywać się i pięknie kłamać? Choć wiem, coby należało czynić i jak mówić, a kiedy przemilczeć? Nigdy nie pozwoliłem sobie użyć podstępu, ja nie obmyślałem na ciebie sposobów! Jakże znam potęgę komedyj miłosnych i taktykę walki o uczucie! Jakże to łatwo pod-

kopywać się, wyczekać, omamić, opętać i zdobyć. Rozbrojony stałem wobec ciebie i tylko chciałem, byś ty, z własnej świadomej woli, zmożona jeno przez własne serce, podała mi królewskie usta twoje... Czy jestem zbyt skromny, czy też żądam nazbyt wiele?

Pod czarem jej oczu, wpatrzonych we mnie uporczywie, traciłem gorzkie myśli, wyzbywałem się pytań, wahań, stawałem się szczęśliwy. W takich chwilach jej zapatrzenia łudziłem się wiarą, że kocha mnie jednego. W takich chwilach ośmielałem się brać jej ręce w swoje i, związany z nią oczami, tonąłem w szczęściu nieprzebranem, nad które, zda się, nic już nie mogło być większego. Podniosłem się z miejsca...

Ale teraz nie byliśmy sami. O przekleństwo! Moja chwila przeminie, a któż mi zaręczy, że to nie ostatnia już na całe życie...

Mulikowski ani myślał się wynosić. Zresztą nie było to w jego stylu, ani razu nas nie zostawił samych. To ja, zdręczony, odchodziłem nieraz, rzucając mu wszystko na pastwę, i miotałem się po mieście. Pamiętam, że gdziekolwiekbym się obrócił, po wielu wędrówkach zawsze i niezmiennie znajdowałem się wyczerpany ostatecznie na moście „des Arts", i patrzyłem na mętną wodę Sekwany. Coś mnie tam prowadziło... Dziwne to, żem nie uległ pokusie...

Oderwałem oczy od Luty i z nienawiścią zpodełba spojrzałem na dręczyciela.

Ale natychmiast zawarłem powieki i odruchowo zakryłem je obu dłońmi. Obraz zgasł, a w ciemności zaczęły się przewlekać jakieś żółte pasma. Już to było, tak kiedyś już było...

Był zapatrzony, jak ja, w ukochaną, ale widziałem teraz, że z jednej strony skroń miał siną, a pośrodku czarną dziurę, ślad kuli.

Samobójca patrzył na Lutę z bezmiernym wyrzutem, z nieprzebraną miłością. Miał w oczach rozmodlenie i wdzięczność. I chciał ją za coś przebłagać i skarżył się gorzko. Jakże był piękny...

Ciemne, sine piętno na skroni i ten czarny, ziejący śmiercią znak czyniły go widmowym, nieprawdopodobnym. Otoczył go, jak mgła, tragiczny, posępny urok.

Gdym znowu otworzył oczy, ujrzałem, że Luta z rękoma przyciśniętemi do piersi i z ustami rozwartemi ze zgrozy patrzyła w niego z nienasyconą chciwością. Widziałem, jak porywa się ku niemu i cofa się, jak wyciąga ku niemu ramiona i drży cała.

— Otóż czas mi odejść.

Tak szeptało coś we mnie, w głębinie mojej rozpaczy. Wiedziałem, że za sekundę wstanę i wyjdę pocichu, na palcach, tym razem bez jednego słowa. Tym razem nie zauważą mnie nawet. A gdy po długich godzinach włóczęgi stanę nareszcie na Pont des Arts — nie zawaham się.

Wstaję. Nagle poznaję na ścianie obrazek w złotej ramie — fotografję.

Notre Dame de Paris.

Wiem, że ta katedra znajduje się w Paryżu, i wiem, że taki obrazek wisi u mnie w salonie, w moim dworku w Świeciechowie, ale nie wiem, gdzie jestem ja sam, ani kiedy się to wszystko dzieje. Poznaję ze zdumieniem moją lampę. Rozglądam się, jak rozbudzony ze snu, i poznaję meble, lustra i wreszcie wszystko. Słyszę głos podniesiony i zdyszany. Mulikowski opowiada coś z przejęciem, a Luty już niema.

To mnie pogrąża w rozpaczy... Ból, ból straszliwy jej zniknięcia!... Jakby mi kto serce wyrwał i zabrał, i poniósł gdzieś, gdzieś... Ani chwili dłużej nie zniosę tego...

— ...Plugastwo, robactwo grobowe... Ach, pojęcia nie masz... Nie możesz mieć żadnego pojęcia... Darmo gadać... Ciemnia i cisza grobu... Milczenie... Ludzie odeszli... Kiedy? Kiedy? Jeszcze słychać głuche sypanie ziemi na trumnę... Coraz głuchsze... Cisza... Cisza... Cisza... Cisza... Cisza...

Ostatnie słowa ciągnie i wyciąga, rozciąga, nie kończy, powtarza, powtarza, wymawia z lubością, a za każdym razem inaczej skanduje, deklamuje. Komedjant.

Przerywam mu z furją.

— Do djabła, z twoim grobem!

Pytam się, czy to prawda, że tu jeszcze przed sekundą była ona? Siedziała tutaj w rogu kanapy. Dopiero co znikła. — Powiedz, co to było!

— Cisza... Cisza... Cisza...

— Błagam Cię, spraw, żeby wróciła. Na jedną chwilę! Nie mogę, nie mogę... Błagam cię, na kolanach cię proszę...

— Cisza... Cisza...

Porywa mnie szaleństwo, chcę się rzucić na niego. Zatykam sobie uszy, bo nie mogę tego znieść... Wybucham płaczem.

Mulikowski zaczyna łagodnie, swoim serdecznym głosem.

— Nie płacz!

— Kiedy już nie mogę.

— Nie płacz, bracie...

— Gdzież ona?

— Nie wiem.

— A przecież tu była?

— Nie wiem. Chyba jej nie było.

— Jakto nie było? Dopiero co patrzyłeś na nią i to jeszcze jak!

— Wydało ci się.

— Oho! A ty jesteś?

— Ja jestem.

— A ona?

— Jej nie było całkiem.

— Łżesz! Patrzyłeś na nią.

— Nie widziałem nikogo.

— Nieprawda. Nie śmiej się! Na litość Boską, nie śmiej się! Spraw, żeby ona tu przyszła, niech wróci...

— Tak ci tego koniecznie potrzeba?

— Ty się o to pytasz?

— Pytam, bo wreszcie... Możnaby wreszcie...

— Tak! natychmiast!

— Ale na to trzeba się odważyć?

— Odważę się na co chcesz. Na co tylko rozkażesz! Mówże!

— To nie takie proste. Ha—ha, może zreszą nazbyt proste!

— Dalejże! No!

— Więc pytam jeszcze raz: powtórz wyraźnie, czy chcesz ją zobaczyć?

— Chcę, chcę, chcę! Umieram z tego chcenia!

— Ale do niej jest tylko jedna droga!

— Jaka?

— Śmierć! To oczywiste.

W jednej chwili coś we mnie ochłonęło. To nie jest strach przed śmiercią. Nasunęło się podejrzenie. Ostro i nieprzeparcie. Nic, tylko podstęp! Czego on ode mnie chce? On mnie w coś wciąga. Poto przyszedł. Odrazu, z przedziwną jasnością zapamiętałem wszystko, co tylko mówił tej nocy. Przenikałem go nawskroś... Wreszcie zbudziły się we mnie argumenty. Roześmiałem się szyderczo.

— Zgoda, przystaję na śmierć!

— Masz tam nawet... o ile się nie mylę? Masz tam w kieszeni...

— Mam rewolwer. Dziękuję za przypomnienie, bardzo to pięknie z twojej strony. Rozumie się, z rewolweru szybka śmierć. To się zrobi. Ale ona będzie tu zaraz?

— Natychmiast.

— Dobrze. Ale jedno ostatnie pytanie: twierdziłeś uparcie, że na tamtym świecie ludzie się nie widzą absolutnie. Wieczna samotność i nuda? Zabiłeś się przed piętnastu laty? Przez tyle lat nie spotkałeś nietylko jej, ale nawet nikogusieńko. Więc jakże to? To dla mnie będzie inaczej? Więc dla mnie jednego będzie przerobiony cały ustrój zaświatowy? Wydaje mi się, że to za wiele zaszczytu jak na mnie...

— Ach, dowcipy, i to w takiej chwili! Boisz się? Wolisz swój Monrepos pod pierzyną niż rzeczy ogromne i szczytne, do których prowadzi śmierć? Wyrzekasz się Luty?

— Może tym razem nie będziemy mówili o niej? Ja chcę mieć pewność...

— Pewność? Ja ci ręczę. Ja wiem.

— Tak, chcę mieć pewność, że mnie nie naciągasz.

— Ach człowieku! Toż ja ci jeszcze nic nie powiedziałem o tamtym świecie.

— Nie łżyj, bo pamiętam wszystko.

— Naturalnie, i ja pamiętam, gadałem byle co, na odczepne. Tam jest inaczej. Tam jest ogrom, głębia. Tam są wszyscy, którzy pomarli. Tam jest ona.

— A miłujecie się ze sobą?

— Zanadto jesteś ciekawy. Zapewne chcesz wiedzieć, jak tam i co tam, jakie są urządzenia, jakie domy, czy jakieś tam miasta, a czy jeszcze co? Po jakiemu duchy się porozumiewają? Kto ich sądzi i czy jest jaka apelacja? Przecież na zdrowy rozum, o tem, jak tam jest, niepodobna opowiedzieć i nie można nawet zacząć, bo nato niema słów, ani myśli, ani pojęć. Nato trzeba umrzeć i tyle. Powiedziałem, żeś zanadto ciekawy.

— Zgoda, powiedziałeś. Więc proszę cię, zrób tak, żebym ją zobaczył teraz, zaraz, na jedną chwilę. Niech siądzie tu na kanapie, jak było przedtem. Raz tylko na nią spojrzę i, przysięgam ci, zastrzelę się natychmiast.

— Ha, ha! Sprytny z ciebie samobójca. Zaraz znać, żeś tchórz. Nie gniewaj się! Ach, wyciągasz swojego buldoczka. To może na mnie? Ha! ha! ha! Umrzeć ze śmiechu! Przecież ja już dawno zabity!

Chowam rewolwer zpowrotem do kieszeni, nieco zawstydzony. Ale w głowie czyni mi się coraz jaśniej. Jak gdyby mi ktoś zdjął z mózgu tłoczącą oponę. Myślę szybko i sprawnie, jak za najlepszych czasów.

Myślę: jeżeli Luta wogóle istniała... Co za dziwne pytanie? A jednak czuję w tem jakiś najgłębszy sens. Jeżeli istniała kiedykolwiek, to skąd się ona ma znaleźć na tamtym świecie?

Czyżby koniecznie miała już umrzeć? O tem wszak nie było mowy. Nasunęła się trudna zagadka. Przeskoczyłem przez trudną zagadkę i pytam wręcz.

— Jakto? Więc ona umarła?

— Nie wiem. Zapewne żyje.

— Więc skądże ją mam zobaczyć... tam... i tak zaraz? Czy naprawdę przypuszczasz, że ona żyje?

— Kto wie? Pewnie żyje. Miałaby teraz trzydzieści pięć lat. Cudne to jeszcze lata dla kobiety.

— A gdzie ona mieszka? Wyszła zamąż?

— Gdzie tam, czeka na ciebie.

— A gdzie ona? Mówże!

— Zapewne (jeżeli żyje — ja nie wiem) jest u rodziców, tam, gdzie zawsze, w jakiejś zatraconej krainie w głębi Polesia, pod Owruczem, zapomniałem, jak się to nazywało.

— Wieś Sławeczno.

— Tak jest. Nie pisałeś do niej nigdy?

— Nie.

Tu ogarnęło mnie zadumanie. Znowu zagradza mi cały świat trudna zagadka. Dlaczegóż to ja nie pisałem? Pamięć zawodzi ostatecznie. I nic już nie wiem. Zato budzi się ostre podejrzenie. Znowu ból zazdrości.

— A ty u niej bywasz?

— Ja?

— No, czasami. Byłeś łaskaw na mnie, więc tem bardziej... Przybywasz do niej, djabli wiedzą skąd, żeby ją dręczyć po nocach?

— No nie, nie byłem ani razu. Nie wypada do kobiety nocami.

— Łżyj, drwij. Wsypałeś się. Ty nic nie wiesz. Nie uśmiechaj się tak, błagam cię... Bo ci tu zaraz w łeb strzelę!

— Nie bądź głupi.

A we mnie rodzi się wizja ich miłosnych uścisków... Miłość z upiorem! Piekielny gwałt widma nad uśpioną... Djabelstwo... Wszak wiem o takich sprawach z lektury. Były nad tem rozważania mędrców. Były spowiedzi cnotliwych zakonnic. Pozostały produkty świętej inkwizycji. Były sądy i tortury i stosy...

Ujrzałem wizję starego kresowego dworu. Tam zagrzebana żyje w smutku cudna niegdyś dziewczyna, która z dalekich dzikich borów Polesia przybyła do Paryża po swój los tragiczny. Ujrzałem ciemną aleję wiekowych lip, prowadzącą od traktu do dworu w Sławecznie. Noc jesienna i wicher, a ciemną aleją sunie, mknie upiór samobójcy, chciwy zemsty, drapieżny, piekielny, nieczysty...

Wolałbym, gdyby była umarła. Zdumiewam się, że niema we mnie radości, że ona żyje, że niema we mnie pędu ku niej? Pusto i nudno w sercu...

To była najgorsza chwila. I wówczas widzę, że Mulikowski sięga po papierosa. W takiej chwili! Wziął, obraca go w palcach, bierze ze stołu pudełko zapałek, potrząsa — puste. Odzywa się najzupełniej zwyczajnie:

— Dajno, bracie, zapałek!

Oburza mnie to niezmiernie. Dosyć tego. Wpadam w szał.

— Żadnych zapałek! Ani jednej! Nie wolno teraz.

Zdziwił się zlekka. Rozejrzał się po stole, wstał, usiadł i machinalnie zmacał się po kieszeni. Aha, akurat! Ale, o dziwo, wyciąga z kieszeni od spodni pudełko zapałek i zupełnie naturalnie chce zapalić. Tego już miałem zanadto.

— Stój! Co to za zapałki!

— Co za zapałki? No — zapałki.

— Skądżeś je wziął?!

— Zupełnie zwyczajnie. Widać, że pudełko było w kieszeni w spodniach, więc odnośni fatyganci, czyli crocquemorteusze już na mnie wciągnęli te spodnie wraz z pudełkiem; tak mnie pochowano, mnie razem z zapałkami.

— Pokaż!

— Masz. Dziwne ty miewasz zachcianki.

Oglądam pudełko. Istotnie, zapałki są francuskie. Biorę jedną, pocieram — nie zajmuje się. Biorę drugą, i ta nie. Biorę trzecią, czwartą... I czuję to, co się czuje tuż przed samem obudzeniem. Ach, więc to sen! Te zapałki i wszystko co było przedtem — wszak ja to już raz gdzieś widziałem. Już to raz było przeżyte, a teraz odbyło się znowu, powtórzyło zupełnie tak samo. Kiedy? Kiedy?

Zaczęło się to wczesną wiosną, w początkach kwietnia, w lasku Chaville. Wszystko tonie w przejasnym puchu młodzieńczych, jasnozielonych listeczków. Drzewa ożyły, ale nie dają jeszcze cienia, a w trawie pełno fiołków. Zbieram kwiateczki i podaję jej po jednym, a za każdem dotknięciem jej ręki wzmaga się bicie serca, podnosi się odwaga i zbliża się chwila wyznania. Sam nie wiem, kiedy wypowiedziałem owe słowa. Spostrzegłem to, gdy przystanęła w gąszczu jasnozielonych pączków i listeczków, w które biło słońce. Stała w pachnącem cieple wiosny. Lekki powiew niepokojąco roztrącał jej czarne, po chłopięcemu obcięte włosy. Ruchliwe czarne pasemka zasłaniały jej oczy, zakrywały czoło. Patrzyła na mnie z powagą, przenikliwie, jak gdyby chcąc zgłębić coś i sprawdzić w moich oczach. Nie były zdumione, ani zmieszane. Onieśmieliła mnie powaga jej milczenia. Nie odpowiedziała ani słowem. Uśmiechnęła się kędyś w przestrzeń, jakby do myśli własnych, i poszła w las. Ja za nią.

Pamiętam, gdym po raz pierwszy spotkał się u niej z tamtym. Nawet nie wiedziałem, że się z sobą znają! Ja, który mieszkałem z nim razem w mieszkanku na Denfert-Rochereau. Siedzieli blisko siebie na kanapie i rozmawiali po przyjacielsku. W tej pierwszej nader głupiej chwili doznałem napadu straszliwej rozpaczy. A i on był zmieszany. I ona.

Potem zaciągnęło się u nas na dręczącą przyjaźń we troje. Wyrafinowana obłuda w tej przyjaźni i wspólne wycieczki, promenady po Paryżu. Udało mi się wykraść ją czasami na parę godzin. Jemu też — tylko częściej.

Potem, wciąż mieszkając razem z Mulikowskim, przez parę miesięcy nie mówiliśmy z nim nigdy o niej, jakby jej zupełnie nie było na świecie. Po mistrzowsku ukrywaliśmy się nawzajem przed sobą ze swoją zazdrością i nienawiścią. Żyliśmy w nieustannych komedjach: wzajemne szpiegowanie się, podchodzenie i oszukiwanie. Kunsztowne manewry, które nigdy nie prowadziły do celu, bo nawylot znaliśmy swój tryb życia, wszystkich znajomych i całą resztę.

Pewnego razu oznajmił mi, że jedzie do Enghien, pograć w koniki (wymykał się tam nieraz i zgrywał się zawsze do nitki), a ja wybierałem się właśnie do teatru. Spotkaliśmy się u niej w samej bramie i razem, nie wymieniając żadnych komentarzy, drapaliśmy się po ciemnych schodach na piąte piętro. Wytrzymałem półtorej godziny: poszedłem. Po długiej włóczędze, wystawszy swój czas na Pont des Arts, powlokłem się do domu. Tamten już spał. Bez chwili wahania obudziłem go. Zerwał się, jakby był oddawna gotów na rozmowę rozstrzygającą. Zacząłem bez żadnego wstępu.

— Słuchaj!

— Słucham.

— To jest idjotyczna podłość. Czas kończyć— bo i jej szkoda. Przecież wszystko tylko dla niej?

— Wszystko!

— Uczciwie i po męsku?

— Zgoda.

— Ciągniemy losy.

— Natychmiast.

Milczenie.

— Kto wyciągnie dobry los — zaczynam uroczyście i szczerze — ten...

— Wiadomo, wiadomo.

— A tamten drugi.

— Kulę w łeb.

— Dlaczego?!

Milczenie.

— Dlaczego? Dla świętego spokoju. Bo ona wciąż nie będzie jeszcze wiedziała, którego z nas woli. Jeden musi zejść z drogi, ale radykalnie. Ja jestem gotów, bo — wszystko dla niej.

— Wszystko dla niej! Gotów jestem na śmierć.

Porywała nas ekstaza. Byłem nieprzytomny i zapamiętały w szlachetności. Udręczony do ostatka, miałem jeszcze przed oczami wody Sekwany. O tej porze nie było już we mnie ani krzty sił do walki. Poddawałem się z rozkoszą jakiejś straszliwej fatalności. Gotów byłem ustąpić odrazu i natychmiast wracać nad rzekę. Poprostu coś mnie pchało, ciągnęło, nagliło. O niej zapomniałem niemal. Pożądałem zatracenia, otchłani i jakiegoś niedościgłego piękna,

którego sama wieść daleka zdejmowała mnie bezgranicznym zachwytem. Ta wieść o śmiertelnej tragedji zbliżała się z każdą chwilą. Już tonąłem w upojeniu.

Tamten zaś odrazu przeszedł do rzeczy.

— Jak to zrobisz? Dajże tu coś takiego...

— Węzełki?

— Węzełki... No, nie. Należałoby mieć duże gałki: czarną i białą. Takby wypadało. Tak się robi zawsze. Przecież nie o byle co idzie.

Uwaga o gałkach zmroziła mnie odrazu. Gałki? Z czego, może z kości słoniowej? Niema żadnych gałek! Może czekać do rana, szukać po mieście albo obstalować u tokarza? Nonsens! Błazeństwo!

Spojrzałem na niego pilnie — oczy mu zalatały i uciekły gdzieś. Pomyślałem: boi się. Stwierdziłem — taki, choćby wyciągnął najczarniejszą gałkę z najprawdziwszej kości słoniowej, nie zastrzeli się zupełnie i wie o tem zgóry. Dybie na mnie, głupiego.

Potem patrzyłem długo w okno. Przez chwilę miałem ochotę skoczyć na bruk z czwartego piętra. A on tymczasem zasnął. Chrapnął raz i drugi. Zgasiłem lampę i rzuciłem się na łóżko. Rano nie mówiliśmy o całem zajściu nocnem. Nie zgadało się o tem i później.

Należy przyznać, że umieliśmy ze sobą wytrzymywać. A pod koniec zaczęło się u nas zupełnie po warjacku.

Nie mogłem się powstrzymać od rozwodzenia się nad jego urodą, gdy udawał mi się pobyt u Luty sam na sam. Szpiegowałem ją niegodnie, dręcząc ją prowokacyjnemi napomnieniami. Patrzyłem w jej przepaściste oczy, szukając odpowiedzi na jedno wieczyste pytanie, zgadując i gubiąc się zawsze. Nigdy nic nie odpowiadała. Mówiła wogóle mało. Słuchała, a nigdy nie mogłem wywnioskować, co myśli, czego chce, a czego nie chce.

Milczenie jej było pełne uroku. Spowita w nie, zdawała się być kapłanką jakichś tajemnic, dumającą o sprawach nieodgadnionych. Wszystko przepływało koło niej, nie budząc żadnego istotnego zainteresowania. W gruncie wiedziałem, że nic ją nie obchodziło, ani życie otaczające, ani Paryż, ani my obaj. Była zawsze jakby półsenną, wiecznie bierną, niezmiernie spokojną, a zarazem okrutną despotką, dręczycielką wyrafinowaną. Nie wiedziała o tem.

Korzyłem się przed nią w bezgranicznem ubóstwieniu. Nigdy wobec niej nie potrafiłem wyrwać się z ekstazy, z zapamiętania. Zawsze byłem nieprzytomny. Wiedziałem o tem, że szkodziłem sobie, że gubiłem własną sprawę. Byłem niezgrabny, zbyt rozmodlony, wiecznie na klęczkach przed nią. Byłem zpewnością śmieszny i to może zawsze, może częściej niż nieraz. Byłem nudny.

Ale nigdy nie potrafiłem z nią inaczej. Nie pozwalałem sobie na to, może nie śmiałem, może nie chciałem i nie mogłem.

Wreszcie, wreszcie...

W ciągu tych paru dni, poprzedzających katastrofę, nie dostrzegłem nic nadzwyczajnego. On już się ode mnie wyprowadził, ale spotykałem go u niej. Pozatem było jak zawsze.

Pewnego ranka dowiaduję się na wykładzie w Ecole de droit — że zastrzelił się kolega Mulikowski. Wyszedłem natychmiast, uciekając od gadania o tem, od komentarzy. Chciałem iść do niego, potem do niej, ale udałem się wprost przed siebie i szedłem, przepychając się przez tłumy długo, długo, prosto, a prosto, przez Boul Michle, przez mosty, przez cały Boul Sewastopol, dalej aż do Gare d'Est. Tam wsiadłem w omnibus, który mnie wiózł przez całe miasto, i wysiadłem gdzieś około fortyfikacyj. Więc poszedłem dalej — pustemi drogami, przez nieznane miejscowości, między murami jakichś parkanów, potem wzdłuż linji kolejowej. Wreszcie dobrnąłem do jakiejś stacyjki i, doczekawszy się pociągu, chciałem jechać, lecz nie wypuszczono mnie na peron bez biletu, o którym nie pomyślałem. Poszedłem dalej, już gęsto przysiadając po drodze. Noc zastała mnie nad wielką rzeką. Położyłem się na brzegu i usnąłem.

Z całego tego dnia nie zapamiętałem ani jednej myśli, ani pragnienia, ani wrażenia. Zato gdym rano powracał, już byłem pełen radości. Zaś dla tamtego nabrałem szacunku — nigdybym go nie był posądził o tak wysoką miarę uczucia

dla Luty. Spotkał się z ostateczną odmową i nie przeżył tego. Darowałem mu w duszy wszystko, niemal go żałowałem.

Po pogrzebie udałem się prosto do niej. Szedłem bez żadnych wahań, z niezachwianą wiarą i przedziwną otuchą. Nie otwierała długo na moje dzwonienie. Wreszcie z ustami przy dziurce od klucza zacząłem wołać i błagać: To ja! To ja! Drzwi ustąpiły. Zamajaczył w ciemnym przedpokoju jej cień i znikł.

W saloniku jej nie było. Bez wahania, bez pytania wszedłem do maleńkiej sypialni. Na rozrzuconem, niezasłanem łóżku leżała z twarzą ukrytą w dłoniach. Ubranie w nieładzie, włosy potargane. Ukląkłem i staram się odjąć jej ręce od twarzy. Szlocha, zanosi się od płaczu.

Wreszcie spojrzała mi w oczy zbliska i wydarła się. To, co zdążyłem ujrzeć w niej, było tak straszne, że porwałem się z kolan i odskoczyłem. Była to twarz upiora, obłąkana i umarła zarazem. Zastygło w niej przerażenie. Ból, krzywda własna i wyrzut jakiejś straszliwej zbrodni.

Nie wiem, jak to poznałem i po czem, ale spostrzegłem, że nas już rozdzieliło coś ogromnego.

Wołałem: Luto! Luto! to ja! Ale już w niej majaczyło coś obcego.

Mówiłem długo, najserdeczniej. Milczała, spoczywając z zamkniętemi oczami jak uśpiona, a raczej jak umarła. Nagle zerwała się, siadła na łóżku.

— Ależ pan nie wie! Nic pan nie wie! To ja go zabiłam! Na całe życie zbrodniarka! I ciebie zabiłam! I twoją miłość. O Boże! Szaleństwo mnie ogarnia. Niech mi pan powie, co to było trzy dni temu? Było napewno, ale ja w to nie wierzę. A nie mogę nie pamiętać. Niech mnie pan utwierdzi, albo zaprzeczy! Nie wiem, nie wiem. Boję się mówić. Boję się teraz. Straszliwie się ciebie boję! Ciebie jednego na świecie. Muszę powiedzieć. Chcę wyznać prawdę. Chcę! Chcę! Nie daj mi mówić... Daj rękę, zasłoń mi usta. Tak — tak.

Znienacka ucałowała moją rękę. Podcięła mi nogi; ukląkłem przy niej, przytuliłem się do niej oszalały z bólu szczęścia.

— Tak, ale wiedz, że ja cię kochałam zawsze! Ciebie jednego... Uciekaj od podłej zbrodniarki!

Chwytam ją za ręce, bo już się bije pięściami po głowie i szarpie się za włosy. W zaciśniętej ręce czarne pasmo wydartych włosów...

Miota się po łóżku, mocuje się ze mną, szarpie się. Odwraca i kryje przede mną twarz, skręca się, odpycha się ode mnie ramionami, odpiera się kolanami, opartemi o moją pierś.

Nad kolanem, tuż za pończochą, błysnęło białe ciało. Na odsłoniętej nodze, na cudnej białości, rozpościerała się duża sina plama, dziwny znak...

— Otóż ta plama — zaczął Mulikowski.

— Co?!!

— No — cóż?

— A ty skąd wiesz?

— Wiem, wiem.

— Łżesz... Łżesz... Łżesz!...

Powtarzam groźnie to jedno słowo, a w istocie już uwierzyłem i, o zgrozo, wiem całą resztę. Jakież to jasne!

Moment osłupienia. Chwila rozpaczy. Ostatni wybuch zazdrości.

I nieoczekiwanie Luta oddala się, niknie. Ukazuje się wreszcie jakby na skraju horyzontu — piękna, urocza i — obca. Jest to już osoba z dramatu. Porywają jej losy, łzy płyną mi z oczu, ale... ale...

Ocknąłem się. Pamięć moja znów się zarwała i zamknęła. Utknąłem na sinej plamie.

Gość mój stał na środku salonu przed lustrem i wpatrywał się w siebie.

— Coś powiedział?

— No cóż? Był to ślad po mnie. Znak zapamiętałego całowania, szalonego wpicia się ustami w jedno miejsce. Cudne nożęta miała Luta. Ach ta noc! Gdy spełnia się to, o czem się zamarzyć nie śmiało... Gdy przychodzi znienacka, samo... Cudniejsze nad wszystko, wymarzone... O rozkoszy zatracenia... Czyż nie warto było wprost z jej objęć skoczyć do grobu? Ja zmarnowałem życie... Ale ona? Powiedziała mi już rano, gdy wypalił się w nas wszystek szał, że musi się zabić... Czemu? Bo ciebie jednego kochała zawsze i kocha, i będzie kochać.

A ja? Przyznasz, że głupio byłoby pozostać. Nato trzeba było choć przez chwilę pomyśleć rozsądnie. Nie było czasu. Przyleciałem do domu i walnąłem sobie w łeb. Żeby ją zwolnić. Żeby znikł świadek. Umierałem nieprzytomny z rozkoszy szczęścia. Zabrałem do grobu tajemnicę. A wy? Wyście oboje puścili wniwecz swoje szczęście.

Dlaczego?

Dlaczego...

Moje myśli niemrawie, bezsilnie, jak kołowate łaziły wkoło tego pytania, i zdawało mi się, że usypiam.

Wiatr wył żałośnie, deszcz bił o szyby i woda w zepsutej rynnie wyprawiała spazmy i gorzkie żale.

Mulikowski chodził po salonie drobnemi kroczkami, szybko i dziwnie cicho. Stąpał lekko jak cień, chwiał się jak ociemniały, który choć zna miejsce i wszystko, co gdzie stoi — jednak w jego nawrotach znać było wahanie.

Nie chodził po pokoju, jak się to czyni, od ściany do ściany, czy od kąta do kąta. W jego plątaniu się nie było żadnej linji. Majaczył tu i tam, kołował, okrążał porozstawiane fotele, snuł się, był tu i tam, i wszędzie. Latał bez spoczynku a szybko, a cicho. Podawały go sobie i odbijały w nieskończonej mnogości dwa przeciwległe lustra, te moje wielkie, tak zwane „trema", które mijał ustawicznie. Mienił się, troił

się, sprawiając zamęt w oczach, w myślach. Coraz szybciej, coraz zwinniej...

Otoczył go nieuchwytny szmer, szelest podobny do gorączkowego szeptania. Zdawało się, że to nie postać ludzka, lecz przykry, przerażająco cichy nietoperz tłucze się po pokoju, szukając wyjścia. Lata — lata.

Wreszcie znikł.

Rano kompromitacja.

Mumja zastała mnie śpiącego w salonie. Na stole butla i dwie szklanki. Niejaka z tego powodu przelotna irytacja utrąciła we mnie pełniejszą świadomość całej tej nocy. W całości już się rzecz nie dała naprawić ani odtworzyć. Nie dało się chwycić jej znienacka, natychmiast po przebudzeniu.

Przeklęty realizm życia, głupota poziomych okoliczności spłoszyła cały czar. Ustał ból serca, zapodziało się gdzieś opętanie ekstazy. Uleciało żywe, żyjące piękno... O gdybyż przechować mi je dano choć przez jeden dzień, niechby przez godzinę!

Moja wierna niema służebnica Mumja z wyschłą gębą — jednem spojrzeniem — o, to pan się znowu spił po nocy, aż we fotelu zanocował... — tem jednem spojrzeniem swojej głupoty obaliła cały świat mego przeżycia.

Tak żołdacy popsuli genjalne wyliczenia Archimedesa. Tamto było w Syrakuzach, a tu, u nas, Ajzykowi Spermanowi własna koza zjadła roz-

łożone do wysuszenia trzysta rubli, pożyczone cudem i na grubą lichwę. Miały one być nowym losem i szczęściem licznej rodziny nędzarza. Śmierdząca koza zużyła to po swojemu i stały się te pieniądze klęską i niewolą całego ich pokolenia.

O dziewczyno! Niegdyś przegrałem ciebie, całe szczęście moje. Teraz resztę z ciebie rozwiała głupia baba — zesłana przez los (z kawą poranną) o pół godziny za wcześnie. Należałoby ją za to wygonić. Ale wiem, że nie uczynię tego.

Cóż pozostało?

Sen. Naturalnie! Teraz jest to już tylko tak zwany sen. Ale ta sprawa straszliwie przeżyta była przeze mnie naprawdę.

Czyż urok Luty i żal za nią nie będzie we mnie wieczny? Czy świadomość, że mnie jednak jednego kochała naprawdę, nie ozdobi brylantem łez reszty mego nędznego życia?

Jest tu na dnie prawda głęboka i właśnie najgłębsza! Moja własna z nieszczęsnej, tragicznej Luty. Djabli komu do tego?

A takich panów Mulikowskich znam dobrze. To przychodzi z nieczystych dróg, z tajemnic piekielnych. A mądre to, a szczwane, a przychodzi to ze świderkiem i wierci w duszy. W każdej duszy leży mnóstwo spraw niezbadanych.

Nic mnie właściwie w tem wszystkiem nie dziwi. Ale gdyby... No, niechby bodaj jakiś cień z tego, co naprawdę było w mojem życiu — ale nigdy nie znałem panny tego imienia! Ni-

gdy nie byłem w Paryżu, choć miasto znam dobrze. A taki hycel Mulikowski? Nie znałem ani jednego tego nazwiska i wątpię, czy istnieje naprawdę podobnie nieudolne i zakazane nazwisko.

Wygląda zaś wszystko na dręczące wspomnienie z prawdziwego życia. Tak to już we mnie wygląda. Nietylko wygląda, ale jest.

Bo oto teraz już wiem sto razy więcej, niż mi naopowiadał ów przybłęda. Znam całą resztę, przypomniała mi się ona sama, bez żadnego trudu ani wysiłku. Wyobraźnia? Ależ przepraszam, do wszystkich djabłów, przepraszam bardzo — z czegoś to przecież wszystko się bierze, z jakiegoś źródła, z jakiegoś ziarna? Otóż owo ziarno jest prawdą.

Prawdą jest, że kochałem. Tragizm losów mi ją odebrał. Niech będzie błogosławiona jej pamięć! Nazawsze zachowam w sercu jej miłość a przed oczami jej obraz ukochany.

ŚMIERĆ CHIŃCZYKA

Dawniej mówiono poczciwie i poprostu, że kogoś djabeł opętał, jeżeli dawny człowiek wydawał się światu zbyt osobliwy. Jeszcze dawniej człeka takiego niepojętego, nie wiedząc jak z nim począć, męczono na wiele sposobów i kazano mu się djabła odrzekać, co gdy nastąpiło, palono go poczciwie na stosie i oglądano się za innym. Świat był niegdyś kategoryczny, niechętnie rozumował, wierzył niezłomnie. Mówiono: djabeł wlazł w czarnego kota — kula jest zaczarowana — pierścień jest przeklęty i przynosi nieszczęście.

Gdybym żył przed dwustu laty, wiedziałbym, że mój porcelanowy Chińczyk jest i opętany, i przeklęty. Czy mi przyniósł nieszczęście? Trudno na to dać odpowiedź. Od czasu, jak tu żyję, nie zdarzyło mi się jeszcze ani żadne szczęście, ani żadne nieszczęście. Ani mi się coś udało, ani nie udało. Gdyby jednak koniecznie uważać — jak to czynią zresztą wszyscy moi znajomi z dawnych lat — że mój uporczywy pobyt w Świeciechowie jest jednem wielkiem nieszczęściem mojego życia, to za sprawcę tego mógłbym uważać złowrogiego Chińczyka. Poprostu Chińczyk mnie

trzyma i nie puszcza. Niech mi kto dowiedzie, że tak nie jest.

Żarty na bok.

Problemat mojego Chińczyka stawia mnie w niezmiernie kłopotliwem położeniu, jako człowieka rozsądnego. Nowoczesne słowo „przywidzenie" również nie wystarcza, jak stare słowo „czary". Oba są zbyt proste, żeby mi mogły dopomóc. Zacznijmyż od historji tej ciekawej figury. Nie ode mnie bowiem zaczynają się jej tajemne łajdactwa i przecherstwa.

W olbrzymim inwentarzu wszystkich i wszelkich sprzętów domowych, spisanych na parę lat przed śmiercią ręką mojego wuja, stoi i mój Chińczyk.

„Figurynka z porcelany chińskiej, z rękami i główką ruchomemi. Osie na kamieniach zegarowych. Może być w ruchu do trzech dni, zależnie od stanu pogody. Otrzymany w darze od kolegi Mieszka Wnorowskiego, który, powracając, przywiózł go z Sybiru. Zakupiony w Nerczyńsku od wdowy po sławnym rozbójniku nadbajkalskim, zwanym Saszka Niepolakow".

Dalej trzy wiersze, jak najstaranniej zakreślone. Niestety, nie udało mi się odmazać tych ważnych słów.

Że figurka grała pewną rolę i w życiu poprzedniego właściciela, dowodzi wzmianka w jednym z jego listów do mnie. Słowa te wydały mi się niezrozumiałe i zabawne: „...a człowiek

to był przewrotny i potajemny knowacz, niczem ten mój drab domowy Chińczyk". Zapamiętałem ten ustęp i nieraz miałem zamiar spytać wuja o jego znaczenie, ale mi zeszło. Nie miałem wówczas pojęcia o istnieniu żadnego Chińczyka. Teraz rozumiem, że w liście wymknęło się wujowi niepostrzeżenie coś z jego świata wewnętrznego, nieznanego nikomu.

I jeszcze jeden dokument. W pamiętniku wuja, który jest raczej wielkim zbiorem nudnych przypowieści, nieudolnych sentencyj i rymowanych aforyzmów, zapisano pod datą 13 grudnia 1879 roku:

„Niema tak marnej rzeczy, w którejby nie zmieściły się całe światy zjawisk, jeżeli taka jest wola niepojętej potęgi. W byle czem — w wachlarzu, w wazonie, w porcelanowej figurce nędznej i śmiesznej, bywają zaklęte tajemnice ku udręczeniu ludzi, nie wiedzących zazwyczaj, skąd spada na nich bez przyczyny w cichej samotnej godzinie strach, rozpacz, nuda, chęć samobójstwa lub popęd do zbrodni".

Zupełnie, jak ze mną!

A dokument pośredni, to te parę francuskich tomów w bibljotece wuja o władzy fetyszów i o sposobach na nie, o wcieleniach i wpojeniach, o magicznych portretach i o wielu innych bzdurstwach. Jeżeli sprowadzał sobie podobną literaturę specjalną — toć tylko dla studjów nad swoim Chińczykiem.

Nie dostrzegłem go przez parę pierwszych lat. Stał na swojem starem miejscu, na kominku między dwoma świecznikami. Czasami, gdy był nieruchomy, stuknąłem go palcem w głowę, i kiwał się, kiwał, póki wreszcie nie przestał.

Potem, w chwilach rozdrażnienia, z reguły zdarzało się to wyłącznie późną nocą, gdym chodził wkółko po swoim gabinecie, nie mogłem znosić jego irytującego kiwania. Zatrzymywałem go. Dalej, zdarzało mi się w pewnej chwili natchnienia, już nad ranem, gdy tonąłem w zachwycie po napisaniu czegoś, co mi się zdawało być doskonałem... Gdy Sława — Chimera, której nie wyzbyłem się jeszcze wówczas, brała mnie w niebo swoim boskim, łudzącym uśmiechem... Gdym przez chwilę upojenia panował nad całym światem, gdy otaczał mnie i odurzał rój obrazów mojego przyszłego szczęścia — spostrzegałem przed sobą głupie, martwe spojrzenie Chińczyka.

Nie mówię, żeby to on sprawił — ale w tej samej chwili poczułem się jak zanurzony w lodowatej wodzie. Gorzej, bo nietylko to, com napisał tej nocy, ale i cały mój los, od samego początku aż do tej chwili, wydał mi się krzyczącym absurdem. Przyszłość — jutro, które już świtało za szybami, możność dalszego istnienia — stały się niepodobieństwem. Do kresu doszła niedola. Powiesić się, i tyle.

Ludzie samotni z rozmysłu, z wolnego wyboru miewają godziny strasznego, rozdzierającego wa-

hania — gdy nagle przypomni o sobie wzgardzony świat, gdy jakby czyjś cudzy, nieomylny głos wytknie im nędzę i nanic niezdatną zbędność ich losu. Aniś ty dla ludzi — ani dla siebie. Nosisz się ze swoją dumą i sam ją sobie okazujesz, i bawisz się, bo niema komu powiedzieć ci, że kłamiesz i wstydzisz się sam przed sobą... Twoje życie — to komedja bez widzów, potajemne głupstwo w pustym pokoju.

Może cały problemat Chińczyka wywodzi się z tego jedynego momentu — z przypadkowego zapamiętania jego obecności podczas złej chwili. A może dopiero wówczas spostrzegłem jego rzekomy wpływ i zacząłem mu się przyglądać, zacząłem go badać i tym sposobem bezwiednie rozwinąłem to zjawisko do granic śmiesznego opętania?

Bądź co bądź od tej pory już nie udało mi się od niego odczepić. W każdej mojej złej chwili miał on swój udział.

Przeszkadzał, naprzykrzał się. Czynił to jednak z nieporównanym dyplomatycznym taktem.

Gdy poczuł, że zabrnął i może być lada chwila porwany i ciśnięty o ziemię — znikał na długo. Stał sobie na kominku, jak każda martwa rzecz, kiwał się lub nie kiwał, ale nie dawał znaku życia. Bywało tak i po kilka miesięcy — do jednego roku.

Dzięki tej mądrej taktyce — ocalał.

Raz tylko, nie mogąc się opanować, cisnąłem nim przez okno z należytym rozmachem. Wsty-

dziłem się tego zapomnienia, ale rad byłem, żem nareszcie zakończył głupią historję. Jednak nazajutrz Chińczyk już stał na swojem miejscu. Był cały, stracił tylko władzę w prawej ręce i siedział cicho dłużej, niż przez rok.

Zawdzięczam mu jednak i niejedną dziwną, porywającą godzinę życia...

Złapałem się oto. Komu? Jakto? Nic ja mu oczywiście nie zawdzięczam. Tak, nawet pod przenośnią, nie wolno się wyrażać. Nie wolno — znowu... Ja pozwalam sobie na wszystko — ale takie ujęcie sprawy nie odpowiada rzeczywistości.

Poprostu jego widok zawsze i to zawczasu mnie ostrzega...

Znowu nie tak — nie widok, boć patrzę nań ustawicznie, ale w pewnych, osobliwych chwilach wydaje mi się, że płynie ku mnie od niego ostrzeżenie, nieuchwytny znak porozumiewawczy... Mniejsza o to, jakiemi słowami tłumaczyć to zjawisko, bo zawsze nic one nie zdołają wyjaśnić.

Faktem jest, że gdy nadchodzi dla mnie chwila omamienia, owa straszna zgroza i rozkosz wydarcia się poza świat realny, no, mówiąc po chamsku, językiem materjalizmu—halucynacje (to niby każdy rozumie. Akurat!) — wówczas, zanim się rozpocznie misterjum porwania duszy, Chińczyk zdradza niesłychany niepokój. Niepokój jego udziela mi się natychmiast. Po pewnym

oporze — zabieram go z oczu mych, wynoszę go do saloniku i stawiam na etażerce obok bronzowego Sfinksa. Nadchodzi chwila spokoju, boskiej, jasnej równowagi — i zaczyna się.

Zanurzam się w czarownych wodach i spoczywam zatopiony na samem dnie głębiny, otchłani tajemnego morza. Wylatam pomiędzy gwiazdy i rozumiem, czem żyją, co do siebie mówią i dokąd dążą w wiecznym pędzie nieprzeliczone światy niebieskie. Zwiedzam dalekie lądy, przechodzę najdziwniejsze koleje, doznaję pokus, rozkoszy, dokazuję wielkich czynów, popełniam zbrodnie.

Ale najczęściej przychodzą tu do mnie w straszne odwiedziny ludzie dalecy, zmarli i już zapomniani, lub tacy, którzy nie istnieją wcale. Czasami tylko mnie udręczą, czasami dadzą godzinę szczęścia, pozwalają mi w długich sporach, rozmowach, opowieściach usłyszeć, a i samemu wypowiedzieć niejedną mądrą rzecz, któraby się nigdy nie urodziła na trzeźwo. Swoją drogą, olbrzymia większość tych obrazów, prawd i rewelacyj z innego świata nie trzyma się pamięci i nie da się opowiedzieć. Naogół zaledwie to i owo wynurza się z sennego chaosu. Zato pewne momenty występują z jaskrawą wyrazistością i takie zaliczam do najwybitniejszych wydarzeń mojego życia.

Wizje takie wyczerpują mnie i zapewne szkodzą memu psychicznemu zdrowiu. Nieraz je

przeklinałem udręczony. Ale nie wyrzekłbym się ich zanic.

Cóż mi daje ubogie życie prawdziwe. Cóżbym tak dalece zyskał, gdybym był nawet między ludźmi? Jeszcze bardziej nudna a do tego poniżająca jest komedja życia w gromadzie.

Pozostaje marzenie o niemożliwem. Zapamiętanie się uparte w pragnieniu cudu. Odważne wzgardzenie obawą przed obłędem — a niemała to rzecz...

Igrać z ogniem, docierać do krainy, wzbronionej dla człowieka pod najstraszliwszą zbrodnią — i utrzymać się na granicy obłędu. Stąpać po grani cienkiej, jak ostrze brzytwy, między przepaściami, i zachować równowagę.

Tę sztukę posiadłem, jestem w niej mistrzem.

W nagrodę ktoś niewiadomy zsyła na mnie żyjące misterja tajemnic, które są koroną upojeń. Są one rzadkiem świętem. Słusznie szafuje ktoś oszczędnie łaską boskiego zapomnienia.

Pomimo całego opanowania i, że tak powiem, wprawy w przeżywaniu wszelkich widziadeł, pomimo ostrzeżeń mego fetysza i wielu innych oznak zbliżającego się misterjum, jego przyjście zawsze złudzi, uwiedzie i porwie.

Zpoczątku w coś się wsłuchuję, coś podejrzewam, chwyta mnie strach. Unikam i wreszcie wyrzucam precz nieznośnego Chińczyka... Robiłem to już wiele razy, a za każdym razem

opuszcza mnie pamięć na dawniejsze. Pogrążam się...

A na chwilę przedtem olśni mnie i zgaśnie jak błyskawica rozumienie wszystkiego. Wszystkiego? Tak. Spraw najogromniejszych i wszelkich zresztą niepojętych głupstw. Nawet roli Chińczyka.

Wyrodny towarzysz mojej samotności, szpieg podstępny, zapamiętały i cierpliwy wróg mojego spokoju, zjadliwy krytyk, negujący całą moją twórczość, bezczelny arogant, drwiący ze mnie w żywe oczy, wytrawny lis, który przez tyle lat potrafił uniknąć mojej karzącej ręki — przestał istnieć.

Stłukł się bałwanek porcelanowy, nędzny Chińczyk — jest się też czem przejmować? To też nie obchodzi mnie to bynajmniej, zato pewne okoliczności, towarzyszące tej mizernej katastrofie, są niezmiernie ciekawe.

Była piękna noc księżycowa w początkach czerwca. Długo siedziałem na ławie pod białodrzewiem, wsłuchany w ciche głosy nocy, w rechot i melancholijne kumkanie żab, patrząc na rodzące się nad łąkami i rozpełzające się mgły.

Spokój... Dobranoc ci, świecie boży...

Wyraźna, jasna twarz księżyca ciągnęła ku sobie, nakazywała wpatrywać się w siebie i coś odgadywać. Błąkałem się między pierścieniami

jego wulkanów, po górzystych lądach, po kamiennych morzach...

Nagle, gdym tak zapatrzony, spada mi na kolana coś ciężkiego, coś miękkiego. O mało nie krzyknąłem z wrażenia, bo zupełnie wypadało nato, że to coś spadło z księżyca, ale mniejsza z tem.

Olbrzymi czarny kot. Natychmiast w pierwszym odruchu zrzucony z kolan, już tam był zpowrotem. Łasił się i przypodchlebiał z gwałtowną natarczywością. Ocierał się o mnie mocno, jak koń, mruczał, niczem tęgo chrapiący człowiek. Walił, merdając ogonem, jak postronkiem. Coś za djabeł... Czego tu chcesz?

Nie lubię kotów, więc pomimo namiętnych zalotów i wykręcania ogonem, cisnąłem nim porządnie o ziemię. Znikł.

Napaść ta wyrwała mnie z cichej kontemplacji, a że już było dobrze po północy, poszedłem spać. Gdym się już chciał układać do snu, widzę na mojem łóżku, na poduszce, czarne bydlę. Postawiłem świecę na stole i dalejże do niego. Miauknął wściekle, zjeżył się, prychnął — zupełnie jak gdyby go wyrzucano z własnego łóżka. Zerwał się i poleciał, ale nie do okna, tylko w głąb domu. Szukam go wszędzie, napróżno.

Dopiero w gabinecie, głęboko pod biurkiem, za koszem od papierów błysnęły mi w ciemności jego ślepia, jak dwie zielone latarnie. Jak nie krzyknę na niego!

Zaczął się ciskać i miotać po całym pokoju. Widzi drzwi otwarte, ale mu tam jakoś nie pilno. Jak gdyby się ze mną bawił — ja do niego, on już w drugim rogu. Już go chwytam — włazi mi pod kanapę i siedzi tam bezpiecznie. Idę po laskę, macam go i żgam długo kijem, klnąc z irytacji, a on tymczasem oddawna najspokojniej siedzi sobie na biurku i myje się.

Jest to zadziwiająco ogromne, ordynarne kocisko. Nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi, jakby był u siebie w domu. Poczekajże...

Potrzeba ukarania go była we mnie silniejsza nad proste ułatwienie mu odwrotu.

Zamykam drzwi, stawiam świecę na kominku i ruszam na niego z kijem. Dopieroż zaczęły się harce! Poznał, że z nim źle, i ratuje się, jak może. Ale po odsunięciu kanapy od ściany, pozbawiłem go jedynego pewnego punktu oparcia— gdym go jeszcze raz dosięgnął, cisnąwszy weń laską, hycnął do lustra nad kominkiem w słabej, ostatniej nadziei, że to może jednak otwarte okno. Zawiódłszy się, zrzucił świecę, która zgasła. Zyskał tylko na czasie. Ostrożnie przecisnąłem się przez drzwi... po zapałki.

Jeszcze ostrożniej powróciłem i zapalam światło. Nigdzie żadnego kota. Obszukałem wszystkie kąty, zapaliłem na kominku oba świeczniki...

Dopiero widzę na podłodze — jakby kto nasypał białego piasku. Patrzę — niema na komin-

ku Chińczyka. Wówczas moje zapamiętanie doszło do szczytu. Taka szkoda.

Ale napróżno jeszcze raz rzuciłem się na poszukiwanie winowajcy. Poniżyłem się nawet do tego stopnia, żem go szukał po szufladach. Gdzie on jest? Oczywiście, przemknął mi się między nogami, gdym wychodził po zapałki. Byłem ostrożny, ale on był ostrożniejszy. Trudno, na ten raz zemsta nie była moim udziałem.

Z Chińczyka zostały same drobniutkie okruchy, ani jednego większego ułamka. Dowodzi to, z jak wybornej porcelany był zrobiony. Stałem w zadumie nad jego trupem.

Nie mogłem uwierzyć, że go już niema. Spoglądałem na kominek, i wydało mi się niepodobieństwem, żebym go już tam nigdy nie zobaczył. Na tem miejscu, gdzie tyle lat za pamięci wuja i za mojego tu żywota...

Zapomniałem mu jego przecherstwa i zdradliwe przeciwko własnemu panu knowania... Wiedziałem naprzód, że pomimo wszystkich ku niemu uprzedzeń — długo będzie mi go brak. Dziwiłem się, że tak zwyczajny był koniec postaci w istocie sporo znaczącej w mojem dziwnem życiu. Taki był nieraz przykry, miał właściwość skupiania na sobie w złych momentach mojej całej irytacji, ale w życiu, jak moje, do ostatecznego pedantyzmu unormowanem i logicznem, każdy najdrobniejszy szczegół jest ważny, jako cząstka składowa ogólnej domowej harmonji.

I mój biedny Chińczyk miał swoje przeznaczenie, wypełniał w mojem nieco osobliwem życiu jakąś swoją funkcję. Kto mi go zastąpi?

— Ja!...

Słowo to wypowiedział głos cienki, ostry, krótko, jak uciął, ale z pewną nieśmiałością. Rzekłbyś — pisnęło małe dziecko.

Z uczuciem mrozu w krzyżach odważyłem się odwrócić. To miauknął kot — morderca, siedzący znowu na biurku... Kot, którego przed chwilą nie było zupełnie i nigdzie, nawet w zamkniętych szufladach... Kot, który poto spadł z księżyca, żeby mi zamordować Chińczyka...

Ale tu już zaczyna się osobliwa historja czarnego kota. Dzieje Chińczyka, mojego ukochanego złego bałwanka, są zamknięte.

SPIS RZECZY:

IGNIS